

Lodowa korona

Andre Norton



calibre 0.9.27

Andre Norton

Lodowa korona

Tłumaczyła Maja Kmiecik

Tytuł oryginału Ice Crown

Roane walczyła z ogarniającą ją sennością, napinając do bólu drobne ciało. Ktoś mógłby mądrze stwierdzić (już słyszała wuja Offlasy z tą jego obrzydliwą cierpliwością, z jaką zawsze jej wszystko wyjaśniał), że to nieprzyjemne doznanie miało całkowicie psychiczne podłoże. Gdyby skupić się na czymś innym, uczucie pogrzebania żywcem, towarzyszące jej podczas tego błyskawicznego lotu, ustąpiłoby. Lecz teraz leżała w wyścielanym wnętrzu ekspresowej kapsuły kosmicznej i starała się wytrzymać.

Udało jej się, co prawda, przezwyciężyć strach, nie mogła jednak pozbyć się myśli, że za chwilę się udusi. Zaciskała więc pięści i przygryzała mocno dolną wargę, a ból, jaki sobie sprawiała, pomagał jej się opanować. Zdaniem wuja Offlasy można przetrzymać wszystko, jeśli się tylko bardzo chce. Jej, niestety, nie zawsze się to udawało. Teraz ma sposobność udowodnienia, że jest coś warta, że może się okazać przydatna do realizacji jego planów, i nie wolno jej tego zaprzepaścić.

Nawet sam szef Centrum Intensywnego Szkolenia zazdrościł jej tej szansy. I tylko fakt, że jest siostrzenicą Offlasy Keila, zadecydował, że ją otrzymała. Wyprawa na Clio miała charakter rodzinny: Keil jako dyrektor Projektu, jego syn Sandar i Roane. Zacisnęła powieki i starała się oddychać równo i powoli, próbując zapomnieć o tym, gdzie się znajduje, a myśleć jedynie o celu, do którego zmierza.

Taka gratka zdarza się raz na sto, nie, raczej raz na tysiąc. A ona, szczęściara, w tym uczestniczy. Dopiero teraz poczuła psychiczne zmęczenie. To całe szkolenie... Tyle wkuwania!

Czuła się jak gąbka umieszczona w basenie z poleceniem wchłaniania. Tylko, że ona nie potrafiła pęcznieć w sposób typowy dla gąbki; musiała pakować to wszystko poza ciałem i kośćmi, które nie były w stanie się rozciągnąć. Po sprawiedliwości, jej głowa powinna być teraz tak ciężka od wszystkiego, co wtłoczyły w nią komputery szkoleniowe, żeby nie dać się utrzymać prosto na karku.

Clio była jedną z zamkniętych planet. Mimo to, ze względu na okoliczności, wuj Offlas otrzymał wyraźne rozkazy, by tam wylądować i pozostać, dopóki nie zlokalizują skarbu. Skarb! Już samo to słowo wywoływało dreszczyk emocji, mimo iż skarb ten mógł stanowić łakomy kąsek jedynie dla kogoś takiego jak człowiek Służby.

Prawdziwe skarby — cenne, piękne przedmioty — w ogóle nie interesowały Offlasy Keila. Mógł rzucić dla nich dom, w celu sklasyfikowania ich pod względem okresu historycznego, lecz poza tym traktował je wyłącznie jako zabawki. Natomiast wiedza Prekursorów — to zupełnie co innego. A ten skarb, który jest celem ich wyprawy, został precyzyjnie zdefiniowany w wyniku gromadzonych przez całe lata informacji, wskazówek, wzmianek czy aluzji, podsłyszanych z różnych źródeł, przeanalizowanych i zweryfikowanych w wyniku żmudnych badań, koncentrujących się na określonym obszarze Clio.

Ponieważ Clio była niedostępnym światem, ostatnie etapy badań musiano przeprowadzać możliwie najszybciej i w absolutnej tajemnicy, z wykorzystaniem sił Służby. A Projekt wymagał jak najmniejszego udziału oddziałów specjalnych. To spowodowało, że Roane skierowano do Centrum Intensywnego Szkolenia, by przyswoiła sobie wszelkie konieczne informacje na temat Clio.

Zastanawiała się, jak wygląda życie na zamkniętej planecie (nie przez okres kilku dni, na jaki tam wylądują, lecz od urodzenia do śmierci). Oczywiście cała teoria, na mocy której utworzono zamknięte planety, była z gruntu zła; takie manipulowanie istotami ludzkimi godziło w Cztery Prawa. Clio założono dwieście, może trzysta lat temu, przed Przewrotem w 1404 roku, gdy w konfederacji dominowali Psychokraci. Była trzecią odkrytą planetą tego typu, choć plotka głosiła, że było ich więcej, nikt jednak nie wiedział, ile. Wysadzenie w powietrze Forqual Center podczas Przewrotu zniszczyło większość dokumentów.

Wszystkie te światy stanowiły tereny doświadczeń, będących punktem szczególnego zainteresowania jednego z członków Hierarchii Psychokratów. Pierwsi osadnicy z „wypranymi” mózgami i zaszczepioną fałszywą pamięcią zostali osiedleni w komunach, które wydawały się czymś naturalnym tym umieszczonym w nowych światach okaleczonym umysłem. Następnie pozostawiono ich, by wytworzyli nowe typy cywilizacji bądź nie tworzyli żadnych, który to proces podglądano potajemnie co jakiś czas.

Kiedy te zamieszkane, eksperymentalne planety odkryto teraz ponownie, ogłoszono je zamkniętymi. Stało się tak dlatego, że żadna władza nie mogła być pewna, jak prawda o nich mogłaby wpłynąć na ich naród. Ostatecznie członkowie tych społeczeństw znajdowali się na niższym szczeblu rozwoju i byli mutantami, co najmniej na jednej planecie. Lecz mieszkańcy Clio byli ludźmi w pełnym tego słowa znaczeniu, choć żyjącymi w archaiczny sposób, podobny do tego, w jaki żyli przodkowie Roane na kilkaset lat przed pierwszym lotem kosmicznym.

Nie było obecnie pewności w kwestii, co chciał osiągnąć Psychokrata, który założył Clio. Służba przypuszczała jednak, że ustanowił coś na podobieństwo planu starej Europy, znanego na planecie Terra. Duży wschodni kontynent został nieregularnie podzielony na małe królestwa. Dwa zachodnie kontynenty obsadzono natomiast „tubylcami” o znacznie prymitywniejszym poziomie kultury — plemionami wędrownych myśliwych. A potem pozostawiono ich samym sobie i zmuszono do polegania na własnym rozumie.

Na kontynencie wschodnim seria wojen o ekspansję terytorialną zakończyła się ustanowieniem dwóch wielkich mocarstw, których niespokojną granicę stanowiły małe buforowe państewka, utrzymujące niepodległość głównie dzięki temu, że dwie wielkie potęgi nie były jeszcze gotowe, by zmierzyć się w walce. Intrygi, drobne utarczki, powstawanie i upadek dynastii były nieodłącznymi elementami życia na Clio. Dla obserwatorów z gwiazd była to gigantyczna rozgrywka, w której, niestety, w wyniku złych posunięć taktycznych, ginęli ludzie.

Również na zachodzie plemiona walczyły ze sobą, lecz ponieważ pozostawały na niższym szczeblu rozwoju, nie okupiono tego aż tak wielkim rozlewem ludzkiej krwi. Jednakże, Roane nie musiała zaprzętać sobie tym głowy. Jej ekspedycja miała wylądować potajemnie na wschodnim masywie lądowym, w jednym z tych małych buforowych państewek pomiędzy dwoma mocarstwami.

— Reveny — powiedziała na głos. — Królestwo Reveny.

Było to dziwne słowo i początkowo miała trudności z jego wymówieniem. Jednak nie dziwniejsze niż wiele nazw innych światów, niektórych udziwnionych do tego stopnia, że nie dawały się ukształtować ani udźwięcznić ludzkimi strunami głosowymi.

Przed wyprawą obejrzała kilkakrotnie trójwymiarowy film z miejsca, gdzie będą prowadzić poszukiwania, i dzięki temu oswoiła się z tamtejszym krajobrazem. To należało do jej zwykłych obowiązków i stanowiło część jej wędrownego trybu życia. Wuj Offlas, w trakcie swych wędrówek w charakterze eksperta do spraw archeologii Prekursorów, zabierał ją ze sobą, niekiedy w roli „nadbagażu”, z jednego świata na drugi.

Roane podobało się to, co zobaczyła na filmie o Reveny. Obszar, jaki będą musieli przeczesać dla swych celów, był górzysty i zalesiony oraz — na szczęście — rzadko zaludniony. Jego część stanowił rezerwat łowiecki rodziny królewskiej. Jediną osadę zamieszkiwali nadzorujący lasy królewskie leśnicy i strażnicy. Reszta mieszkańców to byli pasterze, którzy przenosili się co sezon do pracy na innym terenie. Jeśli przybysze spoza ich świata będą mieli szczęście i wykażą dostateczną ostrożność, nie grozi im kontakt z żadnym z nich.

Na filmach wszystko wyglądało jak żywe. Były prawdziwe zamki ze strzelistymi wieżami, kolorowe miasteczka z krętymi uliczkami (tak różne od bloków zamieszkiwanych przez jej rodaków) oraz... Nie może jednak zapominać, że to wszystko było bardzo prymitywne. Na polach toczyły się walki. Roane wzdrygnęła się, przypomniawszy sobie kilka taśm, które poruszyły do głębi nie tylko jej umysł, lecz również wrażliwy żołądek, przygotowując ją o mdłości.

Na ile zdołała się zorientować, ludzie z Reveny nadal byli w jakiś sposób sterowani. Choć mogło być i tak, że pierwotne uwarunkowanie było tak totalne, iż ciągle na nowo upodabniali się do swych przodków, nie podlegając naturalnemu procesowi ewolucji. Niewątpliwie na miejscu stwierdzi, iż są jej równie obcy pod względem emocjonalnym i umysłowym, co podobni pod względem fizycznym. O ile w ogóle dojdzie do spotkania z nimi.

Kołysanie kapsuły złagodniało, a potem zupełnie ustało. Roane domyśliła się, że wylądowała. Otworzyła oczy i z westchnieniem ulgi, że oto ma już za sobą tę ciężką próbę, wysiadła i rozejrzała się wokół siebie.

— Spóźniłaś się...

Odwróciła się gwałtownie, przyglądając odruchowo wymięty kombinezon. Nie dlatego, by Sandar przywiązywał jakąkolwiek wagę do tego, że wygląda jak czupiradło, co było faktem. Miło byłoby jednak, gdyby choć raz dostrzegł w niej dziewczynę, a nie tylko kulę u nogi.

— Nastąpiło opóźnienie w wyrzutni Metro — wyjaśniła pospiesznie i natychmiast poczuła, że dała się sprowokować. Dlaczego zawsze czuła się winna i musiała się tłumaczyć przed Sandarem oraz jego ojcem? Jeśli następowała jakaś zwłoka, zawsze powodem była ona, Roane, nigdy oni.

Patrząc na kuzyna usiłowała zwalczyć w sobie potrzebę przeproszenia. On się nie zmienił, nie spuścił nic ze swego tonu wyższości. Właściwie dlaczego miałoby się tak stać w przeciągu zaledwie dwóch miesięcy? Nie było powodu, by rezygnował z wyniosłości, z którą było mu tak do twarzy, by z przystojniaka o regularnych rysach stał się pokraka, by pozbył się uroku, którym tak chętnie czarował wszystkich, oprócz niej. Sandar nawet w obskurnym kombinezonie kanalarza wyglądałby jak bohater trójwymiarowych filmów. W mundurze Służby

był wciąż Sandarem Wielkim. Słyszała kiedyś, jak nazwała go tak dziewczyna, którą spotkała na planecie Varch. Fakt, że Roane była jego kuzynką, sprawiał, iż przez jakiś czas bywała popularna; trwało to jednak zazwyczaj krótko — do momentu aż obskakujące go dziewczyny nie zorientowały się, że on się absolutnie z nią nie liczy.

— Ruszaj się! — Uszedł już kawałek i musiała podbiec, żeby go dogonić. — Mamy tylko pół godziny na dotarcie do pola przed rozpoczęciem odliczania.

Sadził długimi susami, a ona, chcąc mu dotrzymać kroku, musiała biec truchtem. Zaczynał w niej narastać bunt. Będąc z dala od Sandara zawsze ludziła się, że mogą być przyjaciółmi, jednak kiedy stawiała z nim twarzą w twarz uświadamiała sobie, jak głupia była to nadzieja.

— Mój bagaż! — krzyknęła.

— Nic mu nie będzie. Schowałem go do luku bagażowego.

— Ale musimy go zabrać! Gdzie...

Sandar, nie zwracając uwagi na jej protesty, kierował się ku wyjściu z lądowiska. Nagle wyciągnął rękę, a jego palce zacisnęły się, bynajmniej nie delikatnie, na jej ramieniu powyżej łokcia.

— Nie mamy czasu, już ci mówiłem. Jeśli się spóźnisz, poniesiesz konsekwencje. Poza tym nic stamtąd nie będziesz potrzebowała. Na statku masz wszystko, co niezbędne.

— Ale... — Roane chciała zaprzeć się piętami, wyrwać spod jego dyktatury. Wiedziała jednak doskonale, że jest zdolny pociągnąć ją siłą. Widziała wyraz jego twarzy. Był o coś wściekły i gotów wylądować tę złość na niej, jeśli tylko da mu pretekst.

Jej ramiona opadły. Po raz kolejny dała się złapać na ten ograny numer. Dwa miesiące w Centrum Intensywnego Szkolenia wyrobiły w niej fałszywe poczucie pewności. Na ile fałszywe, uzmysłowiła sobie teraz. Będzie musiała zostawić swój plecak zamknięty gdzieś w tym koszmarnym budynku.

Nie wątpiła, że dostarczą jej wszystko, co niezbędne. Wuj Offlas zawsze podróżował w najbardziej komfortowych warunkach, na jakie pozwalał dany projekt. Jednak w plecaku było kilka osobistych drobiazgów, a niektóre z nich były przez długie lata częścią niej samej. To było wstrętne ze strony Sandara. Parszywy początek wyprawy.

Stała milcząca, ciągle uwięziona w jego uścisku, podczas gdy on ścigał migacz transportowy. Tak, była zniewolona, ale nie zrezygnowana. Kiedyś, jakoś, uda jej się zatriumfować nad Sandarem. Wierzyła w to głęboko. Gdy migacz spiralnym ruchem unosił ich w górę, wpatrywała się we własne dłonie. Były małe i ciemne, o kilka odcieni ciemniejsze od skóry Sandara. Wiedziała, że zarówno on, jak i wuj czuli odrazę do jej mieszanej krwi. Sandar niekiedy zachowywał się tak, jakby wręcz nie chciał jej widzieć.

Na kosmodromie stały na wyrzutniach cztery statki kosmiczne, w tym jeden gwiazdny liniowiec, na który gromadnie wsiadali pasażerowie. Przemknęli obok jego wysokiej sylwetki, by ulokować się w znacznie mniejszym statku, oznaczonym insygniami Departamentu Badawczego. Roane zdołała się uwolnić z uchwytu Sandara i ruszyła ku rampie, z której wielokrotnie już startowała w swoje podróże.

Włożyła identyfikator do portowej kontroli. Natychmiast zapaliło się zapraszające światelko. Nieco za nią stanął jeden z członków załogi.

— Szanowna panna Hume — sprawdził na rozkładzie statku. — Poziom trzeci, kabina szósta, dziesięć minut do odliczania.

Pospieszyła do drabinki, pragnąc jak najprędzej znaleźć się w zaciszu własnej kabiny, z dala od grubiaństwa Sandara. Dotarłszy do niej rzuciła się na koję i, choć dzwonek ostrzegawczy jeszcze nie zadzwonił, zapięła ochronne pasy startowe.

Kabina była typową kabiną młodszego oficera. Na wszystkich możliwych fragmentach ścian wisiały szafki, a na jednej ścianie widniała wąska szczelina zasłoniętych kotarą drzwi, które musiały prowadzić do ciasnej komory odświeżania. Koją była dość wygodna, lecz całe umeblowanie było ściśle urzędowe. W tej ponurej klitce nie było nic osobistego. Ten, kto tu przed nią mieszkał, zabrał wszystkie prywatne drobiazgi ze sobą.

Po raz kolejny zadumała się nad tym, jak to jest mieć prawdziwy, planetarny, stały dom, gdzie można gromadzić przedmioty lubiane i sprawiające radość samą tylko możliwością ich oglądania, gdyż są piękne bądź przypominają jakiś szczęśliwy okres, czy też po prostu miło je posiadać. Jeżeli wuj Offlas żywił kiedykolwiek takie pragnienia, to dawno już je zatracił. A Sandarowi chyba na tym nie zależało.

Miała nadzieję, iż prawdą było to, co mówił o kompletnym wyposażeniu statku. Co prawda niewiele jej było potrzeba, gdyż podczas pracy nosiło się uniform Służby —jednocześnie okrycie z materiału dostosowanego do klimatu, zaprojektowane tak, by zniosło wszelkie trudne warunki. Ponadto już dawno pogodziła się z faktem, że luksusy kobiecego życia, takie jak perfumy czy kosmetyki używane przez osiadłe na planecie kobiety, były nie dla niej.

Nad jej głową rozległo się ostrzegawcze brzęczenie, sygnał do ostatniego odliczania. Wsunęła się głębiej w ochronny kokon na koi. A więc znów wyruszają, po raz... Nie była pewna, czy potrafiłaby zliczyć, ile razy przechodziła przez tę samą procedurę. Czy ta jej tułaczka kiedykolwiek się skończy?

Ta wyprawa była jak każda inna. Gdy tylko dotarli do górnej strefy, wuj Offlas przysłał po nią, by wybadać, czego się nauczyła. Posłusznie udała się do jego kabiny i zrelacjonowała swoje postępy. Kiedy skończyła, z jego ust nie padło ani jedno słowo pochwały, wyraził natomiast nadzieję, że dziewczyna zabierze się ostro do roboty. Potem dał jej górę taśm i czytnik oraz nakazał, by możliwie najefektywniej spożytkowała czas w przestrzeni. Nie odważyła się zaprotestować, ponieważ wiedziała, że prędzej czy później zażąda od niej sprawozdania.

Podróż była nudna jak flaki z olejem. Na liniowcu, gdzie zapewniano pasażerom rozmaite formy rozrywki, mogło być o wiele weselej. Jednakże wuj Offlas uważał, że przerwy pomiędzy jedną a drugą pracą powinny być przeznaczone wyłącznie na doksztalcanie.

Wreszcie weszli w fazę lądowania, mówiąc dokładniej ich statek wszedł na orbitę nad Clio, gdzie przesiedli się wraz z ekwipunkiem do LB — niewielkiego standardowego statku ewakuacyjnego, przystosowanego specjalnie do bezpośredniego lądowania. Zapadał już zmierzch, gdy po skrupulatnie zaplanowanym obniżeniu lotu wylądowali na powierzchni planety.

Wszyscy troje rzucili się do pospiesznego wyladowywania zapasów i przyrządów, gdyż LB miał zaprogramowany czas, po którego upływie automatycznie wracał do macierzystego statku. Wraz z nim wycofywał się następnie na dłuższą orbitę. Choć żadni obserwatorzy nieba z Clio nie rozpoznaliby gwiazdnego statku, to jednak mogłyby się pojawić pogłoski o dziwnym zjawisku na ich niebie.

Pierwszą rzeczą, jaką uświadomiła sobie Roane taszcząc na zewnątrz skrzynie i pojemniki, była cudowna świeżość powietrza. Po zastalej, nie podlegającej cyrkulacji atmosferze na statku miała wrażenie, że wdycha jakieś subtelne perfumy. Wciągnęła je głęboko w płuca.

Dopóki ostatnia partia ekwipunku nie została wyladowana, nie mieli ani chwili, żeby się rozejrzeć. Gdy wuj Offlas zatrzasnął właz i odskoczył do tyłu, LB odbił się od ziemi. Pomimo tak błyskawicznego rozładunku zmierzch zdążył się zmienić w głęboką noc. Roane przysiadła na skrzyni i wyjęła z wewnętrznej kieszeni kombinezonu parę szkieł noktowizyjnych. Włożyła je i rozejrzała się dokoła.

Znajdowali się na polanie otoczonej wysokimi drzewami. LB zniszczył parę krzaków, przygniatając je do ziemi i łamiąc na drzazgi, a wytaszczone z niego skrzynie zryły grunt i powyrywały kawały mchu.

Wuj Offlas zerkał znad niewielkiej mapki w prawo i w lewo, jakby szukał w terenie znaków orientacyjnych. Tymczasem Sandar mocował się z otwarciem jednego z wyścielanych kontenerów, wyciągając zeń skrzynkę, którą trudem umieścił na kolanach. Pochylił się nad nią nisko, by odczytać parametry na wskaźnikach znajdujących się na jej wierzchu. Wyregulował dwa z nich, po czym sięgnął po kolejną bliźniaczą skrzynkę, z którą postąpił identycznie.

— W porządku. Zabierz to i umieść mniej więcej dwanaście... nie, dwadzieścia kroków stąd, w tamtym kierunku — wuj Offlas wskazał na lewo — a ja zajmę się tą — podniósł drugą skrzynkę.

Skoro deformatory już pracowały, mogli rozbić obóz. Zadaniem przyrządów, zwanych deformatorami, było zapobieganie niepożądanemu najściu człowieka lub zwierzęcia zamieszkującego tę planetę. Polegało to na tym, że deformator zniekształcał rzeczywistość, wysyłając fale z fałszywymi danymi, oglupiającymi wszelkie istoty żywe do tego stopnia, iż traciły orientację i błądziły w kółko, nie mogąc się przedostać poza linię wyznaczoną zasięgiem fal urządzenia. Każde z nich trojga miało przypięty z przodu pasa nadajnik, anulujący skutki jego działania, aby móc się swobodnie poruszać po kontrolowanym przez deformator terenie.

Okolo północy obóz był gotowy. Posługując się fachowo laserem, wuj Offlas wykroił w ziemi dół wysokości Sandara. Nad nim wyrosła ponadmetrowa kopuła, która z kolei została zamaskowana zielenią spryskaną specjalnym preparatem, zabezpieczającym ją na wiele dni przed zwiędnięciem. Przesunięte do środka skrzynie ze sprzętem podzieliły ziemiankę niczym ścianki działowe na trzy małe kłitki i jedno większe pomieszczenie. W nim właśnie zainstalowali polowy promiennik, po czym każde z nich po kolei obeszło polanę dookoła, sprawdzając, czy na zewnątrz nie przedostaje się żadne zdradliwe światło.

Przez jakiś czas będą musieli pracować nocą, a spać w ciągu dnia, więc światło w ziemiance będzie konieczne. Roane była tak skonana, że nie mogła opanować ziewania i natychmiast po

oporaniu się ze wszystkim skuliła się w swojej prowizorycznej izdebce.

Kiedy zapadł kolejny zmierzch, wzięła do ręki jeden ze znajdujących się w sąsiednim pomieszczeniu detektorów i udała się na wstępne rozpoznanie okolicy. Sandar ruszył w przeciwnym kierunku, a jego ojciec zabrał się do montowania głównego komputera i przygotowania pozostałej aparatury, jaka będzie im potrzebna, gdy detektor naprowadzi ich na cel. Offlas najwyraźniej wydawał się absolutnie pewny, że znajdą to, czego szukają. W przeszłości nigdy nie był tak pewny swego. Teraz sprawiał wrażenie w pełni przekonanego, iż uwiną się z tym błyskawicznie.

Jego wiara była zaraźliwa. Roane niemal spodziewała się, że już po pierwszym wypadzie w teren będzie mogła zameldować o sukcesie. Tak się jednak nie stało. Nie powiodło się również Sandarowi. Trzeciej nocy wypuścili się daleko w pola. W razie czego sygnały emitowane przez deformatory miały im wskazać powrotną drogę do obozu. I choć w tej sytuacji niemożliwością było się zgubić, Roane stwierdziła, iż samotne zapuszczanie się w nieznane, dzikie okolice napawa ją pewnym lękiem. Nigdy przedtem nie była tak całkowicie zdana na własne siły. Na pokładzie statku, nawet w osobnej kabinie, panowała atmosfera ciasnoty, wywołana obecnością innych ludzi. Lecz tu — w szklach noktowizyjnych umożliwiających wyraźne widzenie — zaczęła się w końcu czuć osobiście wolna.

W połowie czwartej nocy wspinała się na wzgórze, z detektorem dyndającym na przewieszonym przez ramię pasku, używając obu rąk do podciągania się na skałę. Przedtem padał deszcz, więc kępki trawy i chłuszczące po twarzy gałęzie były przesiąknięte wilgocią. Jednak wodoodporne ubranie chroniło ciało przed przemoknięciem, a ona sama rozkoszowała się spadającymi na twarz i dłonie kropelkami, nie zważając na to, że krótkie włosy lepiły się jej gładko do czaszki.

Wcześniej przeszła przez drogę, a ściślej mówiąc przejechała przez nią z impetem, ślizgając się na wywrotnej, gliniastej nawierzchni. Droga ta tworzyła dziwne zagłębienie, przedzierające się wśród rosnącej na poboczach i sięgającej wyżej jej głowy zieleni, a u góry płatanina gałęzi tworzyła coś na kształt dachu, wskutek czego wyglądało to jak tunel. Nie wiedziała, czy ten tunel został stworzony celowo, by ukryć drogę przed intruzami, czy też był jedynie rezultatem niekontrolowanego, bujnego wzrostu roślinności. Tak czy inaczej nawierzchnia naznaczona była koleinami kół i zryta kopytami, co świadczyło, iż była często użytkowana. Pospiesznie wdrapała się więc na skarpę, zacierając po sobie ślady odłamana gałęzią.

To wzgórze wznosiło się dość wysoko z prawej strony drogi. Wdrapawszy się na szczyt nie podniosła się, lecz nadal posuwała się na czworakach, dbając o to, by jej sylwetka nie rysowała się na tle nieba. Księżyc był już wysoko i świecił jasno, dlatego miała doskonały widok na wszystko, co znajdowało się w dole. Zastąpiła szkła noktowizyjne lornetką, aby móc dokładniej zbadać okolicę, gdyż znajdowała się tam grupa zabudowań, liczebnością przypominająca wioskę.

Niemal tuż pod nią stało najokazalsze z nich. Składało się z dwu mniej więcej pięciopiętrowych wież, połączonych budynkiem z wyglądu nie większym niż jedna izba, lecz sięgającym wysokości trzech pięter. Wieże oraz dach mniejszej części miały parapety, a całość otaczał wysoki mur w kształcie koła. W dwóch czy trzech niesłychanie wąskich oknach pomimo

późnej pory pobłyskiwały nikle światelka. Stojąca najbliżej wieża miała bramę wychodzącą na ogród rozciągający się do samego podnóża góry.

Sam ogród był poprzecinany odbijającymi się biało w świetle księżyca ścieżkami i pełen starannie rozplanowanych klombów kwiatowych. Jednakże tym, co powstrzymało Roane od natychmiastowego odwrotu, był widok krzątających się w nim mężczyzn. Pracowali parami, w sumie było ich sześciu. Wkopywali w ziemię słupy stanowiące podporę dużych, groteskowych figur. Każdy z tych posążków miał na jednym ramieniu owalną tarczę, pomalowaną w jakieś skomplikowane wzory, podczas gdy druga łapa, a może pazur, ścisnęła drzewce małej chorągiewki.

Ustawiano je w rzędzie przodem do niższego budynku i widać było, że praca ta nie jest łatwym zadaniem. Posążki przedstawiały zwierzęta lub ptaki, a w jednym przypadku jakieś pokurczone, człekokształtne stworzenie w koronie. Wszystkie jednak wydawały się Roane dziwaczne i zastanawiała się, czy mają jakieś alegoryczne znaczenie.

Zagadką pozostawało również, dlaczego muszą być ustawiane w środku nocy; obserwowała je więc, dopóki ostatni z nich nie został przymocowany do słupa. Wówczas mężczyźni zniknęli, oddalając się jedyną wybrukowaną uliczką, prowadzącą do bramy w ścianie wieży. Poza murami tej pseudofortecy stały dwa rzędy domów, zbudowanych z tego samego kamienia co warownia, lecz znacznie mniejszych. Największy miał zaledwie dwa piętra. Ich dachy pokrywały kamienne płytki, opadające pod ostrym kątem ze zwieńczonych fantazyjnie głowami zwierząt szczytów.

Była to twierdza, wioska, w miniaturze. I choć wyglądała inaczej niż na trójwymiarowych filmach, rozpoznała w niej Hitherhow — główną królewską osadę myśliwską w Reveny.

Czyżby ustawianie figur oznaczało przybycie króla? A co za tym idzie — wielkie polowanie? Jeśli tak, co taki ruch w lesie może oznaczać dla niej i jej towarzyszy? Oczywiście deformatory ich ochronią. Lecz jeśli pojawi się wielu myśliwych, będą musieli pozostać w ukryciu dopóki nagonka się nie skończy, a wuj Offlas nie będzie zadowolony z takiej straty czasu.

— Co mówiono na szkoleniu? — Wuj Offlas chodził nerwowo wielkimi krokami w tę i z powrotem gryząc kciuk, co od dawna stanowiło u niego oznakę głębokiego namysłu. Teraz zwrócił się do Roane z takim pytaniem. — Kto może przyjechać? Król?

— Król Niklas, sądząc z lat planetarnych, jest już starcem. Czy byłby jeszcze w stanie polować?

— To ja ciebie pytam. To ty oglądałaś filmy dostarczone przez szpiegowskie roboty.

— Ci od szkolenia nie byli niczego pewni. Jeśli to nie król... — Roane zamyśliła się — Żadne z jego dzieci już nie żyje. Ma jedną wnuczkę, księżniczkę Ludorikę...

Sandar wybuchnął śmiechem:

— A to ci dopiero! Skąd oni biorą takie napuszone imiona?

— Uspokój się! Księżniczka... Kto jeszcze? — W głosie wuja Offlasa brzmiała stanowczość.

— Dlaczego to takie ważne? — Jego syn wyraźnie nie miał ochoty się poddać.

— To jest cholernie ważne, głupcze! Ranga tego polowania zadecyduje o liczbie jego uczestników. Im ważniejsza osobistość, tym więcej ludzi z nią przyjedzie.

Sandar zaczerwienił się. Wuj Offlas był naprawdę zdenerwowany, gdyż nigdy dotąd nie obchodził się tak ostro ze swoim synem. Roane pospiesznie przekazała resztę posiadanych informacji.

— Jest jeszcze książę Reddick, daleki kuzyn króla, lecz o wiele młodszy. To już wszystko, co ustaliły szpiegowskie roboty.

— Z przygotowań, które widziałas, wynika — wuj Offlas przygryzł w zatroskaniu dolną wargę — że musi to być ktoś z królewskiego rodu. Jeśli to księżniczka, możemy czuć się w miarę bezpiecznie. Prawdopodobnie nie jest zbytnią amatorką polowań. Ale i tak nie podoba mi się to całe zamieszanie tuż pod naszym bokiem. Dobrze by było poświęcić jeden dzień na obserwację, dopóki nie upewnimy się, kto przyjeżdża. Czas! — Zacisnął prawą rękę w pięść i z całej siły walnął nią w lewą dłoń. — Musimy jak najlepiej wykorzystać czas. Im dłużej pozostaniemy na planecie, tym większa szansa na dokonanie odkrycia...

Sandar uniósł głowę i wystawił twarz na podmuchy nasilającego się wiatru.

— Dzisiaj nic nam nie grozi. Nadciąga burza. Chociaż z drugiej strony nie będzie zbyt przyjemnie znaleźć się w jej centrum...

Jego ojciec odwrócił się w tym samym kierunku. Błada szarość zmierzchu faktycznie wydawała się bardziej mroczna niż zwykle. Ponadto widać było zbierające się chmury.

— Zanim się rozpęta, minie parę godzin. Roane — zwrócił się do dziewczyny — obejmiesz pierwszą wartę, przed burzą. Melduj za pomocą tego, jeśli zajdzie konieczność — wręczył jej ręczny komputer. Zaczynaj obchód od strony północnej. Ci leśnicy są wytrawnymi tropicielami. Ty, Sandar, rozstaw dodatkowe deformatory. Nie chciałem tak szybko zużywać baterii, ale teraz jest to konieczne. Ja nastawię odpowiednio emiter fal odpychających, a także deformator.

Roane cichutko westchnęła. Wcale jej się nie uśmiechało ponowne wczolgiwanie się na wzgórze. Z drugiej strony myśl o obserwowaniu miniaturowego zamku przejmowała ją dreszczykiem emocji, usuwającym w cień zmęczenie i lęk przed nadciągającą burzą. W głębi duszy była zaskoczona, że wuj Offlas wyznaczył ją do tego zadania. Chyba dlatego, że Sandar zna się lepiej na nastawianiu wszelkich czujników.

Wślizgnęła się do ziemianki i napchała kieszenie kombinezonu specjalną żywnością o przedłużonej trwałości. Co prawda była ona zupełnie bez smaku, ale Roane nie chciała a głodniaka, a w żołądku już odczuwała pustkę.

Zataczając koło w kierunku północnym dotarła do nowego terytorium. Nie mogła tracić czasu na badanie terenu, lecz dbała, by skrupulatnie zacierać po sobie ślady. Omijała starannie leżące gałęzie, by żadna z nich nie trzasnęła pod jej stopą, i uważała, żeby w grząskim leśnym podłożu nie zostawić odcisków butów. Te środki ostrożności spowodowały, iż szła wolniej, i dlatego, gdy dotarła do wzgórza, ciemności już rzedły. Po drodze dokonała jeszcze jednego odkrycia — była to druga wieża stojąca w lesie, niemal zupełnie zamaskowana krzewiącą się wokół bujną roślinnością. W otworze w ścianie, stanowiącym zapewne wejście, nie było drzwi, a całość wyglądała na dawno nie zamieszkaną. Być może były to opuszczone ruiny. Kusilo ją, żeby je spenetrować i obiecała sobie, że to zrobi, jak tylko nadarzy się sposobność.

Teraz miała przed oczyma zarówno wioskę, jak i zamek. W wielu oknach palily się światła. Widziała też krzątających się ludzi. Drewniane figury pobłyskiwały kolorami, a trzymane przez nie flagi łopotaly na wietrze.

Roane była tak zaabsorbowana tą sceną, że drgnęła gwałtownie na dźwięk nasilającego się odgłosu rogu. Na ścianie parapetowej zamkowego muru dostrzegła wartownika odzianego w jaskrawy kubrak, unoszącego do ust róg, by odpowiedzieć na to wezwanie. Do wioski wjeżdżali jeźdźcy, prowadzeni przez mężczyznę, który jedną ręką ścigał cugle, a w drugiej dzierżył róg. Dał w niego, wydobywając donośny dźwięk. Za nim jechał drugi, w równie cudacznym stroju — kubraku w zawily deseń przerzuconym przez pierś.

Z tyłu jechał mały oddział składający się z sześciu ludzi w żołnierskim szyku, w metalowych hełmach na głowach. Wszyscy salutowali trzymanymi w geście pozdrowienia szablami. Za nimi podążało kolejnych dwóch jeźdźców, wiodących długi szereg uzbrojonych ludzi. Jednym z jeźdźców była kobieta, której długa spódnica trzepotała po obu bokach wierzchowca, jakby była pęknięta na całej długości. Spódnica była w kolorze głębokiej leśnej zieleni, a obcisły żakiet utrzymany w tym samym odcieniu, zdobiony był na piersiach srebrnymi spiralami.

Z tej wysokości Roane nie widziała jej twarzy, ponieważ zakrywał ją wysoko postawiony kołnierz peleryny, która splywała fałdami w tył na ramiona. Na głowie miała kapelusz z szerokim rondem, przybrany stroikiem z długich żółtych piór.

Jej towarzysz przyodziany był w taką samą zieleń, od butów na nogach po okrywający głowę wysoki kapelusz z wąskim rondem. Jego twarzy Roane również nie dostrzegła, choć sądząc po stroju, musiał to być ktoś wysoko postawiony.

Wieśniacy wylegli na powitanie przybyłych. Mężczyźni wymachiwali czapkami, kobiety klaniały się nisko. Dama w zieleni uniosła rękę w geście pozdrowienia. Wszystkie wierzchowce

były astriańskimi dwurożcami, co uświadomiło Roane, że ma faktycznie do czynienia z kulturą osadników, łączącą w sobie elementy kultur wielu planet, wykreowaną zgodnie z zachcianką oddalonego o pół galaktyki umysłu. Zwierzaki te były mniejsze i lżejsze od tych, jakie Roane widywała wcześniej, lecz nie mogło być mowy o pomyłce, czego dowodem były charakterystyczne kręcone rogi, wylaniające się spod grzywy kiedy potrząsały łbami, jakby tańcząc.

Roane obserwowała pilnie wjazd całego towarzystwa na dziedziniec zamkowy. Przed głównym wejściem kobieta oraz ubrany na zielono mężczyzna zsiadli ze swych „rumaków”. On skłonił się w pół, po czym podał jej dłoń, a ona wsparła się na niej dystyngowanie, niemal nie dotykając jej palcami. Wyglądało to jak na filmie i Roane była oczarowana. W jaskrawych kolorach ludzie wydawali się nierealni, przypominali raczej postacie z bajki i nie mogła w nich uwierzyć. Czym innym było mieć to nagrane na szpiegowskiej taśmie, a czym innym oglądanie na żywo. Ześlizgnęła się ze swojego stanowiska całkowicie pewna jednego: że osobą, która właśnie przybyła, jest księżniczka Ludorika.

Nie mogła natomiast odgadnąć, kim był towarzyszący jej mężczyzna; mógł być każdym szlachetnie urodzonym z Reveny, począwszy od księcia Reddicka w dół. Wycofywała się z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, świadoma, że musi wracać okrężną drogą. W dodatku w czasie jej przespiegów nadciągnęła burza.

Nagle zrobiło się ciemno jak w nocy, i gdyby nie szkła noktowizyjne, zgubiłaby drogę. Wiatr szarpał koronami drzew z przerażającą furją. Roane przebywała już w wielu światach; знаła huragany, oberwania chmur i burze piaskowe, podczas których ciskany wiatrem żwir zdierał skórę do krwi. Wówczas jednak znajdowała się w ukryciu, jakie zapewniał jej obóz, osłonięta przed bezpośrednim szaleństwem żywiołów.

Teraz, złapana w szczerym polu, bliska była załamania. Musi znaleźć schronienie. A mogła nim być jedynie zrujnowana wieża. Zbierając resztki sił ruszyła w jej kierunku.

Do zwalających z nóg uderzeń wiatru dołączył deszcz. Gałęzie łamały się, spadały na ziemię. Kuląc się ze strachu umknęła spod jednej strzaskanej kłody. Ciemności rozdarł bicz błyskawicy, po którym rozległ się ogłuszający huk. A drzewo, do którego przyłgnęła całym ciałem, mimo iż wydawało się grube i silne, zakolysało się w porywie wichury. Nic mogła tu zostać, lecz czy starczy jej odwagi, by ruszyć dalej? Kolejny piorun znalazł sobie cel niedaleko od niej. Krzyknęła, lecz jej głos zagłuszył potworny grzmot. Próbowała biec, torując sobie na oślep drogę przez zarośla. Po pewnym czasie ujrzała przed sobą przypominające otwartą paszczę wejście do wieży.

Wpadła do środka zdyszana, z trudem łapiąc powietrze. Dzięki nieprzemakalnemu ubraniu ciało miała suche, lecz włosy przylepiły się do głowy, a woda spływała strużkami po twarzy do rozchylnych ust. Biegając tu miała wrażenie, że siła żywiołu odbiera jej oddech.

Teraz na tyle doszła do siebie, że mogła się ruszyć. Nastawiła promiennik na najmniejszą moc i zaczęła lustrować otoczenie.

Ku jej zaskoczeniu, były tu meble. Gdy jednak podeszła bliżej, stwierdziła, że swoją obecność tutaj zawdzięczają one prawdopodobnie faktowi, iż nie można ich było ruszyć z

miejsca.

Stół wyciosany był z jednej grubej płyty ciemnoczerwonego kamienia. Gdy starła nagromadzone na nim pokłady kurzu, dostrzegła, iż kamień jest poprzecinany cieniutkimi żyłkami złota, błyszczącego nawet w słabym świetle. U szczytu stołu w blat wprawiono naprzemiennie czerwone i białe kwadraty, tworzące prawdopodobnie planszę do jakiejś gry. Na przeciwległych końcach tej wspartej na okrągłych balach płyty, ustawiono dwa pozbawione nóg krzesła, których siedzenia stanowiły kwadratowe skrzynie z wysokimi oparciami i szerokimi poręczami. Zarówno oparcia, jak i poręcze były rzeźbione, lecz zagłębienia wzorów wypełniała gruba warstwa szarego kurzu, dlatego trudno było rozpoznać, co przedstawiają.

Pod jedną ze ścian stał masywny kufer, również rzeźbiony. Za nim, przylegając do ściany, biegły schody, których zewnętrzna strona nie była zabezpieczona żadną poręczą, wykonane z takiego samego kamienia jak ściany. Różnił się jedynie kolorem, gdyż nie był tak jaskrawo czerwony jak ten, z którego wykonano stół, lecz miał brudnorudy odcień.

Były tam jeszcze dwa wysokie, sięgające ramienia Roane stojaki z pokrytego rdzą metalu. Umieszczono na nich lampy — miski z dużymi knotami.

Podłogę pokrywały kupy liści i ziemi naniesione przez nie zabezpieczone drzwiami wejście. Roane podeszła do schodów i zaczęła się na nie wspinać, kierując światło promiennika w miejsce, gdzie stopnie znikają w ziejącej czernią jamie u góry.

Dotarła na drugi poziom i dopiero tam odkryła, że wieża, sprawiająca z zewnątrz wrażenie trzypiętrowej, ma w rzeczywistości jedynie dwa piętra. Jeśli kiedykolwiek istniało trzecie, to albo było drewniane i spróchniało, albo je rozebrano. Skierowała tam strumień światła, lecz ujrziała tylko kamień i potężne belki.

Pomieszczenie na górze również było umeblowane: dwa kolejne stojaki do lamp oraz stojące na wysokim podeście ogromne łóże z tego samego drewna co krzesła na dole. Przypominało kształtem podłużną skrzynię, a wypełniała je cuchnąca powłoka czegoś, co mogło być przegniłą tkaniną, prawdopodobnie szczątkami skołtunionej pościeli.

Były też okna — wąskie szczeliny bez zabezpieczenia przed wiatrem i deszczem, który teraz sphywał strumykami na podłogę. Kolejny błysk pioruna oświetlił jasno całe pomieszczenie. Po nim rozległ się taki huk grzmotu, że Roane upuściła promiennik, skuliła się za kufrem, zacisnęła powieki i zakryła rękoma uszy.

Zdawało jej się, że grzmot wypełnił całą wieżę, która zatrzęsała się od huk. Strach sparaliżował ją do tego stopnia, że nawet gdy wszystko ucichło, nie była w stanie się ruszyć. Nie zetknęła się dotąd z podobnie rozszalałym żywiołem jak ten, który teraz sprowadził ją do roli więźnia.

Nigdy później nie potrafiła określić, jak długo trwała w tej panice — godzinę, może dwie, lecz w końcu znów zaczęła myśleć. Wuj Offlas... Sandar... Przebywali w lesie. Czy obóz zdołał się oprzeć tak straszliwej burzy? A jeśli uderzył piorun lub zważyło się drzewo...?

Zaczęła nieporadnie manipulować przy minikomie, ręcznym komputerku, usiłując wybrać zakodowany sygnał. Na próżno jednak nasłuchiwała odpowiedzi. Burza musiała spowodować

zakłócenia w odbiorze. O ile odbiornik jeszcze w ogóle istniał...

Choć wiatr nadal zawodził wokół wieży i raz po raz słyhać było trzask odłamywanych gałęzi, a nawet padających drzew, to zdawało się, że najgorsze już minęło. Roane strzepnęła kurz z wieka kufra, sprawdziła ostrożnie, czy nie załame się pod jej ciężarem, i usiadła na nim. Następnie wyjęła tubkę z racją żywnościową i posiliła się jej zawartością.

Tak pokrzepiona, ponownie wzięła do ręki promiennik, chcąc dokładniej przyjrzeć się pomieszczeniu. Mimo obecności łóżka wątpiła, by wieża była kiedykolwiek zamieszкана. Być może jej przeznaczeniem było dawać schronienie takim nieszczęśnikom jak ona, ludziom złapanym przez burzę w środku lasu.

Niesamowity smród bijący od łóżka, coraz bardziej intensywny pod wpływem przejmująco wilgotnego powietrza, nie pozwalał jej się zbliżyć do tamtej części komnaty. W końcu jednak przelamała się i podeszła. Samo łoże wyglądało jak skrzynia bez wieka, dziura wypełniona zgnilizną. W jego czterech rogach widniały kolumnienki, na których czyjaś niesłychanie utalentowana ręka wyrzeźbiła po mistrzowsku przepiękne wzory. Przypominały do złudzenia korę drzew i pnące się winorośle, obecnie w większej części ukryte pod oblepionymi kurzem i zasuszonymi owadami pajęczynami, tworzącymi odrażającą draperię.

Pomiędzy wysokim wezglowiem (również rzeźbionym i posiadającym małe wnęki z miniaturowymi większymi lamp) a ścianą widniała szpara. W świetle promiennika Roane ujrzała coś dziwnego: szereg wykutych w kamieniu dziur, tworzących drabinę, prowadzącą ku znajdującym się powyżej krokwiom. Przełączyła promiennik na pełną moc i zaczęła przesuwac strumień światła w górę, tak daleko, jak dało się sięgnąć, i odkryła, że stopnie wiodą do jednej z wielkich belek poprzecznych. Nasuwało to myśl o jakimś sekretnym przejściu, które mogłoby w istocie tam być, gdyby ściany pokrywała jakakolwiek dekoracyjna tkanina lub gobelin.

Kusiło ją, żeby się tam wdrapać. Jednak rozsadek podpowiadał, że lepiej dać sobie z tym spokój i być gotową do opuszczenia wieży, gdy tylko burza ucichnie. Wiedziała, że musi iść, czekała jedynie, by błyskawice, których bała się najbardziej, przestały rozdzierać niebo.

Niestety, było już za późno. Wierząc się niezdecydowanie przy wyjściu, wahając się, czy zaryzykować marsz, czy jeszcze poczekać, Roane dostrzegła jaskrawy błysk i usłyszała donośne rzenie dwurożca. Jacyś myśliwi, podobnie jak ona zaskoczeni przez burzę? Odskoczyła w tył i spojrzala na podłogę, gdzie widniały nieco zatarte podczas niespokojnego miotania się tam i z powrotem, odciski jej stóp.

Jednym szarpnięciem rozpięła kombinezon i wyjęła z zanadru chusteczkę. Machając nią energicznie zacierała za sobą ślady, wycofując się do schodów. Jedyłą kryjówką, jaka przychodziła jej na myśl, było miejsce nad wezglowiem łóżka.

Chociaż natychmiast wyłączyła promiennik, było wystarczająco widno, by wdrapać się na górę. Dotarła na piętro w samą porę. Ledwo znalazła się w sypialni, usłyszała na dole głosy i tupot kroków. Żadnego więcej ryzyka. Już i tak była zbyt nieostrożna. Wcisnęła się pomiędzy wezglowie łoża a zimną ścianę, zakrywając dłonią nos, by nie czuć odrażającej woni wydzielanej przez zawartość legowiska.

Nic teraz niewidziała: w drewnianym wezglowiu nie było żadnych szpar. Ale za to słyszała.

Przybysze nie mówili oczywiście językiem Basic. Jednak w trakcie szkolenia Roane zdobyła praktyczną wiedzę o języku Reveny i teraz zaczęła wylapywać słowa. Wchodzili na schody. Nie potrafiła określić, ilu ich było, choć usilnie starała się rozróżnić głosy i liczbę kroków. Raz po raz rozlegał się metaliczny brzęk, jakby coś uderzało w ścianę. Towarzyszyły temu jakieś niezrozumiałe dla niej okrzyki, przypuszczała, że przekleństwa. Byli już na górze i przesuwali się w głąb izby. Teraz słyszała ich wyraźnie.

— ... jechać dalej przy takiej pogodzie. Trzeba mieć kompletnie pusto we łbie!

— ... się nie spodoba... — Drugi głos był ledwie słyszalnym mamrotaniem.

— Do diabła z tym! Powiadam ci, to miejsce jest tak samo dobre, żeby ją zakamufłować, jak podziemia Keveldso. Zwalimy ją na tamto wyro, uwiążemy na smyczy, a sami przeczekamy ten deszcz na dole. Boisz się, że zamieni się w węża i wyslizgnie przez któreś z tych okienek? Nie ma obawy! A na dole będziemy przecież my, siedząc sobie spokojnie i mile gawędząc, więc nie uda jej się zleźć niepostrzeżenie po schodach i zwiać. Poza tym i tak nie zerwie się z tego łańcucha. Jest z solidnej stali do wyrobu mieczy, a obroża była zrobiona specjalnie do przytrzymywania jednego z psów—człekobójców należących do Jego Miłości. Przymierz ją, no już, wypróbuj ją, chłopie. — Rozległo się zgrzytnięcie metalu. — Tak właśnie zatrzaśniemy ją na jej gardle. Nic da rady zwiać bez tego tu kluczyka, a on wędruje dokładnie tutaj, na sprzączkę mojego paska. Nie na darmo byłem pomagierem przy tych bestiach, chociaż nie powiem, żebym był niezadowolony, że uciekłem od tych bud!

— To mu się nie spodoba...

— A czy bardziej by mu się spodobało, jakby zważyło się na nas jakieś drzewo i zrobiło z nas galaretę? Widziałeś, co się przytrafiło Larkinowi. Aż się porzygałeś, co nie? On ma jakieś plany co do tej laluni, więc póki co, nie może wykorkować, nawet jakby miało ją przygnieść drzewo. Kazał dopilnować, żeby nie wyzionęła ducha i sam słyszałeś, że nie żartował.

— No... — Jednak Roane odniosła wrażenie, że przyznał to niechętnie. Ponownie jej uszu dobiegł zgrzyt metalu, potem śmiech, a pierwszy mówca ciągnął dalej:

— Nikt nie ośmieli się lekceważyć jego rozkazu. No, dobra! Jest uwiązana na mur. Nie ruszy się z tego miejsca. Idziemy, a ona niech sobie leży. Lepiej jej nie cucić. Te przejścia jej nieźle dopiekły. Walczyła jak lwica, zanim ją Larkin stuknął.

Tupot stóp, potem oddalający się odgłos kroków na schodach. Roane wstrzymywała oddech. Ohydny fetor z łóżka stał się nie do zniesienia, gdyż wrzucając do niego pojmaną kobietę, złoczyńcy poruszyli wypełniające je zbutwiałe szczątki. Jak długo będzie musiała się ukrywać? I czy w ogóle będzie mogła tu pozostać? Od tego smrodu robiło jej się niedobrze. Żałowała teraz, że połakomiła się na tamtą rację żywnościową. Na pewno nic umarłaby z głodu.

W pokoju panowała absolutna cisza, choć każdy odgłos i tak zostałby zagłuszony przez nasilający się ponownie wiatr. Zdaje się, że burza przycichła tylko na chwilę, a teraz odradzała się na nowo z jeszcze większą siłą. Ze słów mężczyzn wnioskuje, iż pozostawiona tu przez nich osoba, kimkolwiek była, była nieprzytomna. A ona musi złapać trochę powietrza, bo inaczej zwymiotuje. Mogła prześlizgnąć się wzdłuż ściany do jednego z okien i tam odetchnąć. Nieważne, że znów zacinał deszcz; musi poczuć na twarzy świeży wiatr.

Przesuwała się ostrożnie, co kilka centymetrów zatrzymując się i nasłuchując. Kiedy w końcu wydostała się z za wezglowia łoża, zastygła w bezruchu obserwując szczyt schodów. Z dołu dochodził słaby odblask światła. Musieli przynieść ze sobą latarnię. Lecz pokój pogrążony był w półmroku, w którym majaczyły ciemne kształty.

Zrobiła jeszcze jeden krok, gdy usłyszała szcęk metalu. Ponownie zamarła, zwracając głowę w kierunku łóżka. Z wypełniającej je zgnilizny uniosła się jakaś ciemna postać. Fetor spowodowany ruchem wywołał u niej atak kaszlu, gwałtownie stłumionego, jakby kaszlący starał się usilnie opanować rozrywające płuca spazmy.

Kolejny błysk pioruna oświetlił na moment komnatę. W łóżku była dziewczyna. Obu rękoma zakrywała nos i usta, a jej ramiona dygotały wstrząsane dreszczami. Spod tych przyciśniętych do twarzy dłoni spoglądały na Roane szeroko otwarte oczy.

Roane poruszała się jak automat. Przynajmniej później nie była w stanie przypomnieć sobie żadnego świadomego działania. Nim ponownie zaczęła myśleć, już pochylała się nad cuchnącym barłogiem, mając pod sobą miotające się na wszystkie strony ciało. Jedną dłonią zakryła usta dziewczyny i przygniotła ją swoim ciężarem, usiłując ją obezwładnić.

Nagle poczuła dotkliwy ból w ręce zasłaniającej usta przeciwniczki, więc oderwała ją instynktownie od jej twarzy. Dziewczyna ją ugryzła. Roane obawiała się, że mając wolne usta zacznie krzyżeć, lecz ta odezwała się cicho:

— Chcesz mnie udusić, durniu?

Roane odsunęła się, masując obolałą dłoń. Odpięła promiennik z paska, nastawiła na niskie promieniowanie i włączyła. Ujmując go jak tarczę, skierowała światło na kobietę.

Błada twarz, jaka ukazała się w jego blasku, była pomazana czarnymi smugami i obramowana potarganymi, ciemnymi włosami. Na szyi, poniżej znamionującego zdecydowanie podbródka, miała szeroką, metalową obrozę, od której odchodził nikiący w ciemnościach łańcuch. Dziewczyna trzymała się obręcz za obrozę, nie przestając wpatrywać się prosto w światło, jakby chciała dojrzeć, kto za nim stoi.

— Jeśli nie jesteś jednym z tych śmieci tam na dole — powiedziała szeptem — to kim jesteś? — Wyraźnie wzięła ją za mężczyznę i Roane postanowiła nie wyprowadzać jej na razie z błędu.

— Schroniłem się tu przed burzą — odpowiedziała wymijająco jeszcze cichszym szeptem. — Słyszałem, jak cię tu przynieśli i schowałem się.

— Gdzie? — spytała dziewczyna natarczywie, jakby odpowiedź miała dla niej jakieś rozpaczliwe znaczenie.

Roane przesunęła strumień światła jak wskaźnik na wezglowie łóżka.

— Za tym. Jest tam dosyć miejsca.

— Niemniej jednak to, gdzie byłeś, nie mówi mi, kim jesteś — rzuciła ostro dziewczyna. — Ja jestem księżniczka Ludorika! — Ton, jakim to oznajmiła, usuwał brudne smugi z jej twarzy, przejmujący odór i więżąca ją obrozę.

Roane popatrzyła na tę obrozę i poczuła, że rozpala się w niej isierka gniewu. Wszystko, czego nauczyła się podczas szkolenia, mówiło jej, że powinna natychmiast stąd wyjść. Mogła skorzystać z wykutych w ścianie stopni. Przysięgała przecież uroczyście najdonioślejszymi słowami znanymi jej narodowi, że nie będzie nawiązywała żadnych kontaktów. Wewnętrzne sprawy Reveny nie interesowały przybyszów z kosmosu. Odwieczne prawo o nieingerencji było ściśle przestrzegane. A teraz... ta obroza...

— Nie jestem z Reveny — odparła ponownie wymijająco, starając się mówić możliwie najciszej.

— A zatem nie chcesz się mieszać w tę sprawę? — warknęła księżniczka. — Czymże więc jesteś? Szpiegiem z Vordain? A może zagranicznym przemytnikiem? Ten, kto nigdy nie odsłoni

twarzy ani nie ujawni nazwiska, nie może zostać potępiony, gdy dostrzeżemy w nim chodzące zło. — Wygłosiła ostatnie zdanie, jakby cytowała jakieś przysłowie. — Czy można cię kupić? Mogę nieźle zapłacić...

Roane zdumiewało chłodne opanowanie księżniczki. Gdyby nie to, że mówiła szeptem, mogłoby się zdawać, iż zamiast w tym cuchnącym barlogu, uwiązana na łańcuchu i z obrozą na szyi, siedzi spokojnie w swoim pałacu. Nagle Roane spostrzegła, że coś, co początkowo wzięła za jeszcze jedną brudną plamę z boku brody dziewczyny, jest ciemniejącym, wielkim siniakiem. Raz po raz Ludorika robiła przerwy między słowami, jakby mówienie sprawiało jej trudność.

— Kim są ci ludzie na dole? — spytała z kolei Roane. Fakt, że ośmielili się tak brutalnie potraktować następczynię tronu, dowodził, że to nie pospolici kryminaliści. A im więcej się dowie o tym, co się za tym kryje, tym lepiej będzie mogła zaplanować przyszłe działania. Wiedziała już, że nie może zostawić Ludoriki na pastwę losu.

— Chcąc osłabić ich czujność, musiałam grać rolę omdlelej białogłowy, więc nic mogłam im się dokładnie przyjrzeć. Mieli na sobie kaftany leśników, ale szczerze mówiąc, nie wierzę, by nimi byli. A jak trafiłam w ich łapy — wzruszyła ramionami, przy czym łańcuch się naprężył zacieśniając obrozę i wywołując tym samym atak stłumionego kaszlu — tego nie wiem. Położyłam się spokojnie spać do własnego łóżka w Hitherhow. Kiedy się ocknęłam, leżałam na podskakującym na wybojach leśnej drogi wozie, a deszcz lał na mnie tak, że o mało się nie utopiłam. To w jakiś wątpliwy sposób przywróciło mi przytomność umysłu. Potem trafiliśmy w sam środek burzy i zwałiło się na nas drzewo. Wóz doszczętnie spłonął. Zdaje się, że tego, co nim kierował, nie dotyczą już sprawy tego świata. Tamci wyciągnęli mnie i przynieśli tutaj.

Nagle zmieniła temat.

— Sądzę, że nie pochodzisz z Vordain — powiedziała — Jeśli jesteś przemytnikiem, zostaniesz całkowicie ulaskawiony, a do tego zyskasz sporą sakiewkę. Tylko uwolnij mnie od tego — znów szarpnęła za obrozę — i doprowadź do placówki w Yatton. — Ciągle patrzyła wprost przed siebie, jakby wyraźnie widziała Roane.

Gdy dziewczyna z kosmosu nie odpowiedziała, księżniczka zacisnęła na moment usta, a potem dodała:

— Odnoszę wrażenie, że ty też nie za bardzo życzysz sobie kontaktu z tymi z dołu. Może zatem zjednoczymy siły na czas tej jednej batalii w myśl zasady: mój wróg jest twoim wrogiem — wyraźnie znów cytowała. — Twoja mowa brzmi dziwnie, nie jesteś z Reveny, nie masz też akcentu z Vordain ani nie mlaskasz językiem jak ci w Leichstanie. Chyba że jesteś jakimś najemnikiem z północy... Zresztą mniejsza o to. Uwolnij mnie, a Reveny ci to wynagrodzi i do końca swych dni będziesz się pławił we wdzięczności ludu i dobrobycie, a to nie byle co. — W jej głosie brzmiała taka duma, że Roane raz jeszcze zapomniała, gdzie się znajdują i że ma przed sobą więźnia, a nie osobę siedzącą na tronie.

Ostatecznie co jej szkodziło pomóc? Już i tak była w to wplątana przez sam fakt przebywania tutaj i pokazania się księżniczce. Gdyby teraz odeszła — bo przecież nic nie stało na przeszkodzie, by wspiąć się po stopniach w ścianie ku wolności — to księżniczka, ze złości, że ją tak zostawiła, może nasłać na nią tych swoich porywaczy z dołu. a ci mogą ją dopaść i

zdemaskować. A przecież jeśli uda się wyciągnąć stąd Ludorikę, w każdej chwili może ją potem zgubić w lesie. Niech zatem księżniczka nadal trwa w przekonaniu, że ma do czynienia z przemytnikiem zbyt głęboko zaangażowanym w jakąś przestępczą działalność, by okazywać cokolwiek więcej ponad przezorność.

Ostatecznie księżniczka i tak brała ją za mężczyznę, być może dlatego, że oślepiąca światłem dostrzegła tylko niewyraźnie kombinezon i krótko ostrzyżone włosy. To również stanowiło sprzyjającą okoliczność.

— W porządku — zgodziła się, aczkolwiek niechętnie. — Ale ta obroza... — pochyliła się, kierując promiennik najpierw na opaskę na szyi księżniczki, a potem wzdłuż łańcucha do miejsca, gdzie był przymocowany do nogi łóżka. Zobaczyła zamek, lecz nie widziała sposobu na jego sforsowanie.

Coś jednak musiała wymyślić. Jej dłoń powędrowała do narzędzia przy pasie. Użycie go było kolejnym wykroczeniem przeciwko wszystkiemu, co jej wpojono i czego nauczono. Odnosiła dziwne wrażenie, że jedna część jej umysłu oddzieliła się od drugiej i obserwuje, jak wyciąga to urządzenie z mocującej je pętli. Im dłużej tu przebywała, tym bardziej wydawało jej się słuszne i właściwe robienie tego, co chciała Ludorika — jak gdyby życzenie księżniczki wywoływało u niej natychmiastową chęć jego spełnienia.

Roane schyliła się, usiłując nie wdychać oparów gnijących resztek, i w przytłumionym świetle promiennika wyciągnęła rękę z narzędziem, nastawiając je odpowiednio kciukiem. Potem przytknęła je do łańcucha, jak najdalej od księżniczki. Błysnęło. Roane wepchnęła przecinak z powrotem do pasa i mocno szarpnęła łańcuch. Pękł. Od strony łóżka dobiegł cichy odgłos przypominający westchnienie.

— Obrozę będziesz musiała jeszcze przez jakiś czas ponosić — wyszeptała Roane. — Boję się ciąć tak blisko szyi.

— Dzięki za to, że chociaż na tyle odzyskałam swobodę. Lecz pozostają jeszcze ci na dole. Jeśli masz sztylet, to...

Ludorika jedną ręką przytrzymała łańcuch, żeby nie robić hałasu. Przesunęła się do krawędzi łoża i ześlizgnęła na podłogę. Biała — czy raczej niegdyś biała — nocna koszula splotła się kaskadami falbanek do jej stóp. Jeden z grubych warkoczy rozplótł się i długie włosy pełne paprochów z łóżka opadały jej na ramię.

Zaczęła wybierać to paskudztwo paznokciami, krzywiąc się z obrzydzenia.

Dziewczyna z kosmosu z powątpiewaniem przyglądała się odzieniu księżniczki. Jediną drogą ucieczki były te wykute w ścianie stopnie, na których ledwie mieścił się czubek stopy. Z całą pewnością księżniczka nie zdołała się po nich wspiąć z tymi wszystkimi fałdami i falbanami. Poczuwając się do roli przywódcy (jako że pogodziła się już z odpowiedzialnością, będącą efektem jej nie w pełni świadomej decyzji), oświetliła promiennikiem wgłębienia w murze i przedstawiła swój plan. Jednak teraz, gdy dochodziło do jego realizacji, rodziło się w niej coraz więcej wątpliwości.

— Pożycz mi sztylet! — szepnęła Ludorika. W tym samym momencie zorientowała się

widocznie, jak może być odebrana ta prośba, gdyż parsknęła stłumionym śmiechem.

Nie bój się! Nie zamierzam torować sobie drogi do wolności walcząc z tamtymi oprychami. Ale nie mogę przecież wspinać się w tym! — szarpnęła niecierpliwie koszulę.

— Nie mam sztyletu — odparła Roane.

— Nie masz sztyletu? To czym się bronisz? — W głosie księżniczki brzmiało autentyczne zdumienie.

Wtedy Roane pokazała jej zatknięty za pas nóż. Księżniczka złapała go w okamgnieniu i zaczęła rozcinać od góry do dołu najpierw przód, a potem tył rozłożystej spódnicy. Następnie odcięła od niej wąskie tasiemki, którymi obwiązała rozcięte części wokół kostek, tworząc w ten sposób coś w rodzaju groteskowej kopii kombinezonu Roane. Zanim zwróciła nóż właścicielce, przytknęła jego czubek do opuszki kciuka.

— Przypomina narzędzie używane przez leśników do oprawiania zwierzyny — skomentowała — a mimo to jest inny. Nie powiedziałaś mi, jak się nazywasz... Ani nie pokazałaś twarzy...

Błyskawicznie chwyciła nie spodziewającą się niczego Roane za rękę, zaciskając palce wokół nadgarstka dłoni podtrzymującej promiennik. Gwałtowność tego ataku kompletnie zaskoczyła dziewczynę i zanim zdążyła zareagować, napastniczka skierowała promiennik w jej stronę, oświetlając jego właścicielkę.

Roane wyrwała się, lecz zbyt późno. Księżniczka zdążyła jej się dokładnie przyjrzeć, a będąc osobą tak bystrą, musiała dużo zobaczyć. Zaczynała odczuwać w stosunku do niej pewien lęk połączony z podziwem. Dziewczyna, którą wyciągnięto z łóżka, przywleczono do tego miejsca i przykuto łańcuchem jak psa, która została zaatakowana przez Roane, która wreszcie potrafiła nie poniżając się prosić o pomoc, przedstawiając logicznie swoje argumenty... To nie jest zwyczajna osoba, taka jak ludzie na Clio czy poza nią. Roane zastanawiała się, czy w podobnych okolicznościach również umiałaby się tak zachować.

— Nie jesteś mężczyzną! — Promiennik, spełniwszy swoje zadanie, zwrócił się w kierunku podłogi. — Lecz twój sposób ubierania się... Czegoś takiego jeszcze nie widziałam. I te krótkie włosy! Jesteś naprawdę dziwna. Może legendy mimo wszystko nie kłamią. Jeśli... jeśli — po raz pierwszy głos księżniczki zadrżał — Jeśli jesteś jedną ze Strażniczek, to powiedz mi prawdę... Mam do tego prawo, gdyż jestem Królewskiej Krwi, następczynią tronu Reveny... Jeśli jesteś Strażniczką, co się stało z Lodową Koroną?

Cała ta przemowa była dla Roane mieszanką rozkazu i prośby, i nie zrozumiała z niej absolutnie nic. Zrozumiała natomiast wymowę dobiegających z dołu dźwięków. W czasie ich zmagania z łańcuchem i wygrzebywania się z łoża, burza ucichła; teraz słyszały krzątających się na dole mężczyzn.

Złapała księżniczkę za rękę i wyłączyła promiennik. Gdyby tamci przyszli po swojego więźnia, niewiele mogłyby zdziałać w swojej obronie. Jakżeby się teraz przydały paralizatory, które zostały w obozie! Nawet ich jeszcze nie rozpakowali, ponieważ, mając zainstalowane deformatory, nie musieli się obawiać leśnych zwierząt. A był to jedyny przypadek, w którym

wolno im było używać tej broni, gdyż używanie jej przeciwko ludziom było surowo zakazane. Wyjątek stanowiła sytuacja skrajnego zagrożenia. Roane miała więc tylko nóż, znajdujący się ciągle w ręku księżniczki oraz narzędzie, przy którego pomocy rozerwała łańcuch. Nic poza tym.

Trzymając się za ręce stały, nasłuchując w milczeniu. W pokoju zrobiło się jaśniej. Może nawet nie będą potrzebowały promiennika. Roane pociągnęła księżniczkę za wezłowie łoża. Im wcześniej przekonają się, czy te wykute dziury prowadzą do wolności, tym lepiej.

— Wdrapuj się! — pchnęła Ludorikę przed sobą i teraz pozostawała jej tylko nadzieja, że ta zdoła się wspiąć na górę.

Kiedy księżniczka stanęła twarzą do ściany i uniosła ręce, by sięgnąć pierwszych otworów, Roane przykucnęła obserwując szczyt schodów. Fatalnie się składało, że nie mogła zabarykadować tej drogi, na przykład zastawiając ją kufrem. Lecz jeden rzut oka na niego powiedział jej, że taka sztuka jest niemożliwa.

Wydawało jej się, że oddech księżniczki oraz delikatne skrobanie palców jej rąk i nóg (gdyż była bosą) odbijają się głośnym echem. Natężyła słuch w obawie przed jakąś reakcją z dołu.

Księżniczka znajdowała się już wysoko ponad poziomem wezłowia łoża, usiłując dosięgnąć mającego w mroku skrzyżowania górnych belek. Roane ruszyła w jej ślady. Stwierdziła, że przypomina to wspinaczkę na strome zbocze, tyle że tu każdemu podciągnięciu się towarzyszył strach, iż lada chwila może zostać pojmana. Własny oddech dudnił głośno w jej uszach. Starła się opanować strach, nie myśląc o tym, co się może przydarzyć, lecz o tym, co musi zrobić w następnym, a potem jeszcze następnym momencie.

— Tutaj są jakieś zbite deski — poinformowała ją szeptem księżniczka — chyba drzwi. To musi być tajny wyciąg.

Roane nie miała pojęcia, co jej towarzyszka może mieć na myśli, lecz dodawała jej otuchy świadomością, że jest zorientowana w tajnikach tutejszych budowli. Później ręka Roane sięgająca do kolejnego wykuszu, drapnęła o twardą powierzchnię i dziewczyna wciągnęła się na podest ułożony na wiązaniu dwóch belek.

— To drzwi na dach. Wyjęłam rygiel — oznajmiła księżniczka. — Potrzebuję jednak twojej pomocy, żeby je otworzyć; sama nie dam rady. Musiały być bardzo dawno nie otwierane.

Przyklęknęły obok siebie i zaparły się mocno rękoma o drewnianą powierzchnię ponad głowami. Na ich twarze i włosy sypał się kurz, jednak nie zważając na to Roane powiedziała:

— Teraz!

Początkowo wydawało się, że ta przeszkoda została na dobre zacementowana przez czas. Zebrały wszystkie siły i spróbowały ponownie. Wąska, jasna szczelina zrobiła się nieco szersza. Potem jakby puściły jakieś kolejne zasuwę i kłapa uniosła się, skrzypiąc. W twarze dziewcząt uderzył powiew świeżego, wilgotnego powietrza.

Roane podciągnęła się na rękach i wyskoczyła na zewnątrz, po czym odwróciła się podając rękę księżniczce, która z wysiłkiem podążała za nią. Znajdowały się na dachu wieży. Wokół dachu biegł sięgający pasa murek. Był już dzień, choć na niebie wisiały ciężkie, deszczowe

chmury. Roane opuściła klapę na miejsce. W gruncie rzeczy ich sytuacja uległa bardzo wątpliwej poprawie. Pozostawało im jedynie przeczekać tu w ukryciu, aż mężczyźni z dołu odejdą. A na to, zdaniem Roane, istniała nikła szansa.

Księżniczka jednak nie siedziała z założonymi rękoma. Przeciwnie, pełną na czworakach przesuwała się wzdłuż murku, zatrzymując się co jakiś czas i obmacując palcami jego powierzchnię, jakby szukała czegoś, czego istnienia była pewna. Widząc, że Roane ją obserwuje, przerwała na chwilę, a jej palce zakreśliły jakiś kształt najpierw na murku, a potem na powierzchni pod nim.

— Szczęście nam sprzyja — powiedziała. — Tu rzeczywiście jest wyciąg.

Roane podeszła do murku i wychyliła się. W pewnej odległości sterczała krawędź urwiska. Dziewczyna próbowała wymierzyć odległość pomiędzy nim a wieżą. Była ona jednak dość znaczna i nie było się co ludzić, że uda się ją pokonać bez pasa do skoków, jakim dysponowała jej cywilizacja. Mimo to księżniczka z uporem oczyszczała dach, odgarniając naniesione latami przez wiatr śmieci.

— Aha! Tutaj!

Odczołgała się kawałek od murku i zaczęła dłubać w czymś, co wydawało się Roane zwyczajnym rozstępem pomiędzy kamiennymi płytami tworzącymi dach.

— Nóż! Podaj mi go! Ta płyta jest na pewno ruchoma! Roane ponownie uwierzyła, że Ludorika wie, do czego zmierza. Podala jej nóż i nie zaprotestowała ani słowem, kiedy księżniczka zaczęła wpychać jego czubek w szczelinę.

Wyłobila w ten sposób małe rowki i rozgarnęła wydlubaną ziemię. Teraz Roane zobaczyła, że pęknięcie jest o wiele szersze, niż wydawało się z początku, a w ciągu kilku minut pracy Ludorika oczyściła je na tyle, że mogła w nie wsunąć palce.

Rzuciła niecierpliwie do Roane:

— Odsuń się! Dalej! To może trochę potrwać. Uszczelnienie jest bardzo stare. Te konstrukcje budowano z przeznaczeniem na drogi ucieczki podczas pierwszej inwazji Nimpów, lecz jeszcze nie widziałam takiego, które by nie działało. Muszę tylko znaleźć przycisk blokujący.

Przesuwała rękę do przodu i do tyłu, gmerając palcami w szczelinie. Nagle rozległ się zgrzytliwy dźwięk, podobny do tego, jaki wydały prowadzące na dach drzwiczki, i kamienny blok drgnął, wysuwając się niczym szuflada w kierunku murku. Cały fragment murku, odpowiadający szerokości przesuwanej się płyty, opadł na zewnątrz jak na niewidzialnych zawiasach.

— Pomóż mi... — poprosiła zasapana księżniczka.

Roane przeszła na drugą stronę płyty i pchnęła ją. Wysuwała się ona coraz dalej i dalej przez otwór w murku, tworząc wąską kładkę, która co prawda nie dochodziła do samej krawędzi klifu, lecz wystarczająco blisko, by umożliwić przejście.

Księżniczka przysiadła na piętach dysząc z wysiłku, a jej umazana twarz płonęła.

— Musimy się spieszyć. To wytrzyma tylko określony czas, a potem chowa się z powrotem.

Roane nawet nie próbowała pokonać wąskiej kładki na stojąco, lecz opadła na kolana i na czworakach, nie spuszczać oczu z kamiennego jęzora ciągnącego się do zbocza, wolno pełzała naprzód. Zakręciło jej się w głowie. Nigdy nie przepadała za wysokością, choć zwalczyła lęk przed nią w ciągu lat wędrówek. To była jednak najgorsza próba, jakiej kiedykolwiek ją poddano.

Dobrnęła do końca płyty. Pomiędzy nią a występem w skale ziała głęboka otchłań. Skoczyła, lądując ciężko na skale. Potem wstała i gotowa pomóc księżniczce wyciągnęła do niej rękę.

Całe szczęście, że to zrobiła, bo gdy tylko ujęła mocno wyciągnięte do niej rękę dziewczyny, kamienny jęzor zadrżał, poruszył się i zaczął się cofać do wieży. W ostatnim momencie zdążyła pociągnąć Ludorikę na bezpieczny grunt. Płyta wróciła na swoje miejsce. Murek podniósł się do poprzedniej pozycji, a ich most przestał istnieć.

— A teraz... do Yatton... — księżniczka usiłowała doprowadzić do porządku resztki nocnej koszuli. Zrobiła krok i krzyknęła przeraźliwie, po czym uniosła bosą stopę i zaczęła ją rozcierać.

Roane pomyślała o swoich planach: zamierzała pomóc księżniczce w ucieczce, a potem zniknąć w lesie, zostawiając tamtą, żeby poszła, gdzie chce. Teraz stwierdziła, że nie może porzucić towarzyski. Padał dojmująco zimny deszcz, a ona była boso. Ile czasu potrwa, zanim tamci z wieży odkryją, że uwięziona zniknęła? A potem... — ile będą potrzebowali, by ją znów dopaść?

— Gdzie jest to twoje Yatton? — rzuciła tonem zniecierpliwienia.

Jedyną alternatywą było zabranie księżniczki do obozu, a to wróżyło gigantyczną katastrofę. Obojętnie jak zadecyduje, z każdą mijającą chwilą była w coraz większych tarapatach.

— Ze dwie mile, może trzy. — Księżniczka uniosła drugą stopę i zaczęła ją masować. — Prawdę mówiąc nie jestem pewna, czy zdołam tyle przejść bez butów. Mam wrażenie, że moje nogi są zbyt obolale i nie podolają trudom.

— Nie możemy być daleko od Hitherhow.

Skończywszy masować stopę, księżniczka zajęła się zwijaniem łańcucha, plotąc na wiotkich ramionach dziwaczny, brzydki naszyjnik.

— Nie wracam do Hitherhow, dopóki się nie upewnię...

— Nie upewnisz się? O czym?

— O tym, w jaki sposób z taką łatwością porwano mnie z własnego łóżka, a żaden strażnik nie kiwnął nawet palcem, by temu zapobiec.

Patrzyła na Roane posępnie. Po chwili jej wzrok stał się bardziej badawczy.

— Ty... ty na pewno nie jesteś jedną z nas. Ale nie jesteś też Strażniczką. Strażniczka nie musiałaby się wspinać na tamte schody w ścianie, przechodzić po kładce ratunkowej. Strażniczka, wedle wszelkich starych legend, może zrobić wszystko, czego zapragnie.

Wystarczy, że o tym pomyśli. Nie wiem, kim jesteś, a ty mi tego nie powiesz...

Jestem Roane Hume — Roane powiedziała to bezwiednie. Znowu zadziałał ten dziwny przymus mówienia prawdy, który reagował w niej, nim zdążyła to sobie uświadomić. — Nie jestem z Reveny, ale sądzę, iż udowodniłam, że nie zamierzam cię skrzywdzić.

— Roane Hume — powtórzyła księżniczka. — Twoje imię również brzmi obco. Lecz w obecnych czasach wiele rzeczy jest inne niż niegdyś.

Nadal lustrowała Roane badawczo, ale w końcu się uśmiechnęła i wyciągnęła rękę.

Gest ten sprawił, że Roane poczuła, jak wewnątrz topnieje. Miała wrażenie, że jeszcze nigdy nikt się tak do niej nie uśmiechnął, że nikt nie prosił w ten sposób o pomoc — łagodnie i bez natarczywości. Jej opalona dłoń ujęła te bielsze, choć ubrudzone palce i ścisnęła je przez moment, dopóki nie przypomniała sobie po raz któryś z rzędu, że jest ostatnią osobą na tym świecie, która ma jakiegokolwiek prawo nawiązywać przyjaźnie czy nawet przelotne znajomości.

— Nie składasz hołdu. W tym jesteś podobna do Strażniczki — stwierdziła Ludorika. — Czy dlatego traktujesz mnie jak równą sobie, że tam, skąd pochodzisz, nie ma rozróżnienia na tych z Królewskiej Krwi i resztę?

— Coś w tym rodzaju — przyznała Roane ostrożnie.

— Nie sądzę, by ktoś z Reveny mógł wieść spokojny żywot w tak dziwacznie zorganizowanym miejscu — zaczęła księżniczka, po czym roześmiała się, przykładając palce do warg, jakby chciała wepchnąć z powrotem te dosadne, spontaniczne słowa. — Nie znaczy to, że nie szanuję twoich obyczajów, Roane Hume. Po prostu wychowana według jednego wzorca, jestem zdumiona, widząc inny.

— Nie mamy czasu, żeby o tym dyskutować — Roane zwalczyła chęć zadawania pytań, które pozwoliłyby jej dowiedzieć się czegoś więcej o Ludorice. — Jeśli nie możesz wrócić do Hitherhow, a dojdzie do Yatton przekracza twoje możliwości, to dokąd pójdziesz? — Musiała już ruszać, lecz nadal nie mogła się zdobyć na porzucenie księżniczki.

— Skąd tu przyszedłeś. — Ludorika uczepiła się dokładnie tego rozwiązania, które Roane najbardziej przerażało. Nie miała pojęcia, do czego mógłby się posunąć wuj Offlas, gdyby wróciła do obozu z tą zaszarganą i przemoczoną uciekinierką. Mogła jedynie przewidywać, że to się źle skończy. Lecz naprawdę nie przychodziło jej do głowy żadne inne rozwiązanie.

— W porządku, zabiorę cię tam — usłyszała własny, szorstki i lodowaty głos.

Ciągle usilnie szukała innego wyjścia. Istniała jeszcze jedna, nikła nadzieja. Może odkryje jakąś kryjówkę w lesie, zostawi tam Ludorikę, dostarczy jej jedzenie, ubranie i jakieś buty, a potem wyprawi ją do swoich. Ryzykowny plan, niemal z góry skazany na niepowodzenie. Lecz nie pozostawało nic innego...

Odwróciła się i obserwowała przez chwilę widoczny fragment wieży i lasu. Nie wątpiła, że tamci będą je ścigać. Dlatego muszą zatrzeć po sobie wszelkie ślady. Jednocześnie należy zapewnić księżniczce najskuteczniejszą ucieczkę.

— Musimy pójść tamtędy — wskazała na północ, w kierunku przeciwnym niż obóz. Idąc

okrężną drogą zyskiwały na czasie.

Zeszły z krawędzi skalnego występu. Księżniczka schodziła powoli, z widocznym trudem. W końcu Roane wzięła swoją torbę na żywność, przełożyła jej zawartość za poły kombinezonu, rozcięła ją nożem na dwie części i obwiązała połówkami stopy towarzyszki. Teraz mogły maszerować dalej.

Deszcz nie przestawał padać, lecz nie był już tak gwałtowny jak w czasie burzy. Księżniczka dygotała z zimna. Roane doszedł nowy kłopot. Uodporniona szczepionkami wynalezionymi przez jej cywilizację, zdawała sobie sprawę, że ci, którym nie zagwarantowano takiego medycznego zabezpieczenia, muszą być wielce podatni na zachorowania. Co będzie, jeśli Ludorika się rozchoruje, co będzie, jeśli... Ich przyszłość była za bardzo przepelniona tymi „jeśli”. Roane powinna zaprowadzić ją prosto do obozu. Miała jednak głęboko zakodowane w trakcie rygorystycznego szkolenia przekonanie o konieczności kamuflażu, i to powodowało, że uparcie preparowała fałszywy trop, który mógł ustrzec je przed zagładą.

W końcu jednak dotarło do niej, że Ludorika ledwo trzyma się na nogach. Nie skarżyła się, co prawda, lecz z trudem wlokła się z tyłu. Roane dwukrotnie traciła ją z oczu, a gdy zawracała, znajdowała ją opartą o drzewo, uczepioną pnia tak kurczowo, jakby stanowił jej jedyną podporę. W końcu doszło do tego, że musiała ją niemal dźwigać.

Wreszcie dotarły do jednego ze skalistych wzgórz, które wydało się Roane znajome. Z ulgą stwierdziła, iż orientuje się, gdzie się znajdują. W zboczu wzgórza widniało świeże, głębokie pęknięcie. Poczula swąd palonego drewna. Widocznie uderzył tu piorun, powodując obsunięcie się ziemi.

W miejscu, z którego się obsunęła, ziała teraz dziura. Najwyraźniej znajdowała się tam jaskinia lub przynajmniej głęboka szczelina. Mogła stanowić wystarczającą kryjówkę, tak więc Roane pociągnęła księżniczkę do ciemnego otworu.

Roane wiedziała, że znajdują się niedaleko od obozowiska. Mogła zostawić tu księżniczkę, udać się po niezbędny ekwipunek i wrócić. Nie chciała myśleć o trudnościach, na jakie może natrafić w trakcie realizacji tego planu. Działanie pojedynczymi etapami było najlepsze.

Przepchnęły się przez świeżą rozpadlinę w ścianie klifu, gdzie deszcz już nie sięgał. I chociaż samo wejście było wąskie, dalej rozszerzało się, ginąc w ciemnościach, stwarzając wrażenie pomieszczenia o znacznych rozmiarach. Ułożywszy księżniczkę na ziemi, Roane wysupłała promiennik i nastawiła go na pełną moc.

To nie była naturalna jaskinia. Światło promiennika ujawniało tego dowody, na których widok stanęła jak wryta. Był to przedsionek prowadzący do tunelu, który, jak podpowiadała jej wiedza z archeologii, nie został uformowany przez naturę. Ściany były tak gładkie, że gdy podeszła i położyła na najbliższej z nich rękę, stwierdziła, że palce ślizgają się po niej jak po wypolerowanej, metalowej powierzchni, choć pozornie wyglądała jak lity kamień.

Pospiesznie nacisnęła przycisk kontrolny na swoim detektorze. W odpowiedzi usłyszała potwierdzające piknięcie, co upewniło ją, iż jej podejrzenia są słuszne. Mało tego, że otwór w skale był zrobiony celowo, to detektor wskazywał jeszcze obecność starożytnych szczątków. Przypadkowo natknęła się dokładnie na miejsce, którego poszukiwali! Uniosła rękę, gotowa jak najszybciej zameldować o swoim odkryciu przez minikom, umocowany wokół nadgarstka. Jednak nim nacisnęła przycisk nadawania, przyszło opamiętanie.

Sprowadzić tu wuja Offlasa i Sandara...Pozwolić im zobaczyć księżniczkę... Przecież oni w żadnym razie nie puszczą wolno mieszkańca Clio, wiedzącego o ich istnieniu.

Gdyby dali się zdemaskować, to nie tylko wydalono by ich ze Służby; mogliby, co gorsza, zostać po wsze czasy osiedleni na stałe na planecie wybranej przez władze. Wuj Offlas, Sandar, ze złamanymi karierami, umieszczeni na czarnej liście w jedynej dziedzinie, na jakiej się znali... Nie, do tego nigdy nie dopuszczają. A wówczas jedyną alternatywą będzie uciszyć dziewczynę, która teraz przykucnęła na kamieniu, kaszląc i pocierając rękoma rozpaloną twarz. To uciszenie nie oznaczało śmierci, jak to niegdyś bywało (Roane słyszała mroźące krew w żyłach opowieści z wczesnych dni podboju kosmosu). Dla Ludoriki mogło ono oznaczać zablokowanie pamięci lub nawet zsyłkę poza świat w otchłań kosmiczną. Tak czy inaczej, ucierpi niewinność. Pozostawało jedynie grać na zwłokę i czekać, z nadzieją na jakiś cud. Od tej niemożności znalezienia wyjścia z sytuacji rozboleła ją głowa. Nie wiedziała, co takiego jest w Ludorice, że budzi w niej współczucie i sympatię. Może oddziaływał na nią ten nikły cień pierwotnego zaprogramowania, jakiemu poddano tutejszych osadników w momencie poczęcia tego nieszczęsnego, eksperymentalnego świata.

Kiedy tak stała uwikłana w sieć dylematów, poczuła dłoń zaciskającą się na jej ręce, tuż nad minikodem, z którego powinna zrobić teraz użytek, o ile chciała pozostać wierna swemu narodowi i zasadom, w jakich ją wychowano.

— Co to za miejsce? To nie jaskinia! Sądziła, że księżniczka jest zbyt wyczerpana, by zdawać sobie sprawę z tego, co ją otacza. A jednak Ludorika stała obok i patrzyła w twarz Roane, może nie tyle oskarżycielsko, co pytająco; jakby nie wierzyła własnym oczom.

— Zrobiłaś to! — zachwiała się, jakby trudno jej było ustać na obolałych stopach.—
Przyprowadziłaś nas do Kryjówki Ocha! Korona... Oddaj mi Koronę!

— Uspokój się, proszę. Nie wiem, o czym mówisz... co za Korona? I Kryjówka Ocha... —
zaprotestowała Roane.

Czy to możliwe, że wynalazek Prekursora został już wcześniej odkryty na Reveny i że oni się spóźnili? Lecz szpiegowskie roboty Służby nie natknęły się na najmniejszą wzmiankę o takim wydarzeniu, które przecież niewątpliwie spowodowałoby wystarczające zamieszanie, by wryć się głęboko w pamięć opinii publicznej.

Przez długą chwilę księżniczka wpatrywała się w oczy dziewczyny z kosmosu, jakby pragnęła samą siłą woli wydobyć z niej prawdę, unikając wykrętnych bądź kłamliwych odpowiedzi. Jednakże Roane nie było dane dowiedzieć się, czy towarzyszka podejrzewając kłamstwo, gdyż od strony wejścia rozległ się stłumiony huk.

Odwróciła się gwałtownie, a księżniczka uczepliła się jej kurczowo. Odruchowo skierowała latarkę ku wyjściu, lecz wyjścia już nie było. Zamiast niego, w ostrym blasku światła, ukazała się zasłona ze skał i ziemi, z kawałkami połamanych gałęzi i poobrywanymi liśćmi.

Roane z krzykiem odepchnęła Ludorikę i rzuciła się do zasypanej szczeliny. Zdołała odgarnąć trochę rozmiękczonej deszczem gliny i wyciągnąć sterczące z niej gałęzie. Jednak pod spodem był głaz, którego nie mogła ruszyć. Chociaż, może uda się go przeciąć przy pomocy narzędzia.

— Czy... czy jesteśmy uwięzione?

Roane opadła na kolana, oświetlając promiennikiem głaz. Paradoksalnie, jej problem rozwiązał się sam. Życie ich obu zależało teraz od pomocy z zewnątrz — z obozu. Jedyne znajdujący się tam mężczyźni dysponują sprzętem, który bez trudu sobie z tym poradzi.

— Tak. Nie dam rady tego skruszyć, narzędzie jest za słabe. Będę musiała wezwać pomoc.

Czy powinna ostrzec księżniczkę o skutkach? Czy też czekać, z nadzieją, że wydarzy się coś, co ułatwi trudny wybór?

— Podejrzewam, że to miejsce jest Kryjówką Ocha. Skoro musimy czekać na pomoc, może byśmy się tu trochę rozejrzały? Ponieważ jeśli to rzeczywiście jest Kryjówka, a ja znajdę Koronę... — wzięła głęboki oddech. — Dla mnie, dla Reveny, to może być największy dzień w tym stuleciu!

— Jakiej korony szukasz?

Roane pomyślała o różnych formach, jakie w przeszłości przybierały odkrycia Prekursora. Kilkakrotnie rzeczywiście się zdarzało, że składały się one z przedmiotów mogących podchodzić pod kategorię starodawnych drogocennych klejnotów. Były też dziwaczne, artystyczne formy z cennych kruszców itp. Jednak tym, co było o wiele ważniejsze i czego przyjeżdżali tutaj szukać, były maszyny oraz zapiski, a sama wzmianka o ich istnieniu wystarczyła, by kazać im zaryzykować poszukiwania na Clio.

— Naszej Korony, Lodowej Korony Reveny. Księżniczka odpowiedziała niemal bezwiednie.

Już nie obserwowała Roane, lecz gapiała się na zasypane przejście. Potem odwróciła się gwałtownie z twarzą zniekształconą strachem, a jej ręce powędrowały do ust, zakrywając wargi. Kiedy ponownie się odezwała, jej głos był cichy i drżący.

— To wielka tajemnica, Roane Hume. Znają ją tylko dwie osoby, mój dziadek — król i ja. I przysięgam na największe świętości naszego narodu, że jej nie zdradzę. Teraz złamałam przysięgę.

— Ależ ja nie jestem z Reveny i jeśli chcesz, mogę przysiąc, że nikomu nie powiem — pospiesznie powiedziała Roane, czując się nieswojo na widok zasmuconej twarzy dziewczyny.

— Jeśli to jest Kryjówka Ocha, to moja wina jest mniejsza, zrekompensowana przez ogromną korzyść. Ale muszę wiedzieć! Chodź, skorzystamy z twojego światła i rozejrzemy się...

Jeżeli natkną się na pozostałości po Prekursorze i księżniczka je zobaczy... Lecz jakiego ma teraz znaczenie? Roane musiała zrobić coś, co powinna była zrobić znacznie wcześniej.

— Pozwól mi najpierw wezwać pomoc, żeby nas uwolnili. — Przebiegła palcami po minikomie, nastawiając przyciski na łączność z obozem. Odczekała chwilę i zobaczyła błyskający na tarczy kod odbioru. Przerwała jego natarczywe migotanie zaczynając nadawać zwięzły meldunek o tym, gdzie się znajduje i co prawdopodobnie odkryła. Nie wspomniała natomiast ani słowem o księżniczce.

Odpowiedź nadeszła serią radośnie błyskających kreseczek, obiecujących szybki ratunek. Przed rozpoczęciem nadawania przemyślała sobie dokładnie treść raportu i teraz dodała jeszcze informację o ludziach w lesie, mając na myśli ścigających je opryszków, którzy w tej chwili prawdopodobnie przeczesywali okolicę.

Przygotowała się już na pytania Ludoriki, lecz księżniczka milczała, oświetlając promiennikiem ciągnący się przed nimi korytarz.

— Czy możesz mi powiedzieć coś więcej o tym, czego szukasz? — spytała Roane, gdy ruszyły.

— Skoro wiesz już tyle, nie ma powodu, byś nie mogła usłyszeć wszystkiego. Lodowa Korona jest koroną Reveny, podarowaną przez Strażniczki u zarania dziejów. Podobnie jak Płomienna Korona jest dla władców Leichstanu, a Złoty Diadem nosi się w Thrisk, ale to wszystko już z pewnością wiesz. Mój dziadek, król Niklas, zasiadł na tronie będąc jeszcze chłopcem, a jego macocha o drugorzędnych prawach do tronu, królowa Olava, była regentką w jego imieniu, choć właściwie nie należała do rodziny, nie była nawet Królewskiej Krwi, pojęta jako małżonka z lewej ręki przez mojego pradziadka, kiedy ten już na starość zupełnie zdziecinniał. Pochodziła z linii Jarrfar. Niegdyś mieli oni w rękach ten górzysty kraj i dwukrotnie próbowali utworzyć własne królestwo. Jednakże nie posiadając prawa do noszenia korony nadawanego przez Strażniczki, oczywiście ponieśli porażkę.

— Lecz rządzenie mieli we krwi — mówiła dalej — i nie odeszła im na nie ochota nawet kiedy ich włości się skurczyły i mieli w posiadaniu zaledwie zamek i dwie wioski. Olava odznaczała się niepospolitą urodą, więc jej krewniacy uknuli plan, by poprzez małżeństwo z

kimś wysoko postawionym osiągnąć to, czego nie zdołali zdobyć siłą. Wykorzystali zatem całą swoją pomysłowość i zawieźli ją na dwór, przedstawiając skromnie jako pannę służebną.

Król był od dawna wdowcem. Oczywiście miewał w ciągu tych wszystkich lat swoje damy, lecz były to wyłącznie przelotne miłostki. Był na tyle przebiegły, że wybierał tylko takie, które można było łatwo zadowolić drobnymi przywilejami i nie prosiły o więcej. Lecz choć Olava wydawała się z początku właśnie taka, wcale taką nie była! No i... cóż, mówi się, że przed przybyciem na dwór odwiedziła pewną mądrą kobietę, parającą się sprawami, o których lepiej nie mówić. Może to tylko plotki, bo przecież tak się zawsze szepce po kątach o kobiecie, która nagle zdobywa sobie względy wysoko urodzonego mężczyzny. Po pewnym czasie została pierwszą żoną z lewej ręki i z mniejszym prawem, a potem królową. Nie wolno jej było jednak prawnie dotykać Korony i na nic się zdały w tym względzie rozliczne błagania i intrygi. Może pradziadek był nią zauroczony, lecz dbał o zasady. Pochodził z królewskiego rodu, a prawdą jest (choć niektórzy dziś myślą, że to również legenda), iż korony same decydują, kto ma je nosić. A ci raz wybrani, ten król czy królowa, nie mogą się ich zrzec przez całe życie. Jest to zabezpieczenie ustanowione przez Strażniczki. Chociaż niekiedy prowadziło to do śmierci proponowanego władcy, gdyż zabijano go, aby w jego miejsce ktoś inny mógł zaproponować swoją kandydaturę Koronie.

— Tak więc Olava musiała uzbroić się w cierpliwość, dopóki śmierć nie dosięgnie króla, żywiąc nadzieję, że nim jego syn stanie do konfrontacji z Koroną i zostanie przez nią zaakceptowany, przejmie ją jej własny kandydat. A był nim jej syn — choć król nigdy nie pozwolił mu się napić z pucharu pokrewieństwa, a tym samym nie uznał go przed Dworem za prawdziwego syna krwi, gdyż jego krew była zmieszana z mniej szlachetną.

— Kiedy król umarł, udano się po Lodową Koronę, by dokonała wyboru. Olava robiła wszystko, żeby nie dopuścić przed nią mojego dziadka, lecz wybór przebiegł tak jak zawsze i Niklas został obwołany królem. Mimo wszystko jednak był on tylko dzieckiem, a tymczasem wielcy lordowie sprzyjający Olawie ogłosili, iż stary król wyznaczył ją na regentkę, a oni mają tworzyć sztab jej doradców.

— Takie historie często zdarzały się w przeszłości. Lecz nigdy przedtem nie zdarzyło się to, co nastąpiło potem. Otóż kiedy dziadek osiągnął odpowiedni wiek, by włożyć koronę i przez to zyskać władzę absolutną, przywieziona na tę ceremonię ze specjalnego skarbcza Korona zniknęła zaraz po uroczystości. Nigdy nie wróciła na swoje miejsce w skarbcu. Ludorika zamilkła na chwilę, a potem ciągnęła:

— A wszystko dlatego, że Olava odważyła się na coś, czego nie ośmielił się zrobić nikt przed nią. Wzięła Koronę, sądząc, że w ten sposób pokona mojego dziadka. Niestety, moc Korony ją zniszczyła. Tak zawsze dzieje się z tymi, którzy posługują się nią nieprawnie. Lecz nim umarła, spotkała się prywatnie z Niklasem i oznajmiła mu z ironicznym uśmiechem, że Korona powędrowała do Kryjówki Ocha i tylko przypadek może sprawić, iż się odnajdzie. Dodała, że jej ród będzie strzegł do niej dostępu i dopiero kiedy Korona zaakceptuje kogoś z nich jako władcę, ujrzy ponownie światło dzienne.

— Od tamtego czasu Reveny pogrążyło się w ukrytej żałobie. Nie odważyliśmy się powiadomić narodu o stracie. A ponieważ dotąd Korona nie była potrzebna, by obwołać nowego

króla, tajemnica została zachowana. Mój ojciec zginął w czasie polowania dokładnie na tych wzgórzach, lecz tym, czego szukał, nie były zwierzęta, tylko Kryjówka Ocha. Dwóch moich wujków również umarło młodo. Trzeci zniknął. A teraz król Niklas jest bardzo stary i mnie przypadło w udziale podjęcie poszukiwań. Ponieważ jeśli nie będę mogła stanąć przed Reveny w Lodowej Koronie, nastąpi koniec naszej dynastii, a samo Reveny przejdzie pod władanie Leichstanu czy Vordain, gdzie rządzą prawowicie wybrani władcy. Kraj bez Korony jest krajem bez nazwy i bytu. Tak zarządziły Strażniczki dawno, dawno temu.

— Czy kiedykolwiek się zdarzyło, by państwo faktycznie straciło koronę? — spytała Roane.

Księżniczka zadrżała i nie był to dreszcz wywołany jedynie chłodem miejsca, przez które właśnie przechodziły.

— Raz, w Arothner. Korona — a była to Korona z Muszli. Jako że Arothner było krajem morskim — została zniszczona falą przyływu. To, co nastąpiło potem, było potworne. Ludzie... opanowało ich jakieś szaleństwo. Zwrócili się przeciwko własnym lordom, przeciw sobie nawzajem. Wybuchła prawdziwa wojna domowa, tak że wszystkie sąsiednie państwa ustawiały armie na granicach, by zatrzymać ich na własnej, rozdartej ziemi. A potem Arothner zostało przeklęte i nikt tam nie jeździ ze strachu, że taka sama mieszkająca zmysły siła mogłaby uderzyć w nich. To, co było niegdyś wielkim narodem z wieloma statkami i miastem handlowym Arth jako stolicą, jest obecnie jedynie nieurodzajnym pustkowiem, i jeżeli ktoś tam jeszcze żyje, to nie są to już ludzie...

— Na szczęście Lodowa Korona nie została zniszczona, gdyż wówczas taki sam los spotkałby Reveny. I tej nadziei się trzymamy. Lecz musi zostać odnaleziona!

— Mam wrażenie, że istnieją ludzie, którzy również znają tajemnicę i nie chcą, by ta Korona się znalazła. Wnioskuje to z faktu, że twój ojciec i pozostali umarli, a tobie teraz przytrafiła się ta przygoda — powiedziała Roane.

— Tak — księżniczka zacisnęła wargi. — Podejrzewam, i sędzę że się nie mylę, choć nie mam dowodu, że to sprawka Reddicka. Nigdy jednak nie myślałam, że mógłby posunąć się tak daleko, by mnie uprowadzić z Hitherhow, kiedy było powszechnie wiadomo, iż przebywam w tych murach. Jakaż rozpaczliwa żądza musi go pchać do tak jawnych posunięć! A może po prostu nie chce dopuścić do odkrycia tego miejsca? Roane, czy nie wydaję ci się, że tu jest cieplej?

Ludorika zwolniła, wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć ściany, lecz jej ręka zawisła w powietrzu. Nie myliła się! Przenikliwy ziąb, jaki im dokuczał w początkowej części korytarza, ustąpił. Teraz było tak, jakby spacerowały pod łagodnym słońcem, w przyjemnym cieple. Roane dotknęła ściany. Była ciepła, cieplejsza nawet od powietrza. I jeszcze coś: wyczuwało się w niej delikatną wibrację.

Poczuła dreszczyk podniecenia. Czyżby odnalazła działający nadal system instalacji Prekursora? To się już zdarzało w innych światach, takich jak Limbo czy Arzor. Gdyby to rzeczywiście była ta aparatura, wówczas można by to zaklasyfikować jako jedno z wielkich znalezisk, a w takich sytuacjach odkrywcom wybacza się wszystko — nawet dekonspirację na zamkniętej planecie. To rozwiązywałoby jej problem.

— Co to jest? — Obserwująca ją bacznie Ludorika musiała wyczytać na jej twarzy podniecenie.

— Nic wiem... jeszcze nie wiem — odparła pospiesznie Roane, po czym zapytała, zmieniając temat: — Kim jest Reddick i dlaczego miałbyście chcieć zagarnąć koronę?

— Jak ci mówiłam, król co prawda nie uznał syna Olavy, ale nadał chłopcu szlachectwo i powierzył mu zarządzanie Hitherhow za jego życia. Prawo to przechodzi z pokolenia na pokolenie. Reddick jest jego wnukiem. Z tego tytułu mógł posiadać tajemnicę Kryjówki Ocha. Gdybym tylko zdołała odnaleźć Koronę, książę Reddick nie miałby szans. Nie może targnąć się na nią przed śmiercią króla ani dopóki żyje ja.

— Dopóki ty żyjesz — powtórzyła Roane znacząco.

— Chcesz powiedzieć... ależ oczywiście! W ten sposób może załatwić dwie sprawy za jednym zamachem — księżniczka pokiwała głową. — Powstrzymać mnie przed poszukiwaniami, a jednocześnie przekonać się, czy trafiłam na jej ślad... Co również oznacza... — Jej twarz wyrażała nie tylko determinację i zimny gniew, lecz także strach.

— Roane, nie widziałam króla Niklasa od pięciu dni. A podczas ostatniego spotkania on, który przez długie lata odmawiał mi wszelkich informacji, zdradził mi wszystko, to wiadomo na ten temat. Podzielił się ze mną wskazówkami, według których sam usiłował prowadzić poszukiwania, i wszystkim, czego dowiedzieli się w ich trakcie mój ojciec i wujowie. A co najważniejsze, nakazał mi się spieszyć. Może jest bardziej chory, niż sądzę, a od tamtej pory może nawet mu się pogorszyło. A Reddick o tym wie. Gdyby król był w dobrej kondycji, książę nigdy by się nie odważył wykraść z Hitherhow.

— Czy nie masz nikogo, na kim mogłabyś polegać? Nikogo znającego tajemnicę Korony. Lecz gdybym teraz ją odnalazła i zdołała z nią dotrzeć do Yatton bądź do granicy, mogłabym przejść z nią do Leichstanu i tam zebrać grupę lojalnych lordów. Moja matka była księżniczką Leichstanu, lecz zmarła przy moim urodzeniu i teraz na tronie zasiada daleka kuzynka. Mimo to należę do rodziny królewskiej, a wszyscy są zobowiązani pomóc temu, kto nosi koronę!

Błyskawicznym ruchem skierowała światło promiennika przed siebie.

— Chodź! Może ona tu leży... nie rozumiesz? Muszę ją mieć, i to szybko! — Puściła się biegiem.

Lecz snop światła odkrył coś jeszcze — zmiany w wyglądzie ściany po prawej stronie. Roane przesunęła się w tym kierunku i oto stanęła przed taflą z przezroczystej substancji. Wewnątrz znajdowała się aparatura! To nie mogło być nic innego. Rzędy maszyn z mrugającymi punkcikami kolorowych światełek. Przycisnęła twarz do szyby, próbując jak najwięcej zobaczyć. Jednak światło migotało zbyt szybko, ukazując wnętrze jedynie na ułamek sekundy. Zielony, niebieski, czerwony, pomarańczowy... mnogość kolorów i kombinacji. Lecz, co ciekawe, nie odbijały się w korytarzu, gdzie stała.

— Chodźże wreszcie! — Księżniczka była daleko z przodu, nie interesując się tym, co tak zafascynowało Roane. — Dlaczego się zatrzymujesz?

— Światelka... To musi być system instalacji. Tylko jakiej...

Ludorika niechętnie zawróciła.

— Jakie światelka? — spytała, kierując promiennik wprost na szybę, a tym samym oświetlając znajdujące się w środku dwie maszyny w kształcie kolumn, strzelające iskierkami kolorów. — Czemu tu sterczysz gapiąc się na gołą ścianę i gadasz o jakichś światelkach? Postradałaś zmysły? — Puściła jej rękę i odsunęła się trochę.

— W takim razie co tam widzisz? — spytała Roane.

— Ścianę, taką jak tam i tam, i tam — księżniczka wskazała palcem przed siebie, w bok i w tył. — Nic prócz ściany.

Roane była wstrząśnięta. Przecież naprawdę widziała za przezroczystą szybą dziwną aparaturę! Nie mogła się mylić ani sobie tego wymyślić! Istniał tylko jeden powód, dlaczego księżniczka nie widziała jej również — uwarunkowanie!

A takie uwarunkowanie mogło oznaczać coś jeszcze. Roane pograżyła się w mrocznych domysłach. Może to, co odkryły, nie było pozostałością po Prekursorze, lecz czymś pozostawionym przez Psychokratów, którzy rozporządzali niegdyś losem Clio. Takie odkrycie nie byłoby równie doniosłe jak odnalezienie autentycznego systemu instalacji Pioniera, choć mogło być ważne w inny sposób. Służba posiadała niewiele informacji o technikach uwarunkowywania ludzi w zamkniętych światach. Odkrycie dowodów tego eksperymentu mogłoby uszczęśliwić naukowców działających w dziedzinach nadrzędnych do tej, jaką reprezentował wuj Offlas. Tak więc, mimo wszystko, dysponowałaby kartą przetargową w sprawie księżniczki.

— To tylko goła ściana! — oświadczyła ponownie Ludorika, wciąż odsuwając się od Roane i popatrując na nią niepewnie, jak na kogoś z oznakami szaleństwa.

— Widocznie mi się przewidziało. To mogła być tylko jakaś sztuczka ze światłem z promiennika. — Pomyślała, że to kiepskie wytłumaczenie, ale wiedziała, że jeśli księżniczka podlega uwarunkowaniu, nie dopuści do siebie nawet myśli o istnieniu aparatury sterującej jej umysłem.

— Sztuczka ze światłem? — powtórzyła Ludorika z powątpiewaniem. — Słuchaj, a może Olava rozstawiła tu strażników, żeby odstraszać poszukiwaczy? Słyszałam o takich sztuczках, ale one działają tylko na niektórych ludzi. — Popatrzyła na Roane z politowaniem i wyciągnęła do niej rękę. — Pozwól, że cię poprowadzę. Mnie nie tak łatwo otumanić, rozumiesz? My z Królewskiej Krwi nie wpadamy w takie umysłowe pułapki.

Roane pomyślała, że to wyjątkowa ironia losu; przypadek, kiedy ślepy prowadzi widzącego. Lecz powinna być zadowolona, że księżniczka przyjęła jej wyjaśnienie. Nie spojrziała więcej na szybę.

Wkrótce potem wygląd korytarza uległ zmianie. Szerokie przejście obudowane wygładzonymi ścianami ustąpiło gwałtownie miejsca węższemu korytarzowi z chropowatą skałą po obu stronach, jakby ci, którzy go przekopywali, wykorzystali dla swych celów naturalne pęknięcie w klifie. To już była oryginalna jaskinia, bez śladów poprawek dokonanych ręką człowieka.

Kiedy promiennik pokazał zwężenie tych nierównych ścian, księżniczka zwolniła kroku. Sprawiała wrażenie zakłopotanej.

— Dlaczego tu się tak zmieniło? — spytała bardziej samą siebie, niż oczekując odpowiedzi od towarzyszki.

— Czy nadal uważasz, że to Kryjówka Ocha?

— A co jeszcze mogłoby być? Nie widzę innego powodu, by wyrąbywać korytarz w skale. Poza tym...

— Poczekaj! — Roane chwyciła ją za rękaw i zatrzymała tuż przed wejściem do szczeliny. — Tam jest świeże powietrze, strumień powietrza. Może to drugie wyjście?

Ciasny korytarz był bardzo nierówny. Parokrotnie ściany schodziły się tak, że z trudem tylko się przepchnęły, a Roane nie miała pojęcia, jak daleko to się może ciągnąć. A jeśli jej towarzysze z obozu odblokowali tamtą dziurę i nie znaleźli jej? Ale mają przecież jej raport i na jego podstawie mogą ruszyć z badaniami. Oczywiście istniało niebezpieczeństwo, że popadli w tarapaty natykając się na ludzi ścigających księżniczkę i jeszcze tu nie dotarli.

Kiedy wydostały się na szerszy odcinek, Roane odezwała się:

— Nie wiem jak ty, ale ja jestem głodna.

— Nie mów o jedzeniu — odparła księżniczka. — Jak się nic nie ma, lepiej nie rozwodzić się nad tym brakiem. Wydostaśmy się stąd...

— Ale ja mam pewne zapasy — powiedziała Roane.

W sytuacji, gdy już tak wiele rzeczy wyszło na jaw, ukrywanie tubek z racjami żywnościowymi nie miało najmniejszego sensu, a ona była przeraźliwie głodna.

— Gdzie? Przecież nie masz żadnej torby...

Księżniczka znów skierowała promiennik na Roane, która tymczasem rozpięła kombinezon i wyjęła tubkę. Były tylko dwie, a przy tak niepewnych szansach na ratunek rozsądniej było oszczędzać i podzielić się jedną.

Ludorika wlepiła wzrok w niewielki pojemnik:

— W tym masz jedzenie? To nie wystarczy nawet na przygotowanie ćwierci posiłku, jeśli jesteś równie głodna jak ja.

— To specjalny rodzaj żywności, przeznaczony dla podróżników — wyjaśniła Roane. — Mała dawka, powiedzmy pół tubki, starcza za pełny posiłek. Fakt, że nie smakuje jak prawdziwe, znane ci jedzenie, ale jest pożywne i doda nam sił. Jeśli się obawiasz, zjem pierwsza.

Odmierzyła połowę długości tubki i zaczęła po trochu wyciskać jej zawartość do ust, nie dotykając brzegów wargami.

Towarzyszka obserwowała ją z głębokim zainteresowaniem. A kiedy Roane skończyła i przekazała jej tubkę, przytknęła ją do ust. Z lekceważącym wyrazem twarzy spróbowała papki, a potem przełknęła.

— Tak jak mówiłaś, nie jest zbyt smaczna. Szczerze mówiąc nie sądzę, żeby jedzenie czegoś takiego na dłuższą metę sprawiało mi przyjemność. Lecz kiedy jest się głodnym, każde jedzenie jest dobre. — Dokończyła pospiesznie tubkę i zwróciła pustą Roane.

Przybyszka z kosmosu, nauczona długim doświadczeniem, zwinęła ją w rulonik i ukryła pod luźnym kamieniem. Księżniczka trzymała promiennik ku górze jak świecę, a jego światło odbite od sufitu nad ich głowami dowodziło, że miejsce, w którym się znajdują, jest prawdziwą jaskinią.

Lecz ukazało również coś jeszcze. Ujrawszy to, Roane drgnęła i wyrwała Ludorice promiennik. Nastawiła go na pełną moc i strzeliła oślepiającym promieniem. To coś było niegdyś człowiekiem. Naoglądała się już jednak tyle starych grobów, że nie zrobiło na niej większego wrażenia. Szczątki spoczywały na wpół pogrzebane pod zwałem skalnym, spod którego wystawała część szkieletu od pasa w górę.

Nagle w blasku światła coś zamigotało. Księżniczka krzyknęła. Roane podeszła do kościotrupa, pochyliła się i podniosła leżącą u jego boku niewielką metalową opaskę wysadzaną małymi klejnotami. Była to piękna robota. Kamienie układały się w drobne kwiatki pomiędzy wypukłymi metalowymi listkami.

Chwilę później kółko zostało jej wyrwane z rąk przez księżniczkę, która — podniecona — obracała je teraz w palcach.

— Bransoleta Olawy! To jest Kryjówka Ocha! A Korona... Korona!

Zaczęła się obracać dookoła, wodząc wzrokiem po ścianach jaskini, po których Roane przesuwiała strumień światła, i lustrując je dokładnie. Tymczasem Roane zauważyła z przerażeniem, iż otwór, który niegdyś istniał w bocznej ścianie, tam gdzie leżał szkielet, został zasypany. Teraz nie widziała już w ogóle wyjścia.

— Jeśli kiedykolwiek tu była — zauważyła Roane — to musi być pogrzebana pod tym rumowiskiem.

W głębi duszy uważała, że bransoleta jest bardzo nikłym śladem.

— Przecież to można odkopać! — Ludorika przysunęła się bardzo blisko osypiska, starając się jednak trzymać możliwie najdalej od szkieletu. — Mówiłaś, że twoi przyjaciele przyjdą nas stąd uwolnić. Mogliby przy okazji pomóc przy szukaniu Korony. Niech tylko położę na niej ręce, a Reveny będzie bezpieczne, ponieważ dopóki będę żyła, nikt inny nie może sobie rościć do niej prawa.

— Dopóki będziesz żyła. A czy pomyślałaś, co będzie potem?

Kiedy ty znajdziesz Koronę, a ciebie znajdą twoi wrogowie? Jak długo wtedy pożyjesz?

Księżniczka odwróciła się i spojrzała na Roane szeroko otwartymi oczyma. Była wyraźnie zszokowana.

— Przecież żaden zwykły śmiertelnik nie może podnieść ręki na koronowaną głowę. Królowie są pod ochroną Strażniczek. Taka śmierć musi nastąpić, zanim Korona spocznie na głowie wybrańca.

— Lecz obecnie Korona należałaby do twojego dziadka, prawda? Dopóki on żyje, tobie grozi niebezpieczeństwo.

Owszem. Ale jeśli prawdą jest również to, czego się obawiam i co pośrednio potwierdził Reddick, porywając mnie wręcz ostentacyjnie, to król jest bardzo bliski śmierci. Korona będzie o tym wiedziała; ma wiele osobliwych mocy. Wszystkie korony to mają. Są sercem posiadających je państw, a ich życie jest życiem narodów, co zostało udowodnione w Arothner. Nie, jeśli twoi ludzie nadejdą, muszą odkopać Koronę. Ona wciąż istnieje, a ja muszę ją znaleźć!

Momentami potrafiła wywierać magnetyzujący wpływ. Roane była tego świadoma, lecz nie umiała mu się oprzeć, tak więc i teraz omal się nie zgodziła. Na szczęście jakaś część jej samej zachowała odrobinę zdrowego rozsądku i nakazała odrzucić żądanie księżniczki. Zdołała ją przekonać, że powinny wrócić na początek korytarza i czekać na ratunek.

Nie wątpiła, iż wuj Offlas przybędzie; była to tylko kwestia czasu. Szczególnie jeśli musiał robić uniki przed szukającymi Ludoriki zdrajcami. Przekazała to księżniczce tonem ostrzeżenia.

— Lecz możesz im wysłać wiadomość, choć przyznam, że nie wiem, jak pukanie w tę niegustowną bransoletkę może przenosić wiadomości... — Momentalnie zmieniła temat: — Nie wiem, kim naprawdę jesteś. Wiem jednak, a nawet mogłabym przysiąc, że nie pochodzisz z Reveny ani żadnego znanego mi królestwa. Gdyby nie to, że wyciągnęłaś mnie z tamtej wieży, prawdopodobnie... — znów urwała.— Lecz znajduję się tutaj, a nie w łapach Reddicka, więc żywię do ciebie pełne zaufanie. Wyślij jeszcze jedną wiadomość do tych, którzy mają przyjąć nas odgrzebać. Powiedz im, żeby powołali się na mnie w garnizonie w Yatton. Jest tam pułkownik Nelis Imfry. Zanim podjął służbę w Gwardii Pieszej, był członkiem straży pałacowej.

Wezwany w moim imieniu — na pewno przybędzie. Przekaż swoim ludziom, żeby mu powiedzieli...

— Nie. — Roane stanowczo potrząsnęła głową. — Oni nie pójdą do Yatton ani w żadne inne miejsce, niezależnie od tego, jaką wiadomość im prześlę.

Może nie powinna mówić o tym tak zdecydowanie, by nie wzbudzać w Ludorice podejrzeń. Zanim jednak przybędzie pomoc z obozu, musi dać jej wyraźnie do zrozumienia, iż oni nawet palcem nie kiwną w sprawie rozwiązywania skomplikowanych problemów dynastycznego dziedzictwa.

— Moi towarzysze — usiłowała ująć sytuację w słowa zrozumiałe dla księżniczki — związani są przysięgą zobowiązującą do nie mieszania się w sprawy innych. Ja już złamałam tę przysięgę przez wszystko, co zrobiłam od chwili gdy się spotkałyśmy. Będę musiała za to zapłacić. Dlatego, jeśli poprosisz ich o pomoc, będą głusi na twoje prośby.

Mijały niewidoczną dla księżniczki, a tak fascynującą dla Roane szybę w ścianie. Przezornie odwróciła od niej wzrok, opierając się pokusie. W tym momencie zamigotał minikom na jej nadgarstku. Nie potrzebowała światła promiennika, żeby odczytać błyskający szyfr.

Sandar! Lecz żadnej wzmianki o wuju Offlasie. Jedynie cierpka uwaga, żeby nastawiła głośniejszy sygnał przywoławczy. Widocznie impulsy były za słabe, by go prowadzić.

— Już są! — Rzuciła się biegiem po gładkim podłożu, nie dbając o to, czy księżniczka nadaża.

W przedsionku pierwszej jaskini ponownie stanęła przed zwałem kamieni i gliny. Nie zbliżała się zbyt, gdyż nie знаła siły narzędzia, jakiego użyją do jego usunięcia. Wysunęła ramię, by utrzymać księżniczkę w równie bezpiecznej odległości.

Ludorika podporządkowała się jej niemym poleceniom bez słowa protestu. Uśmiechała się tylko wyczekująco. Otaczała ją taka aura ufności i pewności, że Roane odczuła niepokój. Może powinna była jej powiedzieć całą prawdę. Nie tylko to, że nie może oczekiwać pomocy, lecz również, że może trafić do kolejnej niewoli, że jej poszukiwania Korony mogą się skończyć tu i teraz. Już otwierała usta, żeby ją o tym uprzedzić, kiedy ze zwału posypała się ziemia. Podtrzymujący ją głaz zniknął.

Roane gwałtownie złapała oddech. Używali tego narzędzia! Zatem faktycznie byli gotowi do zastosowania ostatecznych środków. Te narzędzia rozpakowywano wyłącznie w momentach najwyższej konieczności!

Zerknęła na księżniczkę. Jakie wrażenie wywarło na niej nagłe zniknięcie ogromnego i ciężkiego głazu? Jej twarz nie zdradzała jednak najmniejszych oznak zaskoczenia, a jedynie jeszcze głębszą ufność, która wkrótce miała zostać brutalnie zdruzgotana.

Do środka napłynęło świeże powietrze przesycone wilgocią deszczu. Potem pojawiła się pochylona nieco sylwetka Sandara. Był sam, a w jego ręku... Roane złapała powietrze, lecz nie zdążyła się poruszyć, ostrzec. Nacisnął guzik paralizatora. Stojąca obok księżniczka osunęła się na kamienną posadzkę. Po raz pierwszy w życiu, Roane zareagowała na poczynania kuzyna jawną wściekłością.

— Dlaczego to zrobiłeś? Nie wiedziałeś nawet, co...

Jego usta wykrzywiły się w identycznym grymasie, jaki w szczególnych okolicznościach przybierały usta wuja Offlasa. Lecz tym razem nic zrobiło to na niej wrażenia, choć jeszcze niedawno czułaby się zakłopotana.

— Znasz reguły. Zobaczyłem obcą... — powiedział szorstko, po czym spojrzał w dół na efekt swoich poczynań, jakby Ludorika była zaledwie kawałkiem odlupanej skały. Potem jego twarz utraciła nieco z cierpkiej chmurności. — Co do jednego się nie mylisz. Tu jest jakiś skarb...

Roane klęczała przy księżniczce. Uniosła bezwładne ciało i wsparła o własne ramię. Ludorika wkrótce odzyska przytomność, lecz nie może tu pozostać. Wilgotne powietrze wypełniało już całą jaskinię. Roane nie wiedziała, jak wygląda rozwój choroby na Clio, lecz była pewna, że mieszkańcy nie zniosą długiego wystawiania się na zimno bez nieprzyjemnych konsekwencji.

— Zostaw ją. Nic jej nie będzie! — Podeszedł w jej stronę. — Co tam jest w środku?

— Aparatura. Można ją zobaczyć przez szybę w ścianie, tam niżej. — Nie drgnęła nawet, żeby go zaprowadzić.

A on nie czekał na nią, lecz włączył własny promiennik i pobiegł we wskazanym kierunku, zostawiając ją z problemem nieprzytomnej księżniczki. Roane przewidywała, że wuj Offlas i Sandar jednogłośnie odmówią uwolnienia Ludoriki. Mimo to zdecydowała, że księżniczka otrzyma schronienie i opiekę, nawet gdyby musiała przeciwstawić się presji, której wcześniej zwykle ulegała ze strachu przed gniewem swoich krewnych.

Wciąż podtrzymywała księżniczkę, ogrzewając ją własnym ciepłem i osłaniając przed falami wilgotnego powietrza, kiedy wrócił Sandar.

— Nie mam pojęcia, co to jest. Może i Prekursor. Na pewno jednak nie pochodzi ze współczesnej Clio — przekazał swoje obserwacje.

— A może to zostało po Psychokratach i ma coś wspólnego z warunkowaniem osadników?

— Skąd możesz... — zaczął i wruszył ramionami. — Trudno coś powiedzieć, zanim nie przyjrzymy się dokładniej. A przy okazji... Jacyś ludzie przetrząsają las. Miałem nieprawdopodobne szczęście, że udało mi się wymknąć. Ojciec musiał zwiększyć zasięg deformatarów, żeby objęły ten teren. Kogo oni szukają? Jej? Jeśli tak, to zrobimy jej pranie mózgu i podrzucimy gdzieś, gdzie ją znajdą. Skończą się nasze kłopoty.

— Nie.

— Co nie? — wlepił w nią zdziwione spojrzenie. Roane powstrzymała wybuch śmiechu. Pomyślała, że gapi się na nią, jakby nagle na jego oczach wyrosły jej rogi albo zrobiła się niebieska.

— Żadnego prania mózgu, żadnego podrzucania. To jest księżniczka Ludorika.

— Niech sobie nawet będzie Gwiazdą Dziewicą z Raganork! Gwiżdżę na to. Znasz reguły równie dobrze jak ja. Zresztą już je złamałeś przez samo zadawanie się z nią. Co jej wyaplałaś? — Kręcił przyciskiem nastawiania paralizatora.

Roane zrobiło się zimno, i to nie z powodu wiatru. Wyciągnęła zza pasa mały przyrząd do cięcia.

— Spróbuj tylko zrobić jej pranie mózgu, Sandar, a spalę ci w ręce ten paralizator! Rzuć go, ale już, albo zobaczymy, jak ci się spodoba upalony palec! Ja nie żartuję!

Wpatrywał się w nią z niebotycznym zdumieniem. Widocznie wyczytał w jej oczach determinację. Dotychczas rzadko się zdarzało, by Roane musiała reagować w sytuacjach przerastających jej wolę i odwagę, lecz dwukrotnie stało się tak w obecności Sandara i on na pewno to pamięta.

— Czy wiesz, co robisz?

Jego głos był lodowaty. Nadal miał w ręku paralizator, lecz Roane zauważyła, że przezornie trzyma palec z dala od guzika zapłonowego. Stwierdziła z nutą triumfu, że jest górami.

— Wiem. Rzuć mi to!

Jej narzędzie nawet nie drgnęło. Możliwe, że zużyła większość jego mocy do przecięcia łańcucha księżniczki, ale zostało dosyć, żeby poparzyć Sandara, i w tym momencie nie zawahałaby się przed tym. Zniewolenie, poczucie podległości i bezradności wynikające z wieloletniej dominacji Keilów, ojca i syna, podobne było do metalowej obroży i łańcucha księżniczki.

Niespokojne pragnienie wolności, które zakiełkowało w niej w trakcie szkolenia, rozkwitło w pełni tu, na Clio. Jasne, że mogła wiedzieć mniej niż wuj czy Sandar, być pod ich rozkazami, lecz była także osobą posiadającą własne racje, a nie zaprogramowanym przez nich robotem.

Takie i inne myśli kotłowały się teraz w jej zbuntowanej głowie. Zdecydowana była stawić czoła Sandarowi. Brutalne potraktowanie Ludoriki i nieczule podejście do jej problemu podziało na Roane jak smagnięcie biczem. Równocześnie zamiast zapędzić jaz powrotem do szeregu niewolników — wywołało bunt.

Sandar nie próbował z nią dyskutować. Zresztą nigdy tego nie robił. Wydawał rozkazy, a ona wypełniała je bez szemrania, aż doszło do tego, że on i jego ojciec uczynili z niej bezwolne, wiecznie przytakujące stworzonko. Oprzędli ją jak larwę w kokon pokory i posłuszeństwa. Lecz larwy rozwijają się w kokonach i po pewnym czasie wydostają na wolność.

Odrzucił od siebie paralizator. Roane mocno oparła księżniczkę o siebie i celując w niego przecinakem wyciągnęła drugą rękę i zacisnęła palce na leżącej na ziemi broni.

— Czy ten pościg jest gdzieś w pobliżu?

— Dopóki deformatory są włączone, będą podświadomie trzymać się na dystans. Powinnaś to wiedzieć. Ale to będzie działało tylko przez krótki czas. Musimy się pospieszyć.

— Dobrze i to. — Roane wsunęła przecinak w pętlę przy pasie, trzymając w ręku paralizator. — Idziemy. Ty ją poniesiesz.

— Nic dobrego z tego nie wyniknie — powiedział. — Wiesz o tym. Ojciec ma prawo dowolnego decydowania. Podejmie ostateczną decyzję i nie będzie od niej odwołania. Ponadto jesteś skończona w naszej drużynie. Mam nadzieję, że to rozumiesz!

Roane pomyślała, że zastanowi się nad przyszłością, jak będzie miała czas. To co jest tutaj i teraz, było o wiele ważniejsze. Trzeba zapewnić księżniczce schronienie i dopilnować, żeby nie wpadła w ręce wrogów.

— Poniesiesz ją! — powtórzyła.

Spełnił jej polecenie. Pomimo uderzającego do głowy uczucia satysfakcji, płynącego z możliwości rozkazywania Sandarowi, Roane wyniosła ze szkolenia tyle, że pamiętała teraz o zamaskowaniu śladów i wykorzystując resztki mocy narzędzia spowodowała ponowne obsunięcie ziemi. Miała nadzieję, że w ten sposób nikt się nie dowie o istnieniu dziury. Ponieważ to, co znajdowało się w środku, i fakt, iż ona to odkryła, stanowiły dla niej jedyną kartę przetargową.

Chociaż deformatory były włączone, Sandar nie chciał ryzykować i narzucił ostre tempo, mimo iż dźwigał dodatkowy ciężar w postaci przerzuconej przez ramię księżniczki. Roane szła za nim, starannie zacierając ślady.

Tak dotarli do obozu. Wuja Offlasy na szczęście nie było, więc Roane poleciła Sandarowi zanieść dziewczynę do swojej komórki. Potem zabrała się do pracy. Ściągnęła z niej przemoczone, zachlapane błotem lachmany i rozsypała tasiemki z materiału, którymi obwiązane były jej prowizoryczne spodnie. Właśnie pakowała księżniczkę do ogrzewanego śpiwora, gdy wkroczył szef ich wyprawy. Podeszedł prosto do niej i z nieprzeniknionym wyrazem twarzy popatrzył na księżniczkę.

— Kto to jest?

— Księżniczka Ludorika, dziedziczka tronu Reveny.

— Opowiadaj!

Roane zauważyła ponuro, że ma już przygotowany magnetofon. Cóż, przyjdzie jej wydać na siebie wyrok własnymi ustami. Nic innego nie mogła jednak zrobić. Propozycja Sandara była dla niej nie do przyjęcia.

Wpojono jej jasny, zwięzły sposób składania raportów, więc tak właśnie zaczęła swoją relację. Burza, ukrycie się w wieży, ucieczka, jaskinia, dokonanie tam odkrycia, opowieść księżniczki o Lodowej Koronie i cała reszta.

Wuj Offlas słuchał bez słowa komentarza, chociaż Sandar wiercił się jak na szpilkach, jakby chciał wtrącić jakiś ironiczny przerywnik. Nie zrobił tego jednak. Roane podsumowała wszystko i czekała, aż rozpęta się burza. Wiedziała, że gromy słowne mogą być równie druzgocące jak prawdziwe.

— Jeśli chodzi o tę dziewczynę — powiedział najpierw — możemy jej pomóc, jeśli to będzie konieczne. A co do tego twojego odkrycia... Widziałeś to, Sandar?

— Na tyle, ile mogłem zobaczyć przez szybę. To może nie być Prekursor, ale Psychokrata. Prawdopodobnie ma to jakiś związek z eksperymentem na Clio.

— Tak czy inaczej, jest to niewątpliwie znalezisko o dużym znaczeniu. Możemy je ująć w raporcie, razem z tym — spojrzal na księżniczkę, jakby nie była istotą ludzką, lecz

przedmiotem, którym można dowolnie rozporządzać. — Jakkolwiek by było. raport komputera zostanie odebrany przez właściwy odbiornik na orbicie dopiero za dwa dni, a do tego czasu powinniśmy zdobyć więcej informacji.

— A co z księżniczką? — spytał jego syn. — Oni będą jej szukać do skutku, a my nie możemy zbyt długo trzymać deformatorów na pełnych obrotach. Jeśli postąpimy z nią według mojego planu, to znaczy, zrobimy jej pranie mózgu, to potem możemy ją podrzucić gdzieś, gdzie ją znajdą...

Roane doskonale wiedziała, iż jej kolejne „nie” nic nie da. Nie miała broni na jego poparcie. Zaczęła ją opuszczać pewność siebie. W momentach wielkiego wzburzenia była w stanie przeciwstawić się Sandarowi. Wobec wuja Offlasa była bezbronna.

— W tej chwili przeszukują tereny na północy. A ja chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o tej koronie, która jej zdaniem jest tu ukryta. Kiedy wymażemy jej pamięć, niczego się nie dowiemy. Nie mamy sprzętu, żeby dokonać tego zabiegu wybiórczo. Możemy z tym poczekać przez jakiś czas. Teraz chciałbym obejrzeć tę aparaturę.

— Jeśli chodzi o ciebie — zwrócił się do Roane — to zapewne zdajesz sobie sprawę, czego narobiłaś. Zachowałaś się jak zwykła idiotka. Proponuję, żebyś przemyślała sobie własną głupotę. Weź pod uwagę przyszłość, którą właśnie zaprzepąciłaś.

To było o wiele łagodniejsze od wybuchu, jakiego się spodziewała. Choć już moment później, kiedy mężczyźni wyszli z obozu, uświadomiła sobie, że rozważanie niewesołych widoków na przyszłość było samo w sobie karą. W najlepszym wypadku czekają zesłanie na jakąś planetę w wybranym przez Służbę świcie, z dożywotnim zakazem wykorzystywania nabytych umiejętności. Mogą nawet zażądać od niej poddania się ocenzurowaniu mózgu. Zadrżała i ukryła twarz w dłoniach, ale i tak nie mogła pozbyć się okropnych obrazów, jakie podsuwała jej wyobraźnia.

Dlaczego zrobiła to wszystko? Spoglądając z perspektywy czasu nabierała przekonania, iż lepiej było pozostać w ukryciu w wieży, może nawet wspiąć się bezpiecznie do kryjówki na górze, niż wplątywać w tę kabałę z księżniczką. Stosowanie takich wybiegów stanowiło od samego początku integralną część jej szkolenia. Jaki diabeł ją podkusił, żeby zeszła z drogi rozsądku?

Kolejną okazją do pozbycia się księżniczki był moment, kiedy wy dostały się z wieży. Istniało wiele możliwości. Jednak ona dokonała wyboru, który ściągnął na nią potępienie wuja Offlasa i dotkliwą karę w przyszłości.

Dokonanie odkrycia nie stanowiło już jej atutu. Wuj bezie utrzymywał, że doszło do niego wyłącznie przypadkiem. Jediną istotną informacją, jaką mogła wykorzystać, była ta, iż księżniczka została tak uwarunkowana, że nie widzi szyby, oraz wszystko to, co Ludorika mogła im powiedzieć o Lodowej Koronie.

Ponieważ nie mają tu aparatury pozwalającej na wyciągnięcie z Ludoriki informacji wbrew jej woli, może uda się je wytargować w zamian za jej wolność. Ale do tego musi być przytomna. Ciekawe jak długo jeszcze...

— Co powiedzieli na mój temat?

Roane drgnęła. To niemożliwe, żeby księżniczka była przytomna. Poraził ją przecież promień z paralizatora Sandara. A jednak miała otwarte oczy i wpatrywała się w Roane.

Dziewczyna z kosmosu nie miała pojęcia, jak doszło do tego cudu. Chyba że była to kwestia różnicy w dziedzictwie planetarnym. Nie знаła nikogo, kto tak szybko doszedłby do siebie po takiej dawce promieniowania. Skoro jednak tak się stało, należy to wykorzystać i ostrzec księżniczkę, nim tamci wrócą.

— Posłuchaj! — Choć w ziemiance nie było nikogo i sprawdziła, że magnetofon jest wyłączony, nachyliła się bardzo nisko nad dziewczyną i zaczęła cicho szeptać. — Chcą cię pozbawić pamięci, żebyś nas nie zapamiętała. A potem... potem mogą cię wydać twoim prześladowcom.

Spodziewała się oznak niedowierzania czy okrzyków oburzenia, tymczasem księżniczka, choć jej oczy nieco się zwęziły, nie okazała zaskoczenia. Spytała tylko:

— Czy wierzysz w to, że mogą mi odebrać pamięć?

— Widziałam, jak to robili z innymi.

— Cóż, pozostaje mi uwierzyć. Lecz czy można zrobić coś takiego komuś, kto ma prawo do korony... — Ludorika zmarszczyła czoło. — Gdybym mogła dostać Koronę... Muszę ją dostać!

Roane zareagowała jedynie pytaniem.

— Od jak dawna jesteś przytomna? To dla mnie bardzo ważne.

— Pamięć, która się przydaje, co? No cóż, pamiętam wyraźnie młodego mężczyznę ubranego tak jak ty. Dlaczego u was, Roane, mężczyźni i kobiety ubierają się podobnie? U nas nawet chłopki zachwycają się kolorowymi sukniami i określiłyby to, co nosisz, jako brzydkie i nie urozmaicone. A więc tak, młodego mężczyznę. Potem wszystko jest czernią, jak we śnie bez marzeń. Ocknęłam się tutaj, gdziekolwiek to jest, gdy zdejmowałaś ze mnie te ohydne szmaty i otulałaś czymś ciepłym. Pomyślałam sobie jednak, że dobrze by było dowiedzieć się czegoś, zanim tamci się zorientują, że się przebudziłam.

— A więc chcą mi odebrać pamięć — mówiła po chwili — i wydać tym, którzy najchętniej widzieliby mnie pogrążoną w głębokim śnie śmierci. Dlaczego tak postępują z kimś obcym, kto nie wyrządził im żadnej krzywdy?

— Obawiają się twojej wiedzy o ich obecności tutaj.

— A cóż takiego planują, że boją się ujawnić? Kradzież, a może coś jeszcze gorszego? — W głosie księżniczki pojawiła się ostra nuta. — Chodzi o Koronę! Tak, szukacie Korony! Lecz pamiętaj, co ci powiedziałam. To szczerza prawda, że dla kogoś, kto nie pochodzi z Krwi, oznacza ona śmierć. Który z naszych sąsiadów was nasłał, żebyście unicestwili Reveny? I czy jesteś tak nierozumna, czy tak oddana, że zabijesz się, by osiągnąć cel?

To nie miało sensu. Roane nie mogła jej tego wyjaśnić, nie mówiąc wszystkiego. Lecz czy mając uwarunkowany umysł Ludorika przyjmie jej wyjaśnienia? Może potraktuje to tak samo jak aparaturę, której nic widziała?

— Przybyliśmy w poszukiwaniu skarbów, lecz mogę ci przysiąc na co tylko zechcesz, że nie chodzi o twoją Koronę! Dopóki mi o niej nie opowiedziałaś, nie miałam pojęcia o jej istnieniu. Nie miałaby też ona dla mnie żadnej wartości. Nie szukamy niczego z twoich czasów. Och, nie wiem, czy potrafię to wytłumaczyć tak, żebyś zrozumiała. Zanim Reveny stało się państwem, zanim osiedlili się tu twoi przodkowie, w czasach tak odległych, że nie byliśmy w stanie zliczyć lat, byli tu inni. Być może nawet nie w pełni ludzie, przynajmniej jeśli chodzi o wygląd. Odeszli, zanim pojawiła się nasza forma życia.

Lecz w niektórych miejscach pozostawili po sobie przedmioty, ukryte przedmioty. I na ich podstawie nasi mędrcy usiłują się czegoś o nich dowiedzieć. Ich wiedza była większa od naszej. Potrafili robić rzeczy, które nam wydają się niewiarygodne. A jednak wiemy, że je robili.

Przerwała na chwilę, a potem ciągnęła:

— Każde takie znalezisko powiększa nasz ograniczony zasób wiedzy i czyni bardziej prawdopodobnym, iż któregoś dnia poznamy ich tajemnice. Zarówno mój wuj, jak i kuzyn, ten młodzieniec, którego widziałaś, są wykształceni w zakresie odnajdywania takich skarbów. A mnie wyszkolono, bym im pomagała, ponieważ należę do rodziny i powinnam dotrzymywać ich tajemnic. — Starła się usilnie osadzić to w ramach zwyczajów panujących na planetach. — Ujawniając się przed tobą złamałam bardzo surowe prawo i będę musiała za to odpokutować. Lecz to nie twoja wina...

— Zatem uważasz, że to jest złe, to odbieranie mi pamięci?

— Tak. Aczkolwiek...

— Aczkolwiek wy także musicie przestrzegać poszanowania waszego stylu życia, tak samo, jak my z Krwi — przerwała jej księżniczka. — Tak, to potrafię zrozumieć. Lecz oświadczam ci, Roane, że nie pozwolę, by mi odebrali pamięć i wydali Reddickowi. Nie zamierzam też stracić Korony, zwłaszcza że mam ją w zasięgu ręki. Traktuję was tak, jak traktuje się honorowego wroga. Powiedzmy, że między nami jest wojna i od tej chwili obowiązują wojenne prawa.

— Ja nie chcę wojny! Lecz mój wuj, mój kuzyn...

— Rozumiem. A co się stanie z tobą? Czy za karę, że mi pomogłaś, również odbiorą ci pamięć?

— Mogą to niestety zrobić. Mogą też wysłać mnie w miejsce, gdzie będę musiała wytrzymać do końca moich dni.

— Do więzienia? I ty im na to pozwoliłaś?

— Nic nie rozumiesz. Oni posiadają niewyobrażalne moce. A za nimi stoją inni, jeszcze potężniejsi. W końcu i tak zrobią ze mną, co zechcą.

Księżniczka usiadła.

— Faktycznie nie rozumiem. Jesteś silna, masz bystry umysł. Dowiodłaś tego. A mimo to pozwoliłaś im się pojmać. Siedzisz tu i czekasz na nich, żeby to zrobili!

— To nie jest tak! — Roane pomyślała o środkach, jakie mogą zastosować, żeby ją dopaść.

Wuj Offlas może nawet wezwać posiłki ze Służby. Być może, księżniczka była w jakiś sposób uwarunkowana, lecz ona sama, widziała to teraz wyraźnie, została uwarunkowana w inny sposób, uniemożliwiający uwolnienie się bez czyjejs pomocy.

— Zostań, jeśli chcesz — mówiła tymczasem Ludorika — lecz ja odchodzę, nie pozwolę im na igranie z moim umysłem.

— Dokąd pójdziesz?

— Do Yatton, o ile zdołam umknąć z sidła Reddicka. To uparty typ i łatwo nie wypuści mnie z rąk. A ty? Zostajesz i czekasz na uwięzienie? — W jej głosie brzmiała lekka pogarda.

Lecz Ludorika nie mogła wiedzieć... Ucieczka była sprawą beznadziejną, z góry skazaną na porażkę. Gdyby tylko zdołała namówić księżniczkę na zawarcie układu z wujem Offlasem... Tyle, że mogło już być za późno na negocjacje. Potrząsnęła z rozpaczą głową i zaczęła się powoli podnosić.

— Jeżeli pomogę ci dotrzeć do Yatton...

Mogła przynajmniej ochronić ją przed ludźmi Reddicka. O ile zdoła zapewnić księżniczce bezpieczeństwo, istniała niewielka nadzieja na późniejsze negocjacje.

— Jeżeli pomożesz mi dotrzeć do Yatton, sądzę, że nie będzie więcej mowy o kradzieży pamięci ani o wzięciu dla żadnej z nas.

— Najpierw jedzenie.

Roane podeszła do pojemników, otworzyła termiczne pokrywy na tych, które jej zdaniem zawierały najbardziej trwałą żywność, i przyniosła wybrane produkty.

Teraz ubrania. Stare lachy Ludoriki nie nadawały się na okrycie. Roane mogła jej dać zapasowy kombinezon. Ze swoim dziwnym krojem i tkaniną będzie zapewne stanowić kolejną zagadkę dla każdego tubylca, lecz nie było innej rady. Ona i tak poniesie karę. Nie było jednak powodu, dla którego księżniczka miałaby podlegać obcej „sprawiedliwości”, która dla niej byłaby najbardziej krzyczącą niesprawiedliwością.

Szukając ubrań i butów, pocierała czoło podrapanymi palcami. Nie dlatego, że ją bolało, lecz dlatego, że nie mogła w pełni zrozumieć, jakim cudem dała się uwikłać w tę sytuację. Pragnęła jedynie schronić się przed potworną burzą, a z tego całkowicie naturalnego pragnienia wynikło tyle kłopotów. Wyglądało to tak, jakby całe szkolenie, wszystko, co wbijano jej do głowy jako „dobre” i „złe”, w momencie spotkania z księżniczką obróciło się do góry nogami.

Z westchnieniem rozwinęła kombinezon, przygotowując go dla Ludoriki, która nieufnie próbowała zawartości jednego z termosów.

— Ależ to jest dobre! — stwierdziła z pełnymi ustami. — Znacznie lepsze od tego, czym mnie poczęstowałaś w jaskini. Jakim sposobem to jest gorące? Przecież widziałam, że nie wyjmowałaś tego z pieca!

— To jeszcze jedna z naszych „sztuczek” — odparła krótko Roane.

Była koszmarnie zmęczona, marzyła, by się wsunąć do ciepłego, wygodnego śpiwora i zasnąć. Zamiast tego wpakowała do ust dwie tabletki tonizujące, które łagodzą zmęczenie. Potem zabrała się do swojej porcji żywności.

Księżniczka zjadła pierwsza i teraz obmacywała kombinezon. Ona i Roane były podobnego wzrostu i figury, więc Roane z góry wiedziała, że będzie pasował. Pokazała jej, jak postępować z wewnętrznym zapięciem, przesuując po nim jedynie czubkiem palca, a zaskoczona księżniczka aż krzyknęła z wrażenia.

— Jak łatwo się to wkłada! Chociaż z drugiej strony klamerki i sznurówki mają w sobie tyle uroku. Ale — przyjrzała się swojej smukłej figurze opatulonej w cudzoziemski strój — nie sądzę, bym chciała to nosić na stałe. Poczekaj, aż dotrzemy do Yatton. Wtedy ci się zrewanżuję i myślę — obrzuciła towarzyszkę krytycznym spojrzeniem — że będzie ci do twarzy w naszym stroju. Szkoda tylko, że masz takie krótkie włosy. Miejmy jednak nadzieję, że wkrótce odrosną. Ach, już wiem! Możesz nosić czepek! Sukienka w kolorze wina z żółtymi dodatkami i czepek z wstążką do wiązania...

Roane roześmiała się. Czowała się, jakby przeniesiono ją z prawdziwego świata w świat fantazji. Jak to możliwe, że ona, Roane Hume, siedzi w obozie Służby i słucha, jak księżniczka Reveny opisuje przeznaczoną dla niej suknię, będącą krzykiem mody na Clio? Może najlepiej potraktować tę przygodę jako sen i dać się ponieść biegowi wydarzeń, zamiast próbować z nim walczyć? Mimo to przez kilka pełnych zadumy minut pragnęła, aby to była prawda, aby raz mogła zobaczyć siebie taką, jak to opisała księżniczka.

— Nie czas teraz na pogaduszki o sukniach — powiedziała — Wiem, że do Yatton daleka droga, jeśli w ogóle tam dojdziemy.

Roane przedsięwzięła wszelkie możliwe środki ostrożności, by utrudnić pościg. Odpięła roboczy pas i rozłożyła go na podłodze, by posegregować potrzebne narzędzia. Promiennik — tak, ze świeżymi bateriami. Detektor i minikom nie; są połączone z urządzeniami w obozie. Przecinak też nie. Choć w paru sprawach zdradziła już Służbę, nie będzie przebierać miarki. Mogłaby go zgubić, a znaleziony przez kogoś innego mógłby wywołać zbyt wiele spekulacji. Mała apteczka i...

— Czy masz tu narzędzia, żeby mnie z tego uwolnić? Roane uniosła wzrok na pobrząkujący metal. Księżniczka szarpała obrozę, a łańcuch objął jej się o ramiona.

— Podejdź bliżej do światła i pozwól mi zobaczyć. Ludorika pochyliła głowę, żeby Roane mogła dokładniej obejrzeć małą dziurkę od klucza, której nie dostrzegła w wieży. Potem przyniosła dość dużą torbę. Wypróbowała dwa ze znajdujących się w niej narzędzi, wpychając ich czubki w dziurkę i manipulując na wszystkie strony. Obroza otworzyła się ze szczękiem.

Ludorika zdarła ją z westchnieniem ulgi i zaczęła masować szyję, na której widniały czerwone ślady. Roane sięgnęła po apteczkę, wycisnęła na palec trochę kojącej maści i rozsmarowała ją dokładnie.

— Już lepiej — westchnęła ponownie księżniczka. — To usuwa ból. Kolejny z wielu twoich cudów. Z twoim jedzeniem w żołądku, w twoich ciuchach na grzbiecie, a teraz jeszcze obłożona twoją pastą z ziół, czuję, że mogłabym zmierzyć się z Reddickiem i zwyciężyć. Chociaż dobrze wiem, że to tylko wrażenie, którego nie powinnam sprawdzać w praktyce.

Roane dalej wybierała wyposażenie. Miotacz ognia oczywiście nie, ale paralizator to już co innego. Po pierwsze, przestanie on natychmiast funkcjonować, jeśli spróbuje nim operować ktoś, kto nie zna jego zastosowania. Personel Służby musiał być wyposażony w jakiś rodzaj broni do obrony w innych światach, a to wyrafinowane cacko było ostatecznym efektem wielu żmudnych badań. Nie zabijało, choć przy zastosowaniu najwyższego napięcia mogło spowodować uszkodzenie mózgu. To właśnie chciał wykorzystać Sandar w przypadku Ludoriki.

Powkładała wybrane przedmioty do pasa — promiennik, paralizator, apteczka, torebka z racjami żywnościowymi, lecz nic, co łączyłoby ją z obozem lub obóz z nią. Kiedy skończyła i była gotowa do wymarszu, zauważyła, że księżniczka ma znowu na szyi obrozę, a wokół niej owinięty łańcuch.

— Po co to bierzesz?

— Po co? Ponieważ zostałam w to zakuta. Są tacy, którym to pokażę, opowiadając swoją historię. Oni tego Reddickowi nie darują. W Reveny nie traktuje się kobiet w taki sposób. Jest to tym bardziej ohydne, że spotkało księżniczkę Krwi. Uwiązana na łańcuchu jak zwierzę. Nie wiem, jaki zasięg ma działanie Reddicka przeciw tronowi, lecz już to, co zrobił ze mną, stanowi ostrzeżenie. Mogą zdarzyć się tacy, co pójdą za nim, nie wiedząc, jaki z niego naprawdę lord. I właśnie taki symbol jak to — potrząsnęła obrozą, której krawędzie zderzyły się ze szczękiem — doprowadzi ich do opamiętania. Niech tylko dotrę do Nelisa...

Roane po raz ostatni spojrziała na obóz. Nie różnił się niczym od tych, jakie widziała w pół tuzinie światów. Mimo to miała uczucie, że gdy teraz stąd odejdzie, odwróci się od wszystkiego, co zawsze było jej życiem. Kiedy przenosiła wzrok z miejsca na miejsce, miała wrażenie, że kształty i barwy są ledwie znajome, jakby już stały się obce, a ona tu nie należała.

Na szczęście przestało padać, choć gdy wydostały się z dziury na wpół przysypanej ziemią, skutki wczorajszej burzy były nadal widoczne. Na otwartej przestrzeni Roane stała się ostrożniejsza, nie tylko ze względu na ludzi Reddicka, lecz także z obawy przed wujem Offlasem i Sandarem. Przyspieszyła kroku. Księżniczka, której stopy chroniły teraz buty, dzielnie kroczyła za nią.

To Yatton leżało na północy — tylko tyle Ludorika umiała powiedzieć. Zawsze podróżowała dobrze utwardzonymi drogami, a te tutaj były ścieżkami leśników, których nie знаła. Nie miała też pojęcia, jaka odległość dzieli je od celu. Wysłanie tam Nelisa trzy miesiące temu było prawdopodobnie jeszcze jednym posunięciem Reddicka — stwierdziła. Wiem jednak na pewno, że jest on lojalny tylko w stosunku do prawowitej dynastii. O rany... co prawda w tych butach idzie się lepiej niż na bosaka, ale marzy mi się dwurożec. Mój poczciwy, rączy Zarpher... albo nawet Batlas, chociaż dawniej wyzywałam je od leniwych pełzaczy!

Przerwała, wsparłszy się dłonią o pień drzewa. Miała ściągniętą twarz, a pod oczami niebieskawe cienie, harmonizujące z siniakami.

Kiedy opuszczały obóz było późne popołudnie, lecz zachmurzone niebo sprawiało, że w gęstych partiach lasu panował mrok. Chociaż starały się iść dokładnie na północ, nierówności terenu często zmuszały je do zbaczania z wytyczonego kierunku, a więc nie mogły zajść zbyt daleko. Jedynym optymistycznym akcentem był fakt, że nie widziały żadnych oznak pościgu.

Roane odkryła z zaskoczeniem, iż księżniczka ma lepszy wzrok i słuch niż ona. Często wskazywała ślady ptaków czy zwierząt, które Roane przeoczyła. Kiedy Roane to skomentowała, wyjaśniła z uśmiechem, że w dzieciństwie Hitherhow było jej ulubionym miejscem i że często wyruszała na wyprawy z leśnikami.

— Było to wtedy, gdy księżę Reddick był jeszcze dziedzicem Thrisk. I szkoda, że tam nie został! Wysłano go do Thrisk w zamian za drugiego syna księcia Zeiteru. Myślę, że wszyscy mieli nadzieję, iż znajdzie tam sobie jakąś wysoko postawioną żonę. Co się naprawdę stało — potrząsnęła głową — nie wiem nawet ja. Chociaż królowi to powiedziano. Później wysłał on Reddicka na dwa lata do Tulstead. To zakazane miejsce; człowiek dwa razy pomyśli, zanim się tam osiedli. Reddick wrócił bardzo odmieniony; dziadek myślał, że na lepsze. Choć powinien wiedzieć, że krwi Olavy nie da się oczyścić. W każdym razie kolejne działania księcia prowadziły do przyznania mu praw do Hitherhow, co mu się powiodło. To cudowne Hitherhow! Zostało tak skalane! Ale niech tylko dostanę Koronę...

— A twój dziadek?

— Łączą nas więzy Krwi — odpowiedziała powoli Ludorika. — Jest starym człowiekiem i jestem dla niego jedynie środkiem do zachowania ciągłości rodu. Chciał wnuka, musi zadowolić się mną. Tak więc przez lata, odkąd mój wuj Wulver zniknął, nie jestem dla niego osobą jako ja, lecz narzędziem w jego ręku. Świadomość, że ma rację, niczego mi nie ułatwia. Jeśli umrze,

będzie mi trochę smutno, —ponieważ na swój sposób jest dobrym człowiekiem i zawsze dbał o dobrobyt Reveny. Nie będzie to jednak prawdziwa boleść serca. Nie mam nikogo na tyle bliskiego, by jego śmierć mogła mnie głęboko zranić.

Mówiła to, jakby stwierdzała fakt, z którym boryka się od dawna.

— A mając Koronę, będziesz rządziła Reveny?

— Tak. I wtedy Reddick nauczy się, co znaczy sięgać po coś, co nie jest jego. Wszystko już zaplanowałam, gdyż nie wiem, jak daleko i gdzie zarzucił swoją sieć, żeby mnie usidlić. Wezmę do eskorty Nelisa i jego ludzi, i pojadę do Leichstanu, przekraczając granicę w miejscu, gdzie można się prześliznąć unikając ciekawskich spojrzeń. Potem udamy się do Gastonhow, gdzie Wysoki Dwór spędza lato. Jako księżniczka Krwi mogę obcować z królem Gostarem... — zawahała się, pociągając w zadumie łańcuch obroży.

— On ma synów, dwóch wciąż nieżonatych. Jeden z nich mógłby zostać zaakceptowany jako księżę małżonek dla Reveny, a takie małżeństwo zaprowadziłoby pokój, przynajmniej na tej granicy. Będzie więc gotów mnie wysłuchać. Później zbiorę lojalne siły, z ich pomocą odnajdę Koronę i pojadę do Urkermark City. Jeśli wkroczę z Koroną i gwarancją pokoju na granicy, Reddick straci wszelkie poparcie. Ambasadorem w Gastonhow jest Imbert Rehling, kompan od kielicha mojego ojca. Byli jak bracia. On to wszystko zorganizuje. Yatton, granica, Gastonhow — jeden prosty ruch.

Może był to prosty ruch dla księżniczki, lecz Roane pomyślała, że widzi parę punktów, które mogą sprawić kłopot. Jednakże to nie jej sprawa. Jeśli jej się poszczęści, dostawi Ludorikę do Yatton. To, co wydarzy się potem, będzie rezultatem działań samej księżniczki, podczas gdy ona wróci do obozu i pokornie przyjmie wyznaczoną karę. Jedyne, co będzie miała na swoją obronę, to fakt, iż przyszła królowa Reveny jest jej dłużniczką. Zakładając, że Ludorika zostanie królową.

— W jaki sposób zdobędziesz Koronę?

— Wiemy już, gdzie jest. Kiedy otrzymam wsparcie, odszukam ją. Szkopuł w tym, aby ludzie, którzy pojadą ze mną odgrzebać ją spod skał, byli starannie dobrani. Ta historia nie może się roznieść. Wierzę, że Nelis mi w tym pomoże. Mogę na niego liczyć do śmierci i jeszcze dłużej. On będzie znał takich, którym można zaufać.

Roane zastanawiała się, czy jej pewność siebie to nie jedynie pozory, nie była jednak gotowa do zadania takiego pytania. Bardziej martwił ją fakt, że nadciąga noc. Szklą noktowizyjne... Zapomniała je zabrać. Jak mogła być aż tak głupia? W dodatku zażyte w obozie tabletki tonizujące przestawały działać. Widać było, że Ludorika, mimo całego wysiłku i odwagi, jest w jeszcze gorszym stanie. Muszą odpocząć, zjeść, i być może spędzić część nocy w jakiejś kryjówce, o ile taką znajdą.

W końcu znalazły. Pod osłoną pni dwóch zwalonych przez burzę drzew, których połamane gałęzie nadal kołysały się na wietrze, trzepocząc usychającymi liśćmi. Depcząc po mniejszych gałązkach i suchych liściach, weszły do prymitywnego gniazda i przycupnęły obok siebie. Roane wyciągnęła racje żywnościowe i zaczęły się posilać. Kiedy skończyły, było zupełnie ciemno.

Utrudzona księżniczka zwinęła się w kłębek z głową na służącej za poduszkę gałęzi i zapadła w ciężki sen. Ktoś jednak musiał czuwać! Minuty ciągnęły się w nieskończoność, a Roane, walcząc z przemożnym zmęczeniem, trzymała straż. Klujący ból w ramieniu... Sandar trąca ją szpadą Gameleana. Każę jej wstawać... maszerować... prowadzić się do Lodowej Korony. Jeśli dostanie ją w ręce, będzie władcą... Odsunął szpadę, a potem znów wycelował w nią jej czubek... Roane otworzyła oczy. — Wstawaj!

Rozkaz padł z głębokiej ciemności i był poparty dźgnięciem w żebra. To nie Sandar...

Jeden z ludzi Reddicka! Senne oszołomienie zaczynało mijać. Roane uniosła rękę do głowy i natychmiast poczuła na nadgarstku ostre smagnięcie, którego sprawcą był stojący nad nią mężczyzna.

— Trzymaj łapy na widoku, nic nie kombinuj. I wstawaj, już!

Padające po sobie rozkazy były zwięzłe. Widziała, że trzyma gotową do użycia broń.

A więc złapano je, gdy spały. Roane była jednak nadal zbyt zmęczona, by odczuwać coś poza mglistym przerażeniem.

— Co robicie, sierżancie? — Pytanie padło z ust księżniczki.

— Wypełniam swój obowiązek. Jesteście na królewskiej ziemi bez upoważnienia. Zatem powinniście odpowiadać przed kapitanem.

— Słusznie, sierżancie — powiedziała energicznie księżniczka. — Ale albo będziecie się zachowywać grzeczniej, albo to wy odpowiecie przed kapitanem, a to nie będzie przyjemne. Spróbujcie tylko jeszcze raz nas tknąć!

Widocznie stanowczość tego rozkazu podziałała, bo cofnął się o kilka kroków. Zaczynało świtać. W bladym świetle poranka stali trzej mężczyźni. Mieli na sobie buty, obcisłe bryczesy i szamerowane od szyi do talii kubraki. Od bioder do połowy ud okrywały ich rozkloszowane baskinki. Wszystko było w kolorze rudobrazowym, tylko na prawej piersi widniał jakiś skomplikowany emblemat w purpurze i zieleni. Te same barwy nosiły małe pióropusze wystające z opasek wysokich kapeluszy o wąskich rondach.

Na przewieszonych przez ramię pasach kołysały się szpady. Ich przywódca właśnie w przestrachu wepchnął swoją do pochwy. Mieli ponadto inną broń, którą Roane rozpoznała jako najbardziej śmiertelną na Clio. Była to ręczna broń strzelająca litymi pociskami.

— Jesteście z kawalerii Jontara — powiedziała Ludorika. Stała na wprost sierżanta, który gapił się na nią skonsternowany. — Waszym pułkownikiem jest Nelis Imfry. Z nim chcę się zobaczyć, i to szybko.

— Staniecie przed kapitanem — po chwilowym zakłopotaniu sierżant wyraźnie odzyskał zimną krew.— Jazda!

Dalszy opór nie miał najmniejszego sensu, ruszyły więc przez gąszcz krzaków do drogi, która okazała się pasem ubitej ziemi. Czekaly tam cztery dwurożce, których pilnował jeszcze jeden człowiek. Roane usadowiono na wierzchołku za jednym z żołnierzy, księżniczkę za drugim. Dziewczynie z kosmosu było wyjątkowo niewygodnie i stwierdziła zdecydowanie, że

nie jest to przyjemny sposób podróżowania. Na szczęście podróż trwała krótko i niebawem znalazły się w kolejnej wieży czy raczej budowli składającej się z kilku wież, podobnych do tej, w której rozpoczęła się przygoda Roane. Tyle, że te były zamieszkane przez wojsko i dodatkowo pełniły funkcję wsporników dla bramy z groźnie wyglądającą opuszczaną kratą, przez którą leśny szlak dochodził do znacznie lepszej drogi.

Sierżant wysforował się naprzód i kiedy dobiła reszta grupy, czekał już na nich jakiś oficer. Insignia na jego kołnierzu były również purpurowo-zielone, a pióropusz miał dodatkowo metalowe ozdóbki.

Zerknął ciekawie na Roane, lecz gdy jego wzrok przeniósł się na księżniczkę, wytrzeszczył zdumiony oczy. Podeszedł szybko do wierzchowca i podał jej rękę, pomagając zejść.

— Wasza wysokość! — Potem odwrócił się do sierżanta. — Ruszaj do pułkownika! Powiedz mu, że znaleźliśmy księżniczkę.

Sierżant raz jeszcze spojrzął z niedowierzaniem i wskoczył z powrotem na siodło. Dżgany ostrogami dwurożec pognął co tchu pod łukiem bramy i oddalił się z głuchym tętentem rozciągającą się za nią drogą.

Roane została zszadzona z siodła o wiele delikatniej, niż ją tam wsadzono. Podążyła za księżniczką na drugie piętro stojącej z lewej strony wieży, gdzie pospiesznie wniesiono krzesła, przy czym drugie, po wyraźnym geście księżniczki, podstawiono Roane.

— Wasza wysokość, wszędzie cię szukamy. Kiedy zeszłej nocy ptak posłaniec przyniósł wiadomość, że zniknęłaś, pani, z Hitherhow, pułkownik odkomenderował do poszukiwań trzy kompanie i sam stanął na czele pierwszej z nich. Lecz jak...

Zerknął ciekawie na jej kombinezon, jakby łaknął wyjaśnień, o które nie śmiał otwarcie poprosić.

— Porwano mnie z Hitherhow — odpowiedziała Ludorika — z mego własnego łóżka. Dzięki łaskawości Strażniczek i dobrej woli obecnej tu lady Roane Hume, uciekłam przed zgotowanym mi losem. Reszta nie nadaje się do publicznych dysput. Ale ja was już kiedyś widziałam. Towarzyszyliście pułkownikowi Imfry w Urkermark w czasie ostatniej parady z okazji urodzin Jego Królewskiej Mości. Jesteście kapitan Buris Mykop i pochodzicie z zamku Benedu.

— Wasza wysokość, tylko raz miałem zaszczyt być wam przedstawiony, a wy pamiętacie!

Uśmiechnęła się:

— Czyż można zapomnieć tych, którzy nam wiernie służą? Nie ma w tym nic osobliwego. Byłoby raczej niestosowne i dziwne, gdyby się zapomniało.

Pochyliła się gwałtownie naprzód i rzuciła na blat najbliższego stołu obrożę z łańcuchem.

— Widzicie oto, kapitanie, drobną pamiątkę po mojej przygodzie. Obroża opasywała przez pewien czas moje gardło, zaś łańcuch solidnie umocowano, bym się nie zerwała z uwięzi.

Kapitan przeniósł wzrok z księżniczki na łańcuch. Wyciągnął rękę i dotknął obroży. Kiedy się odwrócił, jego twarz przypominała srogą i zawziętą maskę.

— Kto to zrobił, Wasza wysokość?

— Nie wiem... jeszcze nic. Lecz niewątpliwie wszystko się wkrótce wyjaśni. Na razie wystarczy, że temu komuś nie udało się mnie zatrzymać tak, jak zamierzał. I za to dzięki mojej lady Roane.

Skinęła głową swojej towarzyszce, a kapitan wpatrywał się w dziewczynę z kosmosu, jakby na wsze czasy chciał odcisnąć jej wizerunek w pamięci.

— Jaki dziś dzień? Podczas wędrówki zmienialiśmy noc w dzień. — Nie mogę się teraz doliczyć.

— Jest czwarty dzień Lackameande, wasza wysokość.

— A był drugi, kiedy jechałam do Hitherhow — powiedziała.— Czy były jakieś ważne wiadomości z Urkermark?

— Żadnych, wasza wysokość. Z tego co ludzie mówią, król odpoczywa spokojnie, a jego stan nie uległ zmianie.

Ludorika odprężyla się trochę. Jednak jej kolejne pytanie świadczyło o tym, że niezupełnie polega na tym raporcie.

— Granica Leichstanu jest o dwie mile stąd, prawda? A my jesteśmy w Westergate?

— Zgadza się, wasza wysokość.

— A co... —

Lecz to, o co chciała zapytać, zginęło w dochodzącym z dołu zgiełku. Chwilę później do komnaty wpadł jak burza mężczyzna i zatrzymał się na widok księżniczki. Był wysoki i młody, a jego twarz cechował wyraz odpowiedzialności.

W porównaniu z pięknie rzeźbionymi rysami Sandara, jego wydawały się przytępione, niemal prostackie. Mimo to Roane złapała się na tym, iż wpatruje się w niego tak, jak przedtem patrzył na nią kapitan; pragnęła utrwalić sobie tę twarz w pamięci. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego.

Jego włosy miały odcień zbliżony do koloru kubraka — rdzawobrazowawy, lecz brwi były tak czarne jak u księżniczki, a jedna unosiła się trochę, nadając mu nieco cyniczny wygląd.

Sposób, w jaki patrzył na Ludorikę, sprawił, że Roane poczuła się nieswojo, jakby bycie świadkiem tej sceny równało się zyskiwaniu nieuczciwej przewagi. Później wyraz jego twarzy uległ zmianie, a on sam przemierzył pokój, ujął wyciągniętą do niego dłoń Ludoriki i uniósł ją do warg, kłaniając się przed nią z wdziękiem, o jaki Roane nigdy by go nie podejrzewała, gdyby nie widziała na własne oczy.

— Bądź pozdrowiona, księżniczko!

— Witaj, krewniaku! — Roane odniosła wrażenie, że księżniczka celowo zaakcentowała ostatnie słowo. Może to jakiś prywatny szyfr, a może ostrzeżenie. — Słyszę, że mnie szukaliście.

— Sądziłaś, że nie będziemy? — spytał przeciągając słowa i uśmiechając się szelmowsko,

jakby powiedział coś dowcipnego i pragnął, by śmiała się wraz z nim. — Jednak jak zawsze, pani, zdołałaś udowodnić, iż jesteś godną córą królów i wcale nie potrzebujesz naszej pomocy. Kapitanie — zwrócił się do podwładnego — chętnie wypijemy po szklaneczce laskieru i... czy jadłaś już lunch, księżniczko?

— Lunch? — roześmiała się. — Krewniaku, nie jadłyśmy nawet śniadania. Za to, dzięki szczodrości mojej lady Roane, jadłyśmy kolację. — Skinęła w kierunku Roane: — Roane, oto mój poczciwy krewniak i drogi przyjaciel, pułkownik Nelis Imfry, o którym ci wspominałam.

Pułkownik skłonił się, może nie tak nisko, jak przed Ludoriką, lecz z tym samym zdumiewającym wdziękiem. Roane odzyskała mowę, a nie będąc do końca pewną, jakich form grzecznościowych używa się w Reveny, podparła się zwrotem używanym w takich sytuacjach przez jej cywilizację:

— Jestem zaszczycona, pułkowniku.

— Cała przyjemność po mojej stronie, pani.

— To dzięki niej jestem tu z wami, krewniaku. A teraz do rzeczy. Kapitan Mykop mówi, że nie ma złych wieści.

Sam kapitan gdzieś zniknął.

— A spodziewałaś się że będą? — spytał pułkownik.

— Tak, biorąc pod uwagę moje przejścia. Nelisie, on nie odważyłby się na takie posunięcie, gdyby nie miał poufnych informacji, z których wynikało, iż żywot króla dobiega końca.

— Pójdę o zakład, że twojemu czarującemu kuzynowi nic nie można udowodnić — tonem głosu pułkownik zmienił przymiotnik w swojej wypowiedzi w epitet.

— Naturalnie, że nie. Lecz, Nelisie, jest coś jeszcze... Pewna tajemnica. Musisz ją usłyszeć. Ty i może jeszcze kilku innych, którym całkowicie ufasz. Czy możemy tu mówić otwarcie?

— Tak, ale poczekaj aż przyniosą przekąski. Potem możesz mówić. Ta sprawa nie jest chyba aż tak nagląca, żebyś rezygnowała z jedzenia, prawda?

Lecz księżniczka nie odwzajemniła jego uśmiechu.

— Może być, Nelisie. Właśnie, że może być.

Zmarszczył czoło. Lecz w tym momencie wszedł kapitan, a za nim żołnierz z wyladowaną tacą. Gdy ten ostatni wykladał jej zawartość na stół, pułkownik nalewał żółty płyn z przyniesionej przez kapitana butelki.

— Sobie także, Nelisie. I kapitanowi — Ludorika wskazała gestem na pozostałe kielichy.

— Wzniosę toast — powiedziała, gdy wszyscy trzymali już puchary z trunkiem w dłoniach. — Za zdrowie króla!

Roane pozwoliła, by lekko cierpki, orzeźwiający płyn wypełnił jej usta. W tym, co mogło być konwencjonalnym toastem, odczytała podtekst. Ludorice faktycznie potrzebne było zdrowie dziadka, dopóki nie odzyska dawno utraconej Korony.

Roane przenosiła wzrok z księżniczki na pułkownika i z powrotem, zastanawiając się, co łączy tych dwoje, którzy zdawali się zapomnieć o jej istnieniu. Księżniczka była serdeczna i bezpośrednia, on z kolei sprawiał wrażenie, jakby usilnie starał się zachować dystans i ustawiał między nimi jakąś barierę. Siedzieli naprzeciwko siebie przy stole, na którym znajdowały się resztki najlepszego posiłku, jaki Roane jadła na Clio.

Ludorika w krótkich słowach opowiedziała o swoich przeżyciach — o utracie Korony i o tym, gdzie jej zdaniem obecnie spoczywa. Kiedy skończyła, pułkownik nie skomentował tego ani słowem, lecz spojrzął na Roane:

— A jak to się stało, że lady Roane wplątała się w tę sprawę, pomijając fakt, że oddała Reveny wielką przysługę swymi działaniami na rzecz waszej wysokości?

Ponieważ księżniczka nie odpowiedziała, Roane przemówiła we własnym imieniu, ponownie zmuszona do ujawnienia taktów, których nie chciała odkrywać. Każda taka wypowiedź była dla kogoś z kosmosu kolejnym gwoździem do trumny.

Opowiedziała okrojona historię o poszukiwaniu starożytnych szczątków i ich znaczeniu dla jej rodaków, tę samą, którą wcześniej przedstawiła Ludorice. Lecz gdy skończyła, pułkownik nie wydawał się usatysfakcjonowany.

— Nie mówisz, pani, skąd przybywacie, ty i ci pozostali Poszukiwacze skarbów...

Roane zawahała się przez moment:

— Pułkowniku, czy nigdy pan nie uczestniczył w poufnych misjach, których szczegółów nie mógł pan ujawnić? Lub, jeśli Pan tego nie robił, czy takie przypadki nie są panu znane?

— Owszem, choć muszę przyznać, że aż do tej chwili nie miałem do czynienia z niczym, co nie jest powszechnie wiadome.

— Zatem proszę uszanować moje milczenie. Przysięgam panu, że ci, którym służę, nie mają złych zamiarów wobec Reveny. Ponadto, zanim tu przybyliśmy, zostaliśmy zobowiązani do powstrzymania się od wszelkich działań, które mogłyby nas zdemaskować przed mieszkańcami tej planety, oraz do nie mieszania się w tutejsze sprawy. W tej kwestii popełniłam błąd i będę musiała ponieść karę.

— Mogą sprawić, że straci pamięć... Albo wsadzić ją do więzienia... — wtrąciła księżniczka.

— Ona ci to powiedziała? — Oczy pułkownika zrobiły się zimne.

— Tak — odparła śmiało Roane, widząc, że on wątpi. — Mogą to zrobić... czy pan w to wierzy, czy nie! — Potraktowała jego niedowierzanie jak prowokację i bardzo ją to rozzłościło. — A więc — zwróciła się do Ludoriki — obiecałam doprowadzić cię do przyjaciół. Wywiązałam się ze zobowiązania. Teraz już pójdę...

— Obawiam się, że to niemożliwe! — padły ostre słowa pułkownika. A Ludorika wyciągnęła rękę i złapała Roane za nadgarstek, jakby chciała przytrzymać swego więźnia.

— Chcesz czy nie — kontynuował pułkownik — wybrałaś drogę, pani, i musisz iść nią dalej, dopóki księżniczce nie przestanie zagrażać niebezpieczeństwo. Wasza wysokość, każ tej damie

zostać z sobą. Dobrze będzie, jeśli przy przekraczaniu granicy będziesz miała towarzystwo. I to, szczęśliwym zrzędzeniem losu, w osobie kogoś, kto nie zdradza tajemnic, żeby jeszcze bardziej nie zdradzić siebie.

Policzki Roane oblał krwisty rumieniec. Czy on z niej drwi, czy rzuca wyzwanie, aby udowodniła, że jest taka, jak powiedziała? Trochę się bała, gdyż nie wątpiła, że mówił poważnie. Świadczyło to o dużym rozsądku, gdyż z jego punktu widzenia mądrze było mieć ją na oku. Wstyd jej było, że nie przewidziała tego oczywistego finału swoich poczynań. Wszystko przez to zidiocenie, które ovladnęło ją w momencie spotkania Ludoriki. Prawie jakby była uwarunkowana...

Uwarunkowana! A jeśli techniki Służby okazały się wadliwe i ich kosmiczne zabezpieczenia zawiodły? Bądź były na tyle ułomne, że niepostrzeżenie dostała się we władanie siły istniejącej po to, by uczynić Clio zamkniętym światem? Ogarnęła ją nowa fala strachu. Ale nie! Ona to ona — Roane Hume — która doskonale pamięta życie poza gwiazdami! Nie jest poddaną władcy tego zapomnianego, żywego muzeum świata! I tej myśli musi się trzymać.

— A zatem zdecydowałaś się, wasza wysokość, udać po pomoc do Leichstanu? — Pułkownik, powiedziawszy swoje, zdawał się znów nie zwracać uwagi na Roane.

— Jest Korona. Nawet jeśli Reddick wie, gdzie ona spoczywa, nie sądzę, by ośmielił się sięgnąć po nią, skoro ja żyję. Lecz wierzy, bo przynajmniej ja bym na jego miejscu wierzyła, że wraz z moją śmiercią Korona go uzna. Ponieważ, pomimo nieudokumentowanego pochodzenia, posiada w żyłach ślady Krwi. Możliwe, że porwał mnie tylko po to, by mieć mnie pod kontrolą w chwili nadejścia oczekiwanej przez niego wiadomości. Lecz czy zamierzał choć przez godzinę pozostawić mnie przy życiu po jej otrzymaniu... — wskazała na łańcuch i obrożę. — To świadczy wyraźnie, że nie. A Leichstan zapewni azyl, dopóki nie upewnimy się, o co w tym wszystkim chodzi.

Zdawała się zupełnie spokojnie przyjmować fakt, iż stanowi cel intryg swego kuzyna. Lecz być może takie intrygi były na Clio na tyle powszechne, iż stanowiły część ich codziennego doświadczenia. Może utrzymywano tu swoją pozycję za pomocą ustawicznych potyczek w śmiertelnej rozgrywce.

Reddick jest z pewnością nadal w Hitherhow. Możemy go tam pojmać! — Opalona ręka pułkownika zacisnęła się, niczym na rękojeści broni.

Nie wiedząc, jak daleko sięgają jego plany ani na jakie poparcie może liczyć? To nie byłoby rozsądne. Lecz w Leichstanie mogę zażądać pomocy, ponadto usuwam się poza zasięg Reddicka, co da nam czas na znalezienie Korony i uzyskanie informacji o faktycznym stanie zdrowia króla.

— Leichstan jest ambitny — stwierdził pułkownik.

— Tak jak Vordain na północy. Skoro musimy szukać sojuszników, trzeba wybrać. Ubolewam nad tym nie mniej niż ty, krewniaku. Lecz jeśli musi się wybierać między przymierzem a przymierzem, Leichstan poprzez przyjaźń jest lepszy niż Vordain przy użyciu siły.

Pułkownik spuścił głowę i popatrzył na trzymany w ręku kielich, który obracał w palcach. Może w jego głębi odczytał jakieś przesłanie.

— Taki sojusz ma swoją cenę — zauważył spokojnie.

— O tym też wiem — odparła księżniczka. — Lecz nic na tej ziemi nie jest za darmo, krewniaku. A jeśli chodzi o mnie, stawiam bezpieczeństwo i przyszłość Reveny na pierwszym miejscu. Z tytułu urodzenia, a także wykształcenia, jestem kim jestem. Gdyby w moim Domu był ktoś, kto zamiast mnie mógłby dzierżyć szablę w bitwie, może nie musiałabym się tym przejmować. Ale takiego kogoś nie ma. I jestem przekonana, że to również sprawka Reddicka. Zrobię wszystko, żeby Korona nie wpadła w jego chciwe łapska. Droga do tego wiedzie przez Leichstan, choć będę się musiała obejść bez tej pompy i rozgłosu, jaki zwykle towarzyszy królewskiej wizycie, gdyż jadę incognito. Strzeżecie granicy wystarczająco długo, by znać jej sekrety. Nelisie, niedaleko stąd musi być jakieś tajemne przejście...

— Szlaki przemytników są wyboiste i niebezpieczne.

Księżniczka roześmiała się:

— Nie gorsze od tych, jakimi się ostatnio poruszałam. I jeszcze jedno. Co prawda to — popatrzyła na swój kombinezon — jest wygodny i wytrzymały strój na drogę, lecz sądzę, że lepiej będzie, jeśli udam się do Leichstanu ubrana w coś mniej rzucającego się w oczy. Trudno się spodziewać, by posterunek wojskowy posiadał zapasy damskich strojów, ale może uda się wam zdobyć coś dla nas obu?

Nelis Imfry uśmiechnął się, jakby to, o co poprosiła księżniczka, było błahostką.

— Nie mamy zbyt dużego zaopatrzenia dla dam, to pewne. Jeśli chcesz, mogę posłać do Fittsdale po suknie chłopek.

— Wyśmienicie. Najważniejsze, żeby się nadawały do jazdy wierzchem. Czy masz dla nas eskortę, takich, co znają szlaki przemytników?

Teraz pułkownik roześmiał się głośno:

— W rzeczy samej, mam, wasza wysokość. Siedzimy na tych wzgórzach tyle czasu, że znamy każdy kamień ze wszystkich czterech stron. A ponieważ wzmiankowani przemytnicy zdążają do Leichstanu, a nie na naszą stronę granicy, nie musimy się obawiać złej woli.

Kiedy wyszedł, Roane podjęła jeszcze jedną, ostatnią próbę uwolnienia się z tego nurtu niosącego ją ku zagładzie:

— Ja muszę wracać!

Ludorika potrząsnęła głową z uśmiechem na ustach.

— Ależ moja droga Roane, naprawdę nie możesz. Jeśli prawdą jest to, że ukarzą cię za to, co dla mnie zrobiłaś, tym bardziej nie możesz. Ponadto przypuścimy, że wpadniesz w łapy ludzi Reddicka... Nie sądz, że zawaha się przed użyciem drastycznych metod, żeby wyciągnąć z ciebie wszystko, co wiesz. Sam fakt, że znajdą cię w królewskim lesie po tym, jak uciekłam, uczyni cię podejrzaną. Nosisz dziwne ubranie, masz przy sobie tajemnicze narzędzia i broń... Tak, byłabyś zagadką, którą Reddick chciałby za wszelką cenę rozwiązać, a zapewniam cię, że

to nie byłyby przyjemna zabawa. Jedziemy do Leichstanu. A kiedy Korona znajdzie się w moich rękach, zajmiemy się z kolei twoimi towarzyszami. Nigdy nie przystępuj do negocjacji, jeżeli nie masz za sobą potężnego poplecznika.

Nadszedł kapitan i zaprowadził je do kwatery na trzecim piętrze wieży. Ludorika oświadczyła, że powinny dobrze wypocząć, ponieważ nikt nie potrafi zgadnąć, jak długo może potrwać podróż przez granicę. Roane zdawała sobie sprawę ze swojego położenia. Była więźniem, choć nie zakuto jej w obrozę i łańcuch. Jedyнным sposobem, by stąd uciec, było użycie paralizatora. Ale potem i tak ścigano by ją... Potrząsnęła głową. Pozostawała tylko nadzieja, że przyszłość przyniesie jakieś zmiany.

Zasnęła. Zmierzchało, kiedy księżniczka zbudziła ją, potrząsając delikatnie za ramię. Na podłodze stała ogromna balia, do której Ludorika wlewała parującą wodę.

— To bardzo prymitywny sposób kąpieli — powiedziała. — Lecz niewątpliwie mamy szczęście, że w ogóle możemy się tu wykąpać.

Zdjęła ubranie i weszła do balii. Przyklękła w niej i zaczęła się spryskiwać wodą oraz pocierać wiązka szorstkiego лыka, które pozostawiało na jej gładkiej skórze smużki piany.

— Czy mogłabyś mnie oplukać... — Ludorika wskazała na drugi dzban, a Roane spełniła jej prośbę. Księżniczka wstała i wytarła się podanym przez towarzyszkę ręcznikiem.

— Gdybyśmy mogły teraz opróżnić to do tego drugiego...

Obwiązała się mocniej ręcznikiem, po czym przelały wodę do ogromnego kubła i ponownie napełniły balię dla Roane. Choć ta kąpiel różniła się diametralnie od stosowanych przez Roane bardziej skutecznych odświeżaczy, poczuła się po niej doskonale. Mydlana substancja wydzielająca się ze splecionego лыka gąbki miała świeży, ziołowy zapach, jaki lubiła.

Ludorika grzebała w stosie ubrań, wyciągając coraz to inną suknię. Każdą z nich przykładała do siebie, chcąc widocznie wybrać najlepszą. W końcu wybuchnęła śmiechem.

— Powiadają, że Nelis nie interesuje się kobietami. Oto dowód, że ta reputacja mężczyzny oziębłego jest niesprawiedliwa. Te suknie są doskonale skrojone. Będziemy zupełnie nieźle ubrane. A więc... ta brązowa dla ciebie, a ja wezmę niebieską.

Roane włożyła obco wyglądający strój. Suknie były czyste, choć trochę pogniecione, i również wydzielaly balsamiczny, ziołowy zapach. Nie było luster, lecz przyznała księżniczce rację: leżały doskonale. Spódnica była obszerna, sięgająca kostek, a jej fałdy dziwnie krępowały nogi, przez tak długi czas nawykłe do kombinezonu. Dla kontrastu góra była obcisła, sznurowana od szyi po talię czerwonymi, jedwabnymi tasiemkami. Obok nich biegł haft w tym samym odcieniu czerwieni. Sama suknia była w przyjemnym, żółtobrązowym kolorze. Do tego była peleryna z obszytym na czerwono kapturem i ciasno przylegający czepek z wywinętym brzegiem, cały wyszywany małymi, zręcznie wymodelowanymi czerwonymi piórkami.

Suknia księżniczki była ciemnoniebieska z jaskrawozielonymi dodatkami, lecz poza tym nie różniła się niczym od stroju Roane. Zamiast wkładać czepek, Ludorika rozczesala długie, piękne włosy i zaplotła je w luźno opadające na ramiona warkocze.

— Bardzo dobrze — popatrzyła najpierw uważnie na Roane, potem na siebie i znów na

Roane. — Teraz zjemy coś, a potem ruszamy. Przynajmniej noc jest jasna. Nelis uważa, że tak już zostanie, a on zna ten kraj tak dobrze, że wie co mówi.

Zeszły piętro niżej. Stół był ponownie zastawiony jedzeniem — mięsem, chlebem i owocami. Mężczyzna, który podniósł się na ich powitanie, nie był w mundurze, lecz miał na sobie zakurzone, szare ubranie, a na głowie kaptur, spod którego widać było tylko twarz, gdyż dolna jego część owinięta była wokół szyi i zawiązana ciasno pod brodą.

— To ty, Nelisie! — Ludorika usadowiła się na krześle, które jej podsunął.

Roześmiał się.

— Czy nie mówiłem ci, że znam dobrze te wzgórza? Jakże mógłbym pozwolić ci jechać przez nie samotnie, wasza wysokość? — Nagle spowaźniał: — Będziecie miały eskortę z doborowych ludzi z mojej własnej warowni. Jestem dla nich najwyższym zwierzchnikiem, a także dowódcą w walce.

Lecz jeśli Reddick się dowie o twoim wyjeździe, może Podejrzewać...

Wypracowaliśmy plan na taki wypadek. Pamiętaj, że zniknęłaś z Hitherhow, a ja cię szukam z oddziałem zwiadowców, i dlatego nie ma mnie na miejscu. Jeśli zaś chodzi o resztę asysty, możemy ręczyć za ich lojalność. Jednak będą oni maszerowali godzinę drogi przed nami i patrolowali teren na zachód od Granpabar, którego to terytorium księżę nie ośmieli się, moim zdaniem, najechać, wiedząc, że tamtejszy lord ma poważne powody, by go nie lubić.

— Ufam ci, Nelisie... — Księżniczka również się roześmiała.

— Mam nadzieję, że się nie zawiedziesz, wasza wysokość — odparł, nadal poważny. — Mam nadzieję, że nie! Rozumiem twoją argumentację. Wiem też, że zawsze w naturze twojego Domu leżało odważne działanie w potrzebie. Jest jednak wiele przyczyn, dla których to działanie może się nie powieść. Nie bądź zbyt pewna...

— Takie kazania wygłaszałeś mi już nieraz w przeszłości! Nie, tym razem jest coś, co daje mi pewność, Nelisie. Reddick nie mógł przewidzieć przybycia Roane, która pokrzyżowała mu szyki. Dotychczas wszystko się układa na moją korzyść. Tak, wiem — uniosła rękę, ponieważ chciał coś powiedzieć — nie mogę liczyć na takie nieprzerwane pasmo szczęścia. Lecz póki mi towarzyszy, pozwól mi to możliwie najlepiej wykorzystać, tak jak wykorzystamy teraz to wspaniałe jedzenie.

Roane z ulgą przyjęła wiadomość, iż nie pojedą na dwurożcach same. Nigdy w życiu nie kierowała takim wierzchowcem, a na pobieranie teraz lekcji jazdy nie było czasu.

Aby zachować pozory wieśniaczek, które z reguły nie jeździły samotnie, ona i księżniczka miały jechać z tyłu za jeźdźcem; księżniczka z pułkownikiem, Roane z którymś z żołnierzy. Wszyscy mieli na sobie bure, cywilne ubrania. Roane nadal miała pod peleryną swój pas, z którym postanowiła się nie rozstawać. Jego posiadanie dawało jej poczucie, iż wciąż jest Roane Hume, a nie kimś obcym — również samej sobie.

O brzasku, po przedostaniu się przez labirynt mrocznych dolin i wspinaczce na wzgórza, gdzie musieli zsiąść i przeprowadzić zwierzęta, dotarli do przełęczy, przez którą okrutnie zimny wiatr. Roane była rada, że ma pelerynę. drodze dwukrotnie się zatrzymywali, a trzeci

mężczyzna z ich gromadki wyruszał na zwiady. Nie natrafił jednak na nic alarmującego. A teraz pułkownik wskazywał na opadające pod nimi zbocze:

— Leichstan. Lecz Gastonhow leży dobre osiem mil dalej. Zanim tam dotrzemy, będziemy musieli odpocząć i zmienić wierzchowce.

— Nie możemy się pokazać w żadnej gospodzie — zaprotestowała księżniczka.

— Nie możemy też ujechać daleko na zmęczonych dwurożcach — odparował Imfry. — Zresztą i tak nikt nas nie rozpozna. Wasz strój zdradza co prawda, że jesteście z Reveny, lecz wiele przygranicznych rodzin ma krewnych po obu stronach. Równie dobrze mogliśmy zostać zaproszeni na jakieś wesele...

— Nic z tego! O weselu w okolicy wszyscy by tu wiedzieli. Wieści o takim wydarzeniu roznoszą się z wioski do wioski. Niech to lepiej będą narodziny, może w naczelnym domostwie. Po drodze możemy zebrać słomki na wieniec dla dziecka.

— Nigdy nie przestaje mnie zdumiewać, wasza wysokość, jak doskonale znasz wszelkie obyczaje.

— A nie powinno, krewniaku. Jaki pożytek mają podwładni z władcy, który nie rozumie ich zwyczajów? Och, wiem, że w niektórych krajach pokutuje dziwaczne przekonanie, iż pomiędzy królem a poddanym nie ma żadnego punktu styczności. Lecz mój Dom nigdy tak nie uważał i nie będzie.

— Punkt, który utrzymał twoją dynastię bezpiecznie na tronie?

— Jak dotąd! I raptem pojawia się ta mroczna skaza, pochodząca nie z mego ludu, lecz z rodziny. Niesnaski w rodzinie są zawsze najbardziej gorzkie.

Był jednak moment, kiedy zdawało się, że plan księżniczki nie zostanie wprowadzony w czyn, gdyż ich zwiadowca wrócił z informacją, że główną drogą do najbliższej gospody podąża jakieś towarzystwo i że rozpoznał wśród podróżników jedną twarz.

— Kaspard Fancher! — powtórzyła księżniczka.

— Obawiam się — pułkownik zniżył nieco głos — że okres sprzyjającej fortuny się skończył. Fancher jest...

— Dobrze wiem, kim jest — przerwała Ludorika. — Wynika z tego niezbitie, iż Reddick przypuszcza, że będę próbowała dotrzeć do króla Gostara. Wie także, że nie jestem zupełnie głupia, choć bardzo tego żałuje. Doskonale. Prawdopodobnie Fancher jedzie ze wszelkimi pełnomocnictwami, jakie Reddick może mu wystawić, lecz Reddick nie jest jeszcze królem Reveny, a nawet nie jest blisko tronu. Ja jestem księżniczką, a Imbert Rehling był oddanym przyjacielem mojego ojca. Ułatwi mi dotarcie do Gostara, i Reddick nie zdoła temu przeszkodzić.

— O ile dojedziemy do Rehlinga...

— Cały Dwór przeniósł się do Gastonhow, a wraz z nim wszyscy ambasadorowie. Co prawda pora roku trochę za wczesna na taką przeprowadzkę, lecz król Gostar cieszy się teraz tą swoją drugą młodą królową. Plotka głosi, że ona może wkrótce obdarować go książką, więc

przywiózł ją do Gastonhow, żeby napila się wody ze Studni Wiary.

— Przesąd!

— Może tak, a może nie. Przy Studni Wiary była Strażniczka, to zostało potwierdzone ponad wszelką wątpliwość. Było także wiele przypadków kobiet, które podczas ciężkiego porodu doznawały ulgi od jej wód. Przecież Gastonhow zostało zbudowane przez królową Marget, ponieważ obawiała się utraty czwartego dziecka po tym, jak troje poprzednich zmarło, gdy ona była jeszcze w połogu po ich urodzeniu. Przebywała tam przez większą część okresu brzemienności, po czym urodziła pięciu synów i trzy córki, zdrowych jak ryby.

— Historia! Jakie znaczenie ma teraz to, co robiła królowa Marget? Jeśli Dwór jest w Gastonhow i Fancher tu jedzie, musimy się dokładnie upewnić, na czym stoimy. Najlepiej wyślijmy posłańca...

— A dlaczego sami, najszybciej jak to możliwe, nie ruszymy do Gastonhow?

— Nie zrobimy tego, dopóki nie będę miał pewności, co nas tam czeka.

— Pewności czego? Że Fancher przyjechał, żeby nas wpędzić w kłopoty? O tym wiemy. Lord Imbert nie dopuści do jego spotkania z królem, a on sam nie nabierze Imberta na żadne sztuczki. Lecz możliwe... możliwe, że masz rację, Nelisie. Lepiej nie psuć naszych planów nierozważnymi posunięciami. Dam posłańcowi coś, co pomoże mu uzyskać szybkie posłuchanie u lorda Imberta. — Księżniczka pociągnęła za swój długi warkocz i wyrwała pięć włosów, które dokładnie przeliczyła i związała razem w supeł. — Teraz jeszcze listek...

— Co to za sztuczki? — spytał pułkownik.

— Ot sztuczki... w określonym celu. Lord Imbert będzie je pamiętał, bo bawiłam się z nim w to jako dziecko. Przyjechał wtedy do mnie po śmierci mojego ojca i zabrał mnie do swojej lady Ansli, tej która była Najwyższą Damą w Kross. Pojechałam z nim, ponieważ w okresie żałoby król chciał mnie trzymać z dala od dworu. Lord Imbert lubił stare opowieści. Kazał je zbierać od śpiewaków z Tork i przepisywać, by nie poszły w zapomnienie. Jedna z nich mówiła o Zaginionej Damie z Innace. Nałożona na nią klątwa została złamana przez liść i włos. Tak, on będzie pamiętał i wysłucha twojego człowieka.

Księżniczka zaczęła myszkować wśród rosnącej wokół roślinności, a potem rzuciła się błyskawicznie, wrywając z korzeniem roślinę z długimi, wąskimi liśćmi. Oderwała największy z nich i owinęła go związanymi w supełek włosami.

Po odjeździe posłańca, Imfry wsiadł na dwurożca i nakazał ruszać, jednak w możliwie najwolniejszym tempie. Tutaj, niedaleko wzgórz, na których przekroczyli granicę, kraina była zalesiona, musieli więc skręcić w jedną z tych osłoniętych dachem gałęzi drózek. Doprowadziła ich ona do mostu, który był bogato zdobiony i szerszy od drogi, co dowodziło, iż niegdyś droga ta była bardziej znaczącą arterią komunikacyjną niż obecnie. Po drugiej stronie łukowatego sklepienia widniała niewielka jednopiętrowa wieża zbudowana w formie trójkąta, na trwale połączona z mostem. Również dwa bardzo wąskie okna miały kształt trójkątów.

— Czy masz pieniądze na opłaty podrózne? — spytała księżniczka pułkownika. — Widzę, że to most przyrzeczeń.

— Stary most. Przyrzeczenie już dawno musiało zostać wypełnione.

— Skąd możemy to wiedzieć? Masz pieniądze do skrzynki na datki?

Wyciągnął zza pazuchy małą sakiewkę i podał ją księżniczce.

— Rozporządzaj tym oszczędnie, wasza wysokość. Nie miałem czasu, aby przed wyjazdem zgromadzić fortunę.

Rozluźniła sznurek, poszperała w sakiewce i wyciągnęła okrągły kawałek metalu.

— Jeden plum wystarczy. Podróżujemy z czystymi rękoma i bez złych zamiarów w sercu.

Gdy zbliżyli się do trójgraniastego budynku, księżniczka wychyliła się ze swojej poduszki za siodłem i rzuciła monetę w otwarte okno.

— Za pomyślność tego, kto zbudował tę drogę, za pomyślność nią podróżujących, za pomyślność podróży i za jej pomyślne zakończenie — powiedziała, jakby wymawiając jakąś formułę.

— Ten, który to zbudował — uniosła palec wskazujący w powietrze i zaczęła nim wodzić za wygięciami i wywijasami zatartego przez deszcze i wiatry, wyrzeźbionego w murze napisu — nazywał się Niklas i był lordem... Napis jest zbyt zniszczony i nie da się odczytać. Lecz to dobry znak, że jedziemy tędy z uprzejmości właśnie Niklasa!

Dalej drogi nie osłaniały zwisające gałęzie drzew, zamiast tego biegły wzdłuż niej ściany żywopłotu. Była też szersza, a jej nawierzchnia była zryta koleinami po kołach i kopytami, sprawiając wrażenie bardziej uczęszczanej. Dwurożce nie dały się dłużej utrzymać w powolnym stępie i kiedy jeźdźcy przestali je hamować, ruszyły równym klusem. Ranek, który zastał ich na przełęczy, zmienił się w jasny dzień. Zjedli co prawda śniadanie na wzgórzach, lecz Roane znowu była głodna, a jej zesztyniałemu ciału wydawało się, że ta jazda trwa już pół życia. Widocznie jej towarzysze podróży potrzebowali niewiele odpoczynku.

Nagle Imfry ściągnął cugle wierzchowca i podniósł rękę. Jeden z dwurożców zaryczał i umilkł. Teraz Roane usłyszała — był to niosący się z oddali w powietrzu wyraźny dźwięk rogu.

Roane stała przy oknie. Pakami delikatnie pieściła miękkie fałdy kotary. Rozkoszowała się ich dotykiem i obcym luksusem pokoju za swoimi plecami — było to jak przyjscie z zimna do ciepła gościnnego kominka. Był wczesny ranek i w wielkim domu nikt się jeszcze nie kręcił. Na ulicy jednak, przed jego wysoką bramą na dziedziniec, panował ożywiony ruch.

Jakiś chłopak wyszedł ze sklepu i spryskiwał dziurawą polewaczką kocie lby przed drzwiami. Wymachiwał nią tak niedbale, że rozpryskująca się breja niemal pochlapała rozłożyste spódnice przechodzącej kobiety. Spódnice te były szare, przyozdobione szkarłatnymi kwiatami, dopasowanymi jaskrawym kolorem do stanika sukni. Szła wolnym, tanecznym krokiem, uniesioną ręką utrzymując w równowadze koszyk na głowie, którego zawartość przykrywała warstwa liści.

Była ona zaledwie pierwszą z malej procesji podobnych jej kobiet; wszystkie — niczym w mundurkach — w szarości i szkarłacie, każda z koszem na głowie. Chłopak z konewką krzyknął coś, a one zwróciły ku niemu uśmiechnięte twarze. To było jak oglądanie trójwymiarowego filmu.

Roane przypomniała sobie wrażenie, jakie wywarł na niej ten dom, gdy przyjechali do niego ubiegłej nocy. Był duży, co najmniej trzypiętrowy, cały z kamienia, a okna na najniższym poziomie miał niesłychanie wąskie. Wybrukowany dziedziniec straszył szarością, której nie mąciła obecność jednej choćby roślinki, a jedyną kolorową plamą było godło na fasadzie domu, na wprost bramy. Godło symbolizowało potęgę Reveny. Dostrzegala stąd jego fragment.

Nie widziała ambasadora, na którego tak bardzo liczyła Ludorika. Prawdę mówiąc, od momentu, gdy weszły przez boczne drzwi i służący przeprowadził je niemal ukradkiem przez ciemne korytarze, nie widziała nawet księżniczki. Nie mogła narzekać na przydzielony jej pokój ani na usłużną pokojówkę, którą szybko odprawiła, tylko że... Roane czuła się nieswojo w tym obcym otoczeniu, choć z drugiej strony odczuwała coś na kształt oczarowania.

Wszystko tu było jak we śnie, choć z początku bardziej przypominało senny koszmar. Gdy tamten róg zadał, zaczęli gorączkowo szukać kryjówki, z której obserwowali potem dalszy rozwój wydarzeń. Ujrzeli oddział jeźdźców, a tożsamość dwóch z nich bardzo zbulwersowała księżniczkę i pułkownika, choć żadne z nich nie wyjaśniło jej, dlaczego. Po tym, jak tamta grupa przejechała, zamiast pospieszyć naprzód, czekali w ukryciu do zapadnięcia zmroku. Później galopowali ostro, wielokrotnie na przelaj przez pola, by dotrzeć do skrzyżowania dróg. Tam czekał na nich powóz z zasłoniętymi oknami, zaprzężony w cztery dorodne dwurożce.

Ich posłaniec siedział na koźle obok woźnicy, a list, który doręczył księżniczce, uradował ją niezmiernie. Wymachiwała nim triumfująco przed pułkownikiem:

— A nie mówiłam? Lord Imbert zapewnia nam serdeczne przyjęcie i oczywiście wygodniejszą podróż. Ach, czuję się stara jak świat; mówi o tym każda kosteczka w moim obolałym ciele!

W powozie było ciemno, lecz nikt nie podniósł zasłon. Pomimo tego, co mówiła Ludorika, jazda nim była dla Roane niewiele wygodniejsza niż na dwurożcu. Kołysanie siedzenia ze splecionych rzemiennych pasów, pozbawionego sprężyn, przyprawiało ją o mdłości. Lecz jej

towarzysze rozsiadli się wsparci wygodnie na poduszkach, jakby to był szczyt komfortu. Księżniczka zasnęła z głową na ramieniu Roane.

Dwukrotnie zatrzymywali się, by zmienić zwierzęta, a za drugim razem wręczono im również koszyk z zimnym, lecz smakowitym jedzeniem. Jednak Roane, która w innych okolicznościach umierałaby z głodu, skubnęła ledwie parę kęsów, marząc o powrocie do normalnego życia.

Dojechali do Gastonhow w środku nocy. Na wpół przytomna padła na ogromne łożo z baldachimem. Jednakże pomimo całego zmęczenia zbudziła się wcześniej, dziwnie niespokojna.

Odwróciła się od okna, by raz jeszcze przyjrzeć się pomieszczeniu. Teraz widziała znacznie więcej niż w nikłym świetle lampy.

W pokoju dominowało łóżko. Było ze cztery razy szersze od jej obozowego wyrka. Spędziwszy większość życia na dopasowywaniu się do bardzo ciasnych przestrzeni w obozie czy na pokładzie statku kosmicznego, nie nawykła do takiego luzu. Łóżko stało na dwustopniowym podwyższeniu i w każdym rogu miało kolumnkę, rzeźbioną w kwiaty i liście. Na tych kolumnkach wspierał się baldachim z zasłonami. Ubiegłej nocy Roane nie mogła znieść tego, że pokojówka zaciągnęła je dookoła na modłę namiotu. Zarówno zasłony, jak i narzuta na łóżku były ręcznie wyszywane w fantazyjne wzory.

Wszystkie kolory były jaskrawe, niemal zbyt ostre jak na jej gust. Na ścianach widniały malowane wzory w tych samych odcieniach. Po lewej stronie stała toaletka z szerokim lustrem, a przed nią taboret. Na prawo znajdował się wysoki kredens z dwuskrzydłowymi drzwiami. Były też krzesła, stolki i kilka rozstawionych jak popadnie małych stolików.

Podeszła do lustra i popatrzyła na swoje odbicie. Białe fałdy koszuli, takiej samej jak miała na sobie porwana księżniczka, opływały jej szczupłe ciało. Na ich tle smagle od wiatru oraz słońca ręce i twarz zdawały się bardzo ciemne, niemal brązowe. Od momentu opuszczenia centrum szkoleniowego włosy urosły jej na tyle, że wily się niesfornymi kosmykami za uszami i na czole. One również wyglądały dziwnie w zestawieniu z silną opalenizną, gdyż loki były jasne, złotawobrązowe, pobłyskujące w blasku słońca rudawymi refleksami.

Według wzorców własnej cywilizacji Roane nie była piękna, i wcześniej nauczyła się to akceptować. A ponieważ tułacze życie rzuciło ją w dzikie obszary nieznanymi światów, nie stosowała żadnych upiększających sztuczek kosmetycznych, praktykowanych przez kobiety z wewnętrznych planet. W porównaniu z księżniczką była z pewnością nieatrakcyjna. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo.

Toaletka zastawiona była całą gamą pudełek i buteleczek. Roane usiadła i patrząc na nie zastanawiała się, kto je tu położył i co zawierają. Później, ośmielona, przystąpiła do sprawdzania. Najpierw wzięła do ręki mały, żółty pojemniczek o niezwykle gładkiej powierzchni, nakryty wieczkiem w kształcie na wpół rozwiniętego kwiatu. Zawierał jakieś mazidło o słodkawym zapachu. Umoczyła w nim na próbę palec, lecz nie miała pojęcia, jakie mogło być jego zastosowanie. Sprawdzając zawartość dalszych pudełek, wielokrotnie zadawała sobie to pytanie. Były też mniejsze naczynka z czymś czerwonym, czym prawdopodobnie barwiono wargi i policzki, chociaż nie widziała nikogo, kto nosiłby wymalowane na czole, policzku czy brodzie wyszukane wzory, co było bardzo popularne w niektórych

światach. Znalazła też jedno wąskie pudełeczko z czarną substancją i miniaturową szczoteczką, a także mnóstwo buteleczek i flakoników o wymyślnych kształtach, z których wydzielał się słodki zapach.

— Milady?

Roane drgnęła i niemal upuściła delikatną przezroczystą butelkę. Ponad swoim ramieniem zobaczyła w lustrze pokojówkę niosącą tacę z zakrytą miską i filiżanką.

Roane powitała ją reweńskim porannym pozdrowieniem:

— Niech wstające słońce i łagodny wiatr ci sprzyjają.

— Dzięki ci, pani. Czy raczysz zjeść teraz śniadanie?

W misce były jagody o słodko–cierpkim smaku, wymieszane z czymś, co przypominało ugotowane ziarno. Kubek zawierał gęsty gorący napój, którego nie potrafiła zidentyfikować. Popijała go małymi łykami, kiedy drzwi otworzyły się ponownie i weszła księżniczka.

Wreszcie Roane zobaczyła jaw stroju odpowiadającym jej pozycji — obszernej, ciemnozielonej sukni z szerokimi koronkami przetykanymi srebrną nicią, zdobiącą również mankiety, oraz z kołnierzem z tego samego, tkanego niczym pajęczyna materiału. Włosy, splecione w czasie podróży w warkocze, były teraz zebrane i upięte w imponującą konstrukcję. Roztaczała wokół siebie taką aurę doniosłości, że Roane powstała, by złożyć jej hold.

— Roane — Ludorika, zamiast podejść do niej majestatycznym krokiem, rzuciła się pędem przez pokój i chwyciła w dłonie ręce dziewczyny z kosmosu. — Jesteśmy tu bezpieczne. Mój poczciwy lord Imbert udał się właśnie na rozmowę z królem. Szczęście nam sprzyja. A kiedy uzyskamy audiencję u króla Gostara... — roześmiała się. — Och, Roane, spodoba ci się tutaj! Niewątpliwie wydadzą bal... Mówiłam ci, że on ma synów na wydaniu, a w jaki lepszy sposób może się zaprezentować kawaler niż na balu? I pojedziemy do Brogwall w otwartym powozie, jak to jest w modzie i...i...i...

Księżniczka zachowywała się jak każda zwyczajna dziewczyna z wewnętrznej planety, złaźniona rozrywek. Jednak Roane nie podzielała jej wspaniałego nastroju. Ludorika musiała to zauważyć, ponieważ ochłonawszy nieco, zapytała:

— Co ci jest, Roane? Naprawdę jesteśmy tu bezpieczne, może nawet bardziej niż w Reveny, zanim nie dowiemy się, co Reddick knuje. A ty... ty nie musisz się obawiać utraty pamięci czy uwięzienia. To jest dzień lekkiego serca, a nie poważnej twarzy. A może twoja tylko wygląda na poważną z powodu tej nocnej koszuli, którą wciąż masz na sobie? Biel nie jest odpowiednim kolorem dla ciebie! Zaraz to naprawimy.

Pociągnęła za sznur dzwonka i natychmiast zjawiała się pokojówka. Księżniczka zasypała ją gradem rozkazów, tak, że nieszczęsna dziewczyna uwijała się jak w ukropie, żeby nadażyć z ich wypełnianiem.

Po paru minutach Roane, już ubrana, siadła ponownie przed lustrem. Wrażenie, iż śni, jeszcze się pogłębiło. Słyszała o istnieniu narkotyków, zakazanych narkotyków, które mogły zażywającej je osobie ukazać inne, lepsze życie oraz wprowadzały ją w taki stan uniesienia i zachwytu, że odmawiała powrotu do rzeczywistości. Ona nigdy ich nie zażywała, choć teraz

czuła się dokładnie jak w narkotycznym transie, przeniesiona w świat fantazji. Odbicie w lustrze na pewno nie należało do Roane Hume, którą знаła.

Miękka tkanina sukni była w odcieniu żółci, choć tkana w taki sposób, że gdy się poruszała, każda fałda mieniła się na różowo. Koronka, nie tak szeroka i strojna jak u księżniczki, a mimo to najpiękniejsza ze wszystkich, jakie widziała, kipiała wokół jej ciemnych nadgarstków i za głową, tworząc kruche i zwiewne tło dla jej smukłej szyi. Włosów nie dało się ułożyć w kunsztowną fryzurę, więc miała na głowie koronkowy czepek, z którego w zagłębieniu nad czołem wystawały dwa drucziane skrzydła, jakby usadowił się tam jakiś dziwaczny ptak.

A twarz... Nie udało się, co prawda, usunąć opalenizny nabytej przez lata wystawiania jej na słońce i wiatr, lecz zawartość niezliczonych słoiczków i buteleczek zrobiła swoje. Tak więc opaleniznę podkreślono i buzia nabrała pięknego wyrazu, jak nigdy przedtem. Gdy przyglądała się sobie w lustrze, poczuła iż nabiera odwagi właściwej swojej płci i będącej naturalnym orężem kobiety, a płynącej ze świadomości, że wygląda najlepiej, jak to możliwe.

Ludorika klasnęła z uciechą w dłonie i roześmiała się:

— Moja lady Roane! Oto jak zawsze powinnaś wyglądać! Nie chodzić w tym okropnym męskim stroju. Dlaczego robisz z siebie szarą mysz, skoro prawdziwym obowiązkiem każdej kobiety jest wyglądać jak najpiękniej, niezależnie od tego, jak Strażniczki zaprojektowały przy urodzeniu jej twarz? Chodź, musisz się teraz nauczyć odpowiednio poruszać w spódnicach, moja ty droga chłopczyco!

Przeganiając wątpliwości do zakamarków umysłu, Roane podążyła za księżniczką. Wyszły do obszernego holu, którego jedna strona obwieszona była ręcznymi haftami, umieszczonymi pomiędzy pasami pomalowanymi na takie same jaskrawe kolory, jakie rozjaśniały sypialnię. Na drugiej ścianie znajdowały się okna, z których cztery były we wnękach. Te właśnie okna wypełniała szachownica z bezbarwnego i kolorowego szkła, przy czym kolorowe kwadraciki przyozdobiono skomplikowanymi wzorami. Sufit zdobiły, również malowane, kule i liście. Na przeciwległym końcu znajdował się ogromny kominek, natomiast na całej długości holu stały w odstępach metalowe kosze do spalania węgla wsparte na trójnogach. Z niektórych unosił się wonny dym.

W holu nie było nikogo, ani sługi, ani pana. Lecz kiedy przeszły przez drzwi na drugim końcu i doszły do schodów, zobaczyły stojącego na dole człowieka, który wyraźnie na nie czekał.

Gdy księżniczka szła po schodach, odkrył głowę (ponieważ nosił miękki, płaski kapelusz z kolorowej materii z wielką ozdobą ze złota) i nisko się pokłonił. Jego strój był bogato zdobiony metalicznym haftem, a on sam doskonale pasował do otoczenia.

— Wasza wysokość...

Był w średnim wieku i nie golił się, co było zwyczajem zupełnie nowym dla Roane, znającej jedynie mieszkańców kosmosu z gładko wygolonymi policzkami, a niekiedy nawet z ogolonymi na łyso głowami, co pozwalało lepiej dopasować kosmiczne helmy. Natomiast dolna część twarzy tego mężczyzny była schowana pod sztywnym, siwym zarostem.

— Mój drogi lordzie — księżniczka wyciągnęła rękę. — Musisz poznać moją wspaniałą

towarzyszkę, lady Roane Hume. Roane, oto lord Imbert, który udziela nam schronienia w naszych kłopotach.

Pochylił głowę, by ucałować dłoń księżniczki, po czym zwrócił badawcze spojrzenie na Roane, której obecność wyraźnie go niepokoiła

— Jestem zaszczycona, lordzie — zbierając oburącz obfite fałdy spódnicy usiłowała wykonać coś, co miało przypominać dworski ukłon. Niestety, nie wypadło to zbyt wdzięcznie. A te świdrujące na wylot oczy swym wyrazem zburzyły jej spokój.

— Mamy ci, pani, wiele do zawdzięczenia, my z Reveny — w przeciwieństwie do surowej, raczej bezbarwnej powierzchowności, jego głos był ciepły i dźwięczny. Roane zmieniła pierwotną ocenę jego osoby. Kiedy mówił, pod prezentowaną światu maską budził się inny człowiek. — Nasza księżniczka wróciła do nas i jest bezpieczna, a wszyscy, którzy jej służą, są dla nas drogimi gośćmi.

Uśmiechnął się i skłonił ponownie. Lecz kiedy patrzyła na niego nie słysząc jego głosu, wyczuwała w jego zachowaniu chłód. Słowa mogą stanowić parawan dla myśli. Choć księżniczka tak wysoko ceniła lorda Imberta Rehlinga, Roane nie czuła do niego takiego zaufania, jakie budził w niej pułkownik.

— Jest pan bardzo uprzejmy — jej słowa zabrzmiały nieprzekonująco. Napuszony język Reveny był tak różny od zwięzłego języka Basic, jakim posługiwał się jej naród, że Roane trudno było nim operować.

— Idziemy obejrzeć twój ogród, lordzie — Ludorika uśmiechnęła się do niego z iskierkami w oczach. — To, co widziałam z okien mojej komnaty sypialnej, zapowiada się nieźle...

— Wasza wysokość — przybrał poważny ton — takie przechadzki nie są w tym momencie wskazane. To nierozważne.

— Spacer w ogrodzie? Nierozważny? Ale dlaczego?

— Jak waszej wysokości wiadomo, Fancher jest w mieście. I jasnowidz Shambry także. Widziałaś ich obu, pani, jadąc tutaj.

— Ale to jest Gastonhow! I Ambasada Reveny pod kierownictwem najlepszego z moich przyjaciół, samego lorda Imberta Rehlinga! — zachnęła się. — Czego mamy się obawiać ze strony Fanchera, który w Leichstanie nie ma żadnego lorda? Co do jasnowidza, tak, widzieliśmy go. Lecz cóż on ma wspólnego z nami czy z Reveny?

— Zdaje się, że ma — zaczął lord Imbert, po czym zerknął wymownie na Roane, jakby dając do zrozumienia, żeby zostawiła ich samych.

Być może, taka była dworska moda, lecz ona nie zamierzała udawać, że jest kimś więcej niż tym, kim była w rzeczywistości, czyli obcą przybłądą przypadkowo złapaną w ich stronach. Nie ruszyła się z miejsca, a księżniczka rzuciła niecierpliwie:

— Mów otwarcie! Lady Roane wie o wszystkim. Wzruszył ramionami i ciągnął dalej:

— Jak sobie wasza wysokość życzy. Jasnowidz przepowiedział co do godziny śmierć króla Niklasa.

Ludorika nagle spowaźniała:

— Czy możemy przykładać wagę do jego słów? Nie, zapytam inaczej, lordzie. Wszyscy mamy własne zdanie na temat takich darów czy umiejętności. A Shambry przepowiadał przy wielu okazjach, i to ze znakomitym wynikiem. Choć nieoficjalnie słyszałam, że miał też kilka wpadek. Jednak by przepowiedzieć śmierć króla, musi mieć bardzo pewne podstawy. Poza tym dlaczego przyjeżdża z Reveny do Leichstanu? Chyba że...

Ludorika spuściła głowę i spojrzała na swoje ręce, jakby trzymała w nich coś wyjątkowo cennego, a niewidocznego dla innych.

— Chyba że chce być poza Reveny, dopóki jego przepowiednia się nie spełni. Czym tłumaczy swoje przybycie?

— Sprawami wielkiej wagi, jakie ma do omówienia z królem Gostarem, dotyczącymi przyszłości królewskiego Domu. Powiada, że zmusił go do przybycia jego dar jasnowidzenia.

— Jego dar! Zatem jest bardzo pewny...

— Dokładnie tak — wtrącił lord Imbert. — Poza tym taka natarczywość jest wbrew jego zwyczajom. Ostatnio był w Ichor, a Lady z Ichor...

— Była niegdyś bardzo bliską przyjaciółką Reddicka. Mimo wszystko jestem przekonana, że tutaj, w twoim dobrze strzeżonym domu, nie muszę się obawiać żadnej pułapki. Przecież sam powiedziałeś Nelisowi, że może nas tu spokojnie zostawić i jechać. Dlaczego to mówiłeś, skoro miałeś takie wątpliwości?

— Z tej prostej przyczyny, wasza wysokość, że ta wiadomość dotarła do mych uszu po tym, jak pułkownik wyruszył. Ponadto uważam, że będzie najlepiej, jeśli wróci on do swoich żołnierzy, ponieważ, o ile wasza podróż nie wyszła jeszcze na jaw, jego powrót na swoje miejsce pomoże utrzymać ją w tajemnicy.

— W tajemnicy? Nie sądziłam, że tutaj... — zawahała się przez moment, po czym ciągnęła dalej: — Mniejsza o to. Pozwól mi tylko zobaczyć się z królem Gostarem, a wszystko pójdzie po naszej myśli.

— W tej kwestii również musisz się uzbroić w cierpliwość, wasza wysokość. Królowa zaniemogła i cała troska króla Gostara skupia się teraz na niej. A wiadomo, że nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach nie jest on łatwym partnerem do negocjacji. Przeciwnie, kieruje się niekiedy dziwacznymi fanaberiami i potrafi ni stąd, ni zowąd zmieniać zdanie. Przez ostatnie trzy miesiące, odkąd dowiedział się, że królowa nosi w łonie dziecko, nie udał się ani razu po poradę do tajnego sanktuarium Płomiennej Korony.

— Nie przyjmie delegacji z rady, odmawia też audiencji swoim ministrom. Nawet dotarcie do niego z wiadomością może zabrać trochę czasu.

— A my mamy bardzo mało czasu!

— Rozumiem, wasza wysokość. Lecz jestem z tobą szczery: będziemy musieli podejść do króla niezwykle ostrożnie. Nierozważny ruch z naszej strony może pchnąć go do odmowy, nim jeszcze zdążymy zrelacjonować mu sprawę. Postępował tak wielokrotnie, często bez wiedzy

swojego narodu. A teraz... zauważ, wasza wysokość, że w tym skrzydle domu jest zaledwie kilku służących. To jest również celowe. Im mniej tych, którzy wiedząc twojej tu obecności, nim dojdę do porozumienia z królem, tym lepiej. Rzecz w tym, że musimy się obawiać nie tylko jego zmiennych humorów, lecz także ingerencji Fanchera i Shambry'ego. Podejrzewam, że obaj, Fancher pośrednio, Shambry bezpośrednio, będą usiłowali dotrzeć do króla przed nami.

— Królowa wierzy bezgranicznie w przepowiednie, i dlatego można przypuszczać, że jak tylko się dowie o obecności Shambry'ego, każe go wezwać, by jej przepowiedział przyszłość. A kiedy już pozyska jej względy i uwagę, pokona nas bez trudu. To wyrafinowany człowiek i coś więcej niż zwykły jasnowidz. Z pełnym przekonaniem wieści dzień i godzinę śmierci Jego Miłości. A jeśli teraz doda do tego jeszcze jakieś okropne słówko dotyczące ciebie, pani? Jaka masz wtedy szansę na uczciwe posłuchanie dla swojej prośby? Niepowodzenia są na porządku dziennym wśród większości królów i lordów.

— Którego dnia i o której godzinie... — zaczęła księżniczka — Nie, nie chcę wiedzieć, bo jeszcze zacznę w to wierzyć. Czyli nie pozostaje mi nic innego, jak tylko czekać?

— Wiem, że to wydaje się trudne, wasza wysokość, ale nie ma innego wyjścia. I nie tylko czekać, ale także pozostać w ukryciu i nikomu się nie pokazywać. W Hitherhow też myślałaś, że jesteś bezpieczna, a co się stało? Mam tu strażę, lecz czy mogę przysiąc, że wszyscy z nich, a także ze służby, są wierni starej zasadzie lojalności i że nikt z nich nie popiera potajemnie Reddicka?

— Trudno w to uwierzyć — powiedziała powoli Ludorika. — Czuję się jak ktoś usiłujący przejść przez bagno w Snelmark, gdzie każdy krok może być zgubny. Lecz przypuśćmy, że król... — odwróciła głowę. — Dobrze, poddam się. Chcę wiedzieć, ile jeszcze życia daje mu ten złotousty wróż?

— Cztery dni, dokładnie do południa.

— Cztery dni! Nie odważyłby się wygłaszać takiego proroctwa, gdyby nie był pewien, że się spełni. Cztery dni, a jeśli do tego czasu nie powrócę do Urkermark z Koroną... Muszę to dokładnie przemyśleć, lordzie Imbert.

— Uczynić to, wasza wysokość. Tymczasem zaś, dla własnego dobra, nie wychodź poza te mury, które uchronią cię od ciekawskich spojrzeń. Zrobię wszystko, by dotrzeć do króla Gostara. Znam kilka sposobów.

Pożegnał ją kolejnym ukłonem i odszedł, a księżniczka zwróciła się do Roane:

— Wygląda na to, że ogrodem możemy się cieszyć wyłącznie przez okno. Lecz to możemy robić z galerii. Chodź na górę.

Wróciły do wielkiego holu, gdzie Ludorika podprowadziła Roane do środkowej wnęki, skąd mogły wyjrzeć na zewnątrz. W ogrodzie na dole prawie nie było kwiatów: rosły tam głównie żywopłoty i krzewy poprycinane w fantastyczne kształty. Wiele z nich przypominało figury ustawione w Hitherhow przed przybyciem księżniczki.

— Jest doskonale utrzymany — stwierdziła Ludorika.

— Odnosi się wrażenie, że gdyby choć jeden listek znalazł się nie na swoim miejscu,

natychniały by to dostrzeżono. Lord Imbert lubi porządek. Wokół jego zamku w Reveny jest również duży ogród, taki jak ten. Lady Ansla nigdy zbyt nie dbała. Miała własny kącik, gdzie rosły przesłodko pachnące kwiaty. Także staw z gniazdem jakiegoś ptaka, który zwykł stać w wodzie tak nieruchomo, że wyglądał jak posąg.

— Ta lady Ansla... Czy jest tutaj?

— Umarła — księżniczka nie odwróciła wzroku od okna.

— Powikłania po przeziębieniu. Zabiła ją gorączka. Nie włożyłam nawet gromnicy do jej ręki, choć była dla mnie taka dobra. Kiedy przyjechałam, jej oczy już się zamknęły. Myślę, że kiedy byłam mała, ona jedyna troszczyła się o mnie jak o normalne dziecko, a nie dlatego, że byłam księżniczką.

Chociaż nie mogły wyjść do tego nienaturalnie upozowanego ogrodu, a nawet opuścić przydzielonej im sekcji komnat, znalazły sposób na zabicie czasu. Ludorika zabawiała siebie i Roane (ku radosnemu zdumieniu tej ostatniej), udzielając swej tymczasowej damie dworu lekcji w zakresie obowiązków przynależnych jej pozycji oraz racząc ją najnowszymi ploteczkami z Dworu Reveny. Nie było ich co prawda wiele, gdyż z powodu wieku króla i jego choroby, życie Dworu ograniczało się do paru oficjalnych funkcji, a i tych przestrzegano jedynie z konieczności. Roane chłonęła to wszystko równie chętnie, jak informacje przekazywane w centrum szkolenia, tyle że te były o wiele bardziej interesujące. Opis szlachty i dworzan był w wykonaniu księżniczki tak szczegółowy, że dziewczyna z kosmosu pomyślała, iż rozpozna każdego z nich gdy go spotka... O ile kiedykolwiek go spotka.

Gdzieś w głębi Roane coś zaczynało rosnąć. Wygladzała miękkie fałdy spódnicy, zerknęła raz po raz w lustro, wodziła palcami po błyszczących pięknymi haftami i ozdobami poduszkach. Wszystko to było całkowicie odmienne od skarbów jej własnej cywilizacji, mimo to w tym otoczeniu nie czuła się niespokojna czy nieszczęśliwa, lecz wręcz zrelaksowana. Jeśli to był sen, z każdą chwilą mniej pragnęła przebudzenia. Przynajmniej, jak zauważyła cierpko, jeśli kiedykolwiek powróci do swoich ludzi, będzie mogła im dostarczyć wyczerpujących danych na temat eksperymentu Psychokratów z punktu widzenia tych, którzy mu podlegają. Na pewno zadziwi tym Służbę.

Drugiej nocy w Gastonhow siedziała przed lustrem, zamierzając odpiąć ptakopodobny czepek, kiedy do pokoju wśliznęła się Ludorika w długiej, obszytej futrem pelerynie narzuconej na ramiona, z oczami pałającymi podnieceniem.

— Imbertowi się udało! Mam się potajemnie udać do króla Gostara. Lecz nie sama; Roane, lord Imbert uważa, że powinnaś być ze mną, że możesz zaświadczyć o wieży, a twoje świadectwo będzie prawomocne. Pospiesz się, powóz czeka. Gdzie twoja peleryna?

Otworzyła szafę i zaczęła przetrząsać jej zawartość. Roane pospieszyła do łóżka, do swojej prywatnej skrytki. Sięgnęła pod szeroką poduszkę i wyciągnęła pas z jego kosmicznym wyposażeniem. Nawet na chwilę nie chciała się z nim rozstawać.

Powóz oczekujący ich na ciemnym dziedzińcu podobny był do tego, który przywiózł je do Gastonhow. Jak wówczas, na oknach wisiały ciężkie zasłony, a wewnątrz w mdłym świetle latarni wyglądało bardzo ponuro.

Lord Imbert osobiście pomógł im wsiąść, mówiąc coś półgłosem do księżniczki, zanim podał rękę Roane, która stojąc na małym stopniu walczyła z fałdami sukni.

Tym razem nie towarzyszył im pułkownik, ale poduszki były bardziej miękkie, niż w ekipażu wiozącym ich do Gastonhow. Drzwi się zatrzasnęły i dziewczęta pograżyły się w zupełnej ciemności, gdyż wewnątrz nie było latarni podróżnej.

— Nie ma światła! — Najwyraźniej księżniczce wydało się to dziwne, lecz po chwili dorzuciła:

— To chyba dlatego, że Imbert boi się dekonspiracji.

— Dokąd jedziemy? — Roane otuliła się peleryną. Wieczór był chłodny, a powóz dodatkowo emanował własnym chłodem, jakby go od dawna nie używano.

— Do Gastonhigh. To warownia nad jeziorem Immer, należąca do rodziny królewskiej. Przypuszczam, że królowa pragnie więcej spokoju.

Powóz podskoczył i Roane wylądowała na księżniczce. Usłyszała jej śmiech:

— Moja droga Roane, dotknij ściany, a znajdziesz uchwyt do przytrzymania. Przydaje się, kiedy powóz jedzie szybko.

Roane szukała po omacku uchwytu, przesuwając ręką po niewidocznej ścianie. Co prawda raz po raz, gdy przejeżdżali przez dobrze oświetlone miejsca, wokół brzegów zasłonki przedostawały się nagle przebłyski światła, lecz nie były one w stanie rozjaśnić wnętrza pojazdu. Wreszcie znalazła pętlę i uczepiła się jej kurczowo. Żałowała, że nie mogą podnieść zasłonek, bo w tych ciemnościach miała wrażenie, że są uwięzione w trzęsącej się i rozkołysanej klatce. Jej żołądek po raz kolejny buntował się przeciwko takiej formie podróży.

— Moja matka była kuzynką króla Gostara — odezwała się księżniczka. — Szkoda, że nie wiem, w jakich pozostawali stosunkach. Jeżeli rozstali się w przyjaźni, gdy wyjeżdżała do Reveny wydać się za męża, mogłabym to wykorzystać na poparcie mojej prośby. Jeśli zachował o niej miłe wspomnienia...

— Czy jest jakiś powód, by było inaczej? — spytała Roane.

— Waśnie zdarzają się nie tylko między lordami, ale także w królewskich Domach. Ja i Reddick jesteśmy tego doskonałym przykładem. A Dom Hillaroy, z którego wywodzi się król Gostar, znany był z porywczych temperamentów i dziwacznych zachowań. Dlatego Imbert ostrzegal nas przed Gostarem. Zdawać by się mogło, że odkąd Strażniczki zaniechały komunikowania się z ludźmi, w biegu historii zachodzi wiele zmian. Tylko kiedy dzierzemy korony, możemy być pewni, że je przetrwamy. Muszę dostać Koronę! Na szczęście mam Nelisa, który zrobi wszystko, co w jego mocy, by kontynuować poszukiwania.

— Wysłałaś pułkownika na poszukiwanie Korony? — Roane zeszytniała.

Co to może oznaczać dla wuja Offlasy i Sandara? Jeśli duże zgrupowanie reweńskich oddziałów zacznie przeszukiwać klif i natknie się na ludzi z obozu... Wynikną z tego takie kłopoty, jakie nigdy dotąd nie dotknęły żadnej operacji Służby. Może nawet będą musieli odlecieć!

— Zna teren i mogę mu ufać. Jeśli wkroczy energicznie, Reddick mu nie przeszkodzi, ponieważ nie wierzę, by ośmielił się wystąpić otwarcie, dopóki król żyje.

— Lecz Korona... Myślałam, że nie chcesz ujawnić faktu, iż była ukryta.

— Nikt się nie dowie. Nelis będzie czekał aż przyjadę i ją zabiorę. Nikt prócz mnie nie może jej dotknąć. Nelis ma tylko znaleźć drogę do niej.

A co z jej towarzyszami? Roane myślała o nich uczepiona rzemiennego uchwytu, gdy powóz podskakiwał na wybojach. Musieli teraz jechać z największą prędkością, jaką ten pojazd mógł osiągnąć.

— Król Gostar chyba się niecierpliwi — zauważyła. — Wygląda na to, że bardzo się spieszymy. A może to jest normalna prędkość królewskiego powozu?

Jechali coraz szybciej. Pomimo że trzymała się uchwytu, rzucano nią straszliwie w przód i w tył. W dodatku cała zawartość żołądka podchodziła jej do gardła i chociaż przęłykała ślinę, bała się, że za moment wymiotuje.

— Jedziemy... za... szybko... — wypowiedź księżniczki przypominała szczękanie zębami, jakby wytrząsano z niej słowa. — Co oni...

Powóz jeszcze przyspieszył, a kołysanie stało się tak silne, że Roane była pewna, iż długo już nie wytrzyma i narobi sobie wstydu, zanieczyszczając wnętrze.

— Co się... — księżniczka mówiła podniesionym tonem. — Roane! — Teraz w jej okrzyku brzmiała już wyraźna trwoga. — Namacaj krawędź okna, jeśli możesz. Czy zdołasz podnieść zasłonki?

Roane spróbowała, choć przychodziło jej to z trudem. Wreszcie szukająca po omacku ręka trafiła na coś, co według niej było skrajem zasłonki. Szarpnęła, ale materiał nie ustąpił. Wyglądało na to, że został przybity gwoździami lub umocowany w inny sposób.

— To samo jest z tej strony. Zasłonki są opuszczone na amen. Roane, czy możesz się pochylić do przodu i odnaleźć klamkę na drzwiach?

Było to ryzykowne przedsięwzięcie. Obawiała się, że gdy rozluźni zaciśnięte kurczowo na uchwycie palce, zostanie rzucona na wąskie siedzenie naprzeciwko. Wyciągnęła się jednak i pomiędzy jednym a drugim podskokiem powozu przebiegła ręką po ścianie, w miejscu, gdzie powinny być drzwi. Nie było klamki, nie było nic prócz gładkiej powierzchni. Do dokuczliwego uczucia nudności dołączył strach, że oto znalazły się w pułapce. Chciała krzycheć, by ich zatrzymać. Potem nastąpiła kolejna fala niesłychanie gwałtownych wstrząsów.

— Nie mogę... znaleźć... To jest... całe... gładkie... — zaszczekała.

— Z tej... strony... też... nic nie ma...

— Ale dlaczego...

Nim skończyła pytanie, Ludorika jej odpowiedziała: — Dlaczego? Ponieważ jesteśmy więźniami. Lecz czyimi? Lorda Imberta? Nie, to niemożliwe. Chyba że z jakiegoś powodu, o którym mi nie powiedział, postanowił mną pokierować. Mam jednak przeczucie, że nie jedziemy do Gastonhigh.

— Dokąd... — Wyjątkowo silne szarpnięcie odrzuciło Roane w tył. Krzyknęła, czując ostre ukłucie w bok.

— Co się stało?

— Mój... ależ jestem głupia! Mam światło.

Przecież zabrała ze sobą pas; jak mogła o nim zapomnieć? Była to kolejna oznaka otępienia, które przez ostatnich kilka dni nie pozwalało jej logicznie myśleć. Jakby nie chciała lub nie mogła pamiętać znajomych rzeczy, składających się na jej kosmiczne życie. Jedną ręką wysuwała promiennik z pętli i nastawiła na niskie promieniowanie.

— Drzwi!

Polecenie Ludoriki było spóźnione, gdyż ona już kierowała strumień światła na te, którymi wsiadły. Badając je wcześniej dotykiem, nie pomyliła się. Nie było śladu kłamki. Kiedy przesunęła promiennik w górę, ku oknom, zobaczyły drewniane listewki przybite do dolnych brzegów zasłon i tym samym uniemożliwiające ich podniesienie.

— Nic nie wskóramy. A oni, kimkolwiek są, wypuszczą nas dopiero, gdy dotrzemy na miejsce. Nasza przyszłość zależy jednak od tego, kto za tym stoi.

— Reddick?

— Imbert by mu nie pomógł — powiedziała księżniczka. — Chyba że nadeszła jakaś spreparowana wiadomość, niby od króla. Albo zamieniono powozy, albo... Możemy podać tyle powodów, ile palców u rąk, i prawdopodobnie nadal nie trafić na ten prawdziwy. Efekt jest taki, że jesteśmy uwięzione, a powód jest teraz mniej ważny niż ten fakt. Czy masz jeszcze jakieś narzędzia lub broń, które pomogłyby się stąd wydostać? — Jak zwykle przeszła bezpośrednio do najistotniejszej sprawy.

— Mam ten promiennik, apteczkę i broń — Roane pomyślała o paralizatorze. — Ona nie rani, a jedynie usypia tego, kogo dotkną jej promienie...

— To ta broń, której twój kuzyn użył przeciwko mnie w jaskini? Jak mądrze z twojej strony, że ją zabrałaś, Roane. Wystarczy poczekać, aż otworzą drzwi, a wtedy możesz ich uśpić i...

— Zrobię, co w mojej mocy — powiedziała niespiesznie Roane.

Nie chciała się przyznać do rozterek, jakie przeżywała, ilekroć musiała wybierać pomiędzy sprawami Clio a kosmicznymi. Stan ten odczuwała również teraz. Użyła promiennika w sposób raczej nieprzemyślany, lecz posłużenie się paralizatorem było zupełnie inną sprawą. Nigdy

przedtem nie doświadczyła czegoś podobnego. A może tak? Szkolenie! Przechodziła przez szkolenia przy rozlicznych okazjach — głównie by przygotować ciało i umysł do zwalczania planetarnego stresu groźnego dla jej gatunku. Lecz kiedy miała takie szkolenie za sobą, nigdy świadomie nie zastanawiała się nad skutkami, jakie na niej wywarło. Teraz miała wrażenie, że kiedy zaczynała myśleć o pewnych kwestiach, jej umysł pracował wolniej i wzdragała się przed użyciem kosmicznej broni, broni zaprojektowanej tak, by zniechęcała ludzi z planet do jej użycia.

Chcąc to sobie udowodnić, wyciągnęła promiennik w kierunku księżniczki.

— Gdybyś mogła to potrzymać...

Następnie położyła rękę na paralizatorze, lecz nie wyjęła go. Musi się jakoś przełamać. Jej palce odmawiały dotknięcia gładkiego metalu. Na Język Prawdy, co się z nią dzieje? Osłona, która zabezpieczała broń przed nadużyciem w innym świecie, działała teraz przeciw niej! Była przerażona jak nigdy w życiu. Ludorika musiała wyczytać w jej twarzy ten strach, gdyż spytała zaniepokojona:

— Co ci jest? Co się stało?

— Nic takiego — odparła pośpiesznie Roane. Księżniczka ma niewątpliwie zbyt wyostrzone oko i nie można dopuścić, by zaczęła podejrzewać... Tym bardziej, że ona sama nie zna prawdy. — To kołysanie... robi mi się niedobrze — powiedziała.

Ludorika skrzywiła się.

— Często podróżowałam powozami, choć zdecydowanie wolę jazdę na wierzchowcu, nigdy jednak w takim szaleńczym tempie. Też bym sobie życzyła...

Nigdy jednak nie wyraziła tego życzenia, gdyż powóz: zwolnił, a kołysanie stało się mniej gwałtowne. Jechali coraz wolniej, aż w końcu stanęli.

— Przygotuj się! — nakazała księżniczka, wypróbując jednocześnie na drzwiach moc promiennika, z zamiarem oślepienia tego, kto je otworzy. Roane, z trudem przełamując opór własny i narzędzia, zmusiła się do nastawienia paralizatora.

Nic się jednak nie działo. Nasłuchiwały w skupieniu, lecz nie usłyszały nic poza stłumionym przez ściany cichym brzękiem. Drzwi nadal pozostawały zamknięte.

— Zdaje się, że zmieniamy dwurożce — powiedziała księżniczka. — Świeży zaprzęg oznacza dłuższą jazdę. Już i tak jedziemy o wiele dłużej niż do Gastonhigh.

Miała rację, bo niemal natychmiast powóz szarpnął i po chwili znów był w ruchu, najpierw spokojnie, potem nabierając tego samego obłądnego tempa i trzęsąc niemilosiernie. Roane wyłączyła paralizator, a także promiennik, nie chcąc w nim wyczerpać baterii. Była poobijana i obolała. Na szczęście ta druga seria tortur nie trwała długo. Ponownie zwolnili i jechali teraz prawie spacerowym tempem. Bryła powozu przechyliła się pod kątem sugerującym jazdę pod górę.

Księżniczka znów przemówiła:

— Wracamy do Reveny.

— Skąd wiesz?

— Jesteśmy na terenie wyżynnym, a jedyne wzgórza w pobliżu Gastonhow to te na granicy. Pozostały więc tylko dwie możliwości co do tego, kto nas powita: przedstawiciel króla czy Reddick.

— Ty jednak stawiasz na tego drugiego?

— Imbert prawdopodobnie dał się oszukać. Tak, lepiej spodziewajmy się najgorszego. Byłam naprawdę głupia...

Albo ciemności się nieco przerzedziły, albo ich oczy przywykły do nich. Roane widziała teraz zarys sylwetki towarzyszki wciśniętej w siedzenie obok.

— Fancher i jasnowidz... i nie wiadomo ilu jeszcze. Imbert słusznie podejrzewał, że ma spiskowców pod własnym dachem. Lecz nawet on się nie domyślał, jak daleko sięgają ich plany. Nelis... Możemy polegać na Nelisie. Może nie wszystko jeszcze stracone. Zależy, dokąd nas zabiorą.

Księżniczka była spokojna. Roane domyślała się, że analizuje teraz wszelkie ewentualności. Żywiła szacunek dla jej odwagi, wytrwałości i sprytu. Lecz nawet kombinacja tych trzech zalet nie pomoże jej wyjść cało z pewnych katastrofalnych sytuacji.

Najwyższy czas zacząć myśleć o sobie. Ma paralizator, przed którym nikt na Clio nie jest w stanie się obronić. Może nim unieszkodliwić każdego, kto zgotuje im powitanie. A następnie wrócić do obozu — o ile obóz jeszcze istnieje, a wuj Offlas nie wyruszył w przestrzeń kosmiczną.

Powóz piał się mozolnie pod górę. Po jakimś czasie kąt jego nachylenia zmalał, aż wreszcie znaleźli się na równym terenie i stanęli. Znów nikt nie podszedł do drzwi. Nastąpił czas oczekiwania, podczas którego dały o sobie znać wszystkie stłuczenia i siniaki. Kiedy znów ruszyli, stało się oczywiste, że jadą z górki. Na szczęście bardzo wolno, gdyż w przeciwnym razie pofrunęłaby na przeciwległe siedzenie.

Zbocze, którym biegła droga, musiało być strome. Wkrótce Potem wjechali na bardziej płaski teren i komfort jazdy nieco się polepszył. Wokół krawędzi zasłonek rysowała się coraz jaśniejsza otoczka.

— Już dzień. Wkrótce przekroczymy granicę. Jeśli przejedziemy koło posterunku granicznego... — Ludorika potrząsnęła głową. — Nie, nie zaryzykują oficjalnego przejścia, chyba że wiedzą z całą pewnością, iż powóz nie będzie kontrolowany. W każdym razie dotychczas bez wątplenia jedziemy głównym traktem. Powóz nie mógłby podróżować podrzędną drogą. Muszą mieć dobry plan...— Urwała tak gwałtownie, że Roane odwróciła się i spojrzała na nią.

Futrzaną kaptur peleryny księżniczki opadł w tył, głowę wysunęła ku przodowi i wpatrywała się z natężeniem w ścianę naprzeciwko. Roane podążyła za jej wzrokiem.

Ze znajdującej się tam szpary wypływała strużka białego oparu. W zatęchłym, nie wietrzonym wnętrzu, pojawił się ślad nowej woni.

— Oni... oni nas narkotyzują! Ten dym jest trujący! Ludorika puściła uchwyt i rzuciła się do ściany, usiłując polami peleryny powstrzymać napływ białego gazu. Nie na wiele się to zdało, gdyż po dwóch przeciwnych stronach tego otworu wystawały jeszcze dwie złowieszcze rurki. Nie zdołają zatkać ich wszystkich. Roane zrezygnowała z beznadziejnych zabiegów i zajęła się swoim pasem, usiłując zwinąć go w możliwie najmniejsze zawiniątko. Czując, że słabnie, resztkami sił uniosła ciężkie fałdy spódnicy i umocowała pod nią pas. Palce odmawiały jej posłuszeństwa, a w głowie kręciło się tak, że musiała wyteńczyć całą wolę, by skończyć tę pracę. Ostatnim zapamiętanym obrazem był widok księżniczki osuwającej się po ścianie powozu, pod otworem, który chciała zatkać i opadającej bezwładnie na siedzenie. W chwilę później również Roane padła nieprzytomna.

Było jej ciepło, wręcz gorąco. Jakby leżała pod pustynnym słońcem Cappadelli. Poruszyła się i uniosła rękę, by zasłonić twarz i oczy przed palącymi promieniami. Jednak leżała na piasku. Czowała, że jakaś tkanina ściąga się i marszczy pod nią pod wpływem ruchu. Roane otworzyła oczy.

Za ścianą szumiał las, a oczy raził oślepiający blask słońca wpadającego przez okno. Zirytowana odwróciła głowę. Zaszło jej w ustach, z trudem rozdzieliła sklezione wargi. Marzyła o wodzie, bardziej niż kiedykolwiek w życiu, bardziej niż na pustyni, którą przypominało jej to słońce.

W jego promieniach, na małej ławie w pobliżu, stał dzban. Jego kształt obiecywał to, czego tak rozpaczliwie pragnęła. Dźwignęła się ku górze. Była to ciężka próba, gdyż potrzebowała całej siły woli, aby podporządkować sobie odporne ciało. Wsparała się na zeszywniałych ramionach, koncentrując się całkowicie na dzbanie, który mógł zawierać wodę.

Z nadludzkim wysiłkiem oparła stopy o podłogę. Nie próbowała nawet wstać, podciągnęła jedynie kolana i na czworakach popęzła w kierunku ławy. Uniosła niewiarygodnie ciężkie ramiona i zdołała objąć palcami boki naczynia. Przyciągnęła je do siebie i przechyliła tak, że zawartość chlusnęła nie tylko w chciwie rozchylone usta, lecz także na brodę i suknię. Przelykając łapczywie, powoli otrząsała się ze stanu oszołomienia. Usiadła na podłodze, i nie wypuszczając dzbana z rąk, zaczęła się rozglądać.

Pomieszczenie było małe, z jednym zakratowanym oknem i ścianami z kamienia. Łóżko, z którego się zwlokła, nie miało żadnych zdobień, a obok, na podobnym posłaniu, leżała Ludorika.

Zsunęta do połowy peleryna księżniczki walala się po podłodze. Twarz miała rozpaloną, a oddech, co teraz Roane słyszała już wyraźnie, przyspieszony i chrapliwy. W pewnym momencie poruszyła się i wykonała gwałtowny ruch ręką, jakby chciała odpędzić jakieś niebezpieczeństwo. Mamrotała przy tym słowa, których Roane nie mogła rozróżnić. Widać dręczyły ją jakieś koszmary.

Wąskie prycze i ława z dzbanem stanowiły jedyne umeblowanie pomieszczenia. Na wprost łóżek znajdowały się drzwi. Wzmocnione były metalową sztabą i miały zamek wielkości dłoni. Nie ludziła się nawet, że zdoła je otworzyć. Były zamknięte na mur. Bezsprzecznie ona i Ludorika zostały uwięzione. Lecz przez kogo i gdzie?

Odstawiła ostrożnie dzban na ławę i spróbowała stanąć na nogi. Zakręciło jej się w głowie. Przez chwilę stała z zamkniętymi oczyma, usiłując opanować zawroty, po czym chwiejnym krokiem ruszyła w kierunku okna i tam się zatrzymała. Dobrze, że chociaż może się utrzymać na nogach.

W dole zobaczyła dziedziniec otoczony murem z solidną bramą wzmocnioną sztabami. Za murem widniały zielone wierzchołki drzew, a jeszcze dalej wznosiły się wzgórza podobne do tych w pobliżu Hitherhow. Błysnęła jej iskierka nadziei. Jeśli znajdują się w tym kraju, będzie w stanie odnaleźć drogę powrotną do obozu.

— Gorąco... pić... — niewyraźny szept od strony łóżka przywrócił Roane do rzeczywistości. Podpierając się o ścianę ruszyła w tamtym kierunku.

Księżniczka rzuciła się na posłaniu. Ciągnęła za sznurówki stanika, jakby chciała je poluźnić. Delikatna koronka kołnierza była zmięta, a śliczna suknia zabrudzona kurzem i potwornie wygnieciona.

Starając się utrzymać równowagę, Roane skierowała kroki do ławy, a potem, z dzbanem w rękach, wróciła do łóżka. Podtrzymując go oburącz zaczęła pić księżniczkę.

Ludorika piła łapczywie, zaspokajając koszmarnie pragnienie. Roane doskonale ją rozumiała, gdyż sama tego doświadczyła. Kiedy dała znak, że ma dość, dzban był niemal pusty.

Teraz z kolei księżniczka zaczęła się rozglądać. Jej wzrok zatrzymał się na oknie. Wstała z trudem z łóżka, zatoczyła się na ścianę i opierając się o nią, cal po calu przesuwiała się naprzód. W końcu uczepiła się oburącz krat. Roane podeszła do niej.

— Wiesz, gdzie jesteśmy?

Ludorika odpowiedziała, nie odwracając głowy.

— Dokładnie nie wiem. Ale znam — puściła się prawą ręką i wskazała na wprost — tamten szczyt. Leży w odległości pół mili od Hitherhow. Myślę, że jesteśmy w jakiejś mniejszej twierdzy, może w Famsław. A zatem to mimo wszystko Reddick.

— Chcesz powiedzieć, że to jego ziemia?

— Bliskiej rodziny. Ale jak... — urwała w pół zdania, łapiąc powietrze. — Spójrz tam!

Po jednej stronie dziedzińca, tuż przy samym murze, stał powóz z połyskującym emblematem na drzwiach. Miał dokładnie zasłonięte okna i choć nie było zaprzężonych do niego dwurożców ani woźnicy, Roane była pewna, że to ten, który je tu przywiózł.

— Powóz... — zaczęła.

— Oczywiście! Lecz ten symbol... na drzwiach... Roane nie rozumiała, dlaczego to takie ważne, lecz księżniczka kontynuowała:

— Należy do lorda Imberta! Żaden tak oznakowany powóz nie jest zatrzymywany na granicy. Oto, jak nas przez nią przewieźli.

— Zaczekaj... — W pamięci Roane coś drgnęło. Wróciła myślami do mrocznego dziedzińca w Gastonhow, kiedy lord Imbert podawał im rękę przy wsiadaniu do tego, co miało się stać

więzieniem. Widziała wtedy drzwi w świetle latarni; nie było wówczas na nich godła albo było zamaskowane. — Tego przedtem nie było na drzwiach.

— Jakże to ma znaczenie? W końcu spełniło swoje zadanie.

Gdzieś ponad ich głowami rozległ się przeraźliwy okrzyk, któremu odpowiedział głos rogu. Z kolei odzewem na tę fanfarę było działanie. Na dziedzińcu pojawili się mężczyźni. Ubrani byli na szaro lub zielono, podzielili się na dwa rzędy i stanęli na baczność, podczas gdy dwaj z nich podbiegli do bramy i wyjęli blokującą sztabę.

— Jak on śmie! — wybuchnęła Ludorika.

— O co chodzi?

Księżniczka zwróciła ku Roane rozpaloną twarz. Źrenice miała rozszerzone i z całej jej postaci emanowała taka wściekłość, iż Roane cieszyła się, że to nie ona jest jej obiektem.

— To hejnał królewski! Nie wolno go używać nikomu, kto nie jest z Krwi. To mój hejnał... mój ... z racji samego urodzenia. Ja jestem następczynią tronu Reveny... Ja i nikt inny!

Brama się otworzyła i hejnał zabrzmiał po raz drugi, tym razem bliżej i głośniej, gdyż trębacz był już na dziedzińcu. Na kubrak miał założony płaszcz z szerokimi rękawami, sztywny od metalowych szamerunków, pół na pół czerwonych i żółtych. Za nim wjechał drugi jeździec, ubrany w żółty, mundurowy kubrak i kapelusz zakrywający twarz. Oddech księżniczki zmienił się we wściekły syk.

— Reddick! I jedzie za osobistym heraldem prawowitej następczyni! Zdrada, podła zdrada!

Jej dłonie zacisnęły się wokół krat, jakby je chciała wyrwać z kamiennych futryn i cisnąć nimi niczym włócznią w kuzyna.

Roane przycisnęła ucho do opatrzonych żelazną sztabą drzwi, lecz usłyszała jedynie łomot własnego serca. Zatęskniła za jednym z urządzeń podsłuchowych gwiazdnej cywilizacji. Nie miała nawet czym odmierzać czasu, a wydawało jej się, że minęły wieki, odkąd przyszli po księżniczkę, zostawiając ją samą.

Ludorika poszła na spotkanie z kuzynem-więzicielem bez oporu, wręcz skwapliwie, jakby ten dźwięk królewskiego rogu pozbawił ją wszelkiego rozsądku, pozostawiając jedynie straszliwy, wściekły gniew. Roane była wstrząśnięta taką reakcją, ponieważ uważała księżniczkę za osobę, która potrafi zachować zimną krew.

Tylko że ten rodzinny konflikt nie dotyczył jej. Po wyjściu Ludoriki mogła ocenić całą sytuację we właściwych proporcjach. Teraz pozostawało jej do zrobienia jedno: wydostać się z tej warowni i wrócić do obozu. Księżniczka niechętnie wskazała jej drogowskaz — tamtą górę.

Najpierw jednak należało uciec z tego pokoju, z twierdzy. Jak zdoła tego dokonać bez żadnych narzędzi, z samym tylko paralizatorem i promiennikiem? Po raz drugi przyklęknęła na podłodze, by zbadać zamek u drzwi. Oczywiście był on prymitywny i posiadając odpowiedni sprzęt mogłaby go bez trudu sforsować. Lecz w jej bezcennym pasie nie było nic, co mogłoby się do tego nadać. Nic też nie było w tym maskaradowym stroju, który miała na grzbiecie (ubranie, którym tak bardzo się cieszyła, obecnie wymięte i powalane ziemią sprawiło, że zatęskniła za swoim kombinezonem). Peleryny, jej i księżniczki, leżały na łóżku. Roane podeszła do nich i zaczęła obmacywać futro i tkaninę. W ten sposób odkryła, że kaptur Ludoriki ma sztywne wsporniki podtrzymujące futrzane obszycie.

Zacząła dlubać przy szwie, wreszcie zerwała nitkę zębami z jednego końca. Na przemian to pchała, to ciągnęła, aż wyjęła kawałek drutu. Trzymając go w ręku, wróciła do drzwi.

Słońce, które ją zbudziło, zniknęło już z drugiej strony twierdzy, a wzgórza rzucały na mury długie, mroczne cienie. Strażnicy, którzy przyszli zabrać księżniczkę, przynieśli jej talerz z chlebem i suszonym mięsem, który oczyściła do ostatniej okruszynki. Od tamtej pory nikt się nie zjawiał.

Roane przykucnęła, nasłuchując. Wreszcie jakieś odgłosy. Lecz nie zza drzwi, raczej z dziedzińca. Podbiegła do okna. Dwurożce stały osiodłane i gotowe do drogi. Czterech mężczyzn, siedem wierzchowców. Zapalone latarnie rozjaśniały mrok.

Z portalu znajdującego się tuż pod nią wyłoniły się trzy osoby. Po mundurze poznała, że jest wśród nich Reddick. Jedną ręką obejmował wpół księżniczkę, choć ta szła bez oporu w kierunku czekających wierzchowców. Drugi mężczyzna ubrany był w ciemną pelerynę z podniesionym kołnierzem i spiczastym kapturem naciągniętym na głowę.

Trzymał wyciągnięte sztywno na wysokości piersi ręce, pomiędzy którymi coś błyszczało w świetle latarni. Kiedy doszli do dwurożców, odwrócił się gwałtownie ku księżniczce i uniósł błyszczący przedmiot na wysokość jej oczu. Jednocześnie zaczął cicho wypowiadać słowa, których Roane nie dosłyszała.

Reddick podsadził księżniczkę na siodło, a sam stanął obok i ujął cugle jej wierzchowca. A kiedy sztaba z bramy została wyjęta, dosiadł własnego zwierzaka, nadal jednak prowadząc

tęgo, na którym jechała Ludorika. Potem brama; zamknęła się za nimi.

Roane mogła jedynie domyślać się, co znaczyła oglądana przed chwilą scena. Zastanawiała ją uległość księżniczki. Wyraźnie nie była sobą. Czyżby przejęli w jakiś sposób kontrolę nad jej umysłem? Widywała wiele podobnych scen w przeszłości, więc miała prawo tak sądzić. Lecz jak to osiągnęli (oprócz tego, że musiało to mieć związek z przedmiotem trzymanym przez mężczyznę), nie miała pojęcia. W każdym razie Roane została sama i nic jej już nie powstrzymywało przed podjęciem próby ucieczki.

Czekanie zawsze było trudne. Chodziła tam i z powrotem po pokoju, płacząc się i potykając w długich i obszernych spódnicach. Ucieczka w tym stroju będzie dużym ryzykiem. Może gdzieś w tej budowli z kamienia znajdzie bardziej odpowiednie ubranie.

Tuż po zapadnięciu zmroku ponownie przyklękła przy drzwiach i zaczęła delikatnie manipulować drutem w zamku. Taka praca wymagała cierpliwości oraz sprawności umysłu i rąk. W końcu rozległo się szczęknięcie. Pchnęła ostrożnie drzwi i wyjrzała przez wąską szparę. Z ulgą przyjęła brak oświetlenia po drugiej stronie. Wyślizgnęła się i zamknęła za sobą delikatnie ciężkie drzwi. Znalazła się w wąskim holu. Było tu jeszcze dwoje drzwi. Za nimi widniał szczyt schodów. W tym samym momencie, gdy stała nasłuchując dobiegających z dołu odgłosów wydawanych przez pozostałych mieszkańców, zaalarmował ją szelest zbliżających się kroków.

Dopadła do drzwi znajdujących się prawie dokładnie naprzeciwko tych, przez które wyszła. Pchnęła je i z ulgą stwierdziła, że nie są zamknięte na klucz. Weszła do środka. Światło promiennika ukazało jej pokój podobny do tego, w którym ją więziono. Odwróciła się i przez szparę obserwowała hol.

Przybysz dotarł do szczytu schodów. Miał na sobie mundur taki jak ci, którzy pojechali z Reddickiem. W jednej ręce niósł małą tacę z posiłkiem i dzbanem wody. W drugim ręku kołysała się latarnia.

Podszedł do drzwi jej wcześniejszego więzienia, postawił latarnię na ziemi i zaczął grzebać przy pasku, skąd sięgnął kółko, na którym wisiało kilka dużych kluczy. Roane wycelowała paralizator w jego głowę i nacisnęła przycisk. Bezgłośnie opadł na kolana, a następnie osunął się na podłogę.

Płacząc się wściekle w długich spódnicach, dopadła do niego. Nie ważył zbyt dużo, więc bez trudu poradziła sobie z wciągnięciem go do pokoju. Dzbanek się przewrócił większość jego zawartości wyciekła na podłogę, tworząc małe jezioro. Wypiła jednak to, co zostało, i porwała pajdę razowego chleba oraz kawałek mięsa. Zjadła pospiesznie, po czym wstawiła naczynia do środka i zamknęła drzwi na klucz.

Następnie wróciła do drugiego pokoju, gdzie wcześniej zauważyła obiecującą stertę ubrań, rzuconych bezładnie na skrzynię. Pozbyć się tych nieszczęsnych spódnic i znów móc się swobodnie poruszać! Rozmiar był nieodpowiedni; właściciel jej nowej garderoby był osobą o wiele wyższą i cięższą. Owinęła się jednak ciasno kaftanem, chowając pod nim drogocenny pas, podwinęła rękawy, wypchała oderwanym z halki materiałem czubki butów, żeby nie spadały z nóg. Znalazła też jeden z tych kapturów zakrywających wszystko prócz twarzy i spięła go pod brodą. Swoje niepotrzebne ubranie wepchnęła do skrzyni.

Latarnia stała nadal obok drugich drzwi. Zirykowało ją, że o niej zapomniała. Postanowiła zabrać ją ze sobą. Z paralizatorem w pogotowiu i latarnią w drugiej ręce pospieszyła ku schodom i spojrzała w dół. Poniżej był drugi hol z przyćmionym światłem. Słyszała głosy i czuła zapach jedzenia, choć woń ta nie była zbyt apetyczna. Jak dotąd los jej sprzyja. Pozostawało jedynie ufać, że dobra passa się nie skończy.

Chociaż starała się poruszać bezszelestnie, miała wrażenie że stukot jej butów słychać w całym domu. Nasłuchiwała czujnie, czy nie wywoła to jakiejś reakcji. Trochę przerażała ją myśl, iż przyjdzie jej forsować wielką, zapartą sztabą bramę. Pocieszała się jednak nadzieją, że istnieją inne, łatwiejsze sposoby wyjścia. Jeśli to będzie konieczne, nie zawaha się nawet wdrapać na mur.

Hol na dole kończył się korytarzem o łukowatym sklepieniu. Z prawej strony były zabarykadowane sztabą drzwi. Miała nadzieję, że wychodzą na dziedziniec. Zdmuchnęła latarnię, postawiła ją na podłodze i podeszła do nich. Zachowując maksymalną ostrożność wysunęła blokującą sztabę z podtrzymujących ją haków. Bała się, że lada chwila zostanie zauważona przez któregoś z wartowników.

Pięciu mężczyzn siedziało przy stole i posilało się, podczas gdy szósty kręcił się tam i z powrotem, donosząc jedzenie i napitki. Roane przez moment balansowała ciężką sztabą, po czym oparła ją ostrożnie o ścianę i pociągnęła drzwi.

W mroczną duchotę holu wdarło się rześkie powietrze nocy. Rozprawienie się z drzwiami i zamknięcie ich za sobą zabrało jej niespełna minutę. Teraz... Zatrzymała się w cieniu i zlustrowała wzrokiem dziedziniec. Tamten powóz nadal stał pod murem po lewej stronie. Dalej były stajnie — czuła dochodzącą z nich woń i słyszała stąpanie dwurożców.

Choć obejrzała uważnie szczyt muru i wieży za swoimi plecami, nie dostrzegła żadnych strażników. Przypuszczała jednak, że gdzieś muszą być. Ponownie skoncentrowała uwagę na powozie. Wyglądało na to, że stoi pod samym murem. Jeśli tak, to może uda jej się po nim wspiąć na górę. Tylko jak zejść z drugiej strony? Potrzebna była lina. Uprząż... Ciągle leżała zawinięta wokół dyszla. Rzuciła się w tamtym kierunku.

Wdrapanie się na kozioł nie sprawiło jej trudności. Przycupnęła na nim, wypatrując na murach wartownika. W kilku oknach wieży świeciło słabe światło, lecz wieczorny mrok był na tyle gęsty, że ukrywał dach powozu.

Zsunęła się z powrotem na ziemię i namacała palcami lejce. Sprzączki dały się bez problemu poluzować i zapiąć na nowo, więc po chwili precyzyjnych manipulacji (a zmuszała się do działania bez pośpiechu, by niczego nie poplątać i nie narobić hałasu) trzymała wreszcie w ręku rzemień mocniejszy od liny. Miała nadzieję, że nie zerwie się pod jej ciężarem. Owinęła go wokół ramienia i ponownie wdrapała się na siedzenie woźnicy.

Nadal miała do pokonania spory odcinek muru, w którego gładkiej powierzchni nie było nic, co mogłoby posłużyć za uchwyt dla rąk czy oparcie dla stóp. Przez chwilę siedziała stropiona, po czym przyszło jej na myśl, że może dałoby się wykorzystać kozioł. Było tu wyścielane siedzenie, które można by ustawić na sztorc, opierając je o ścianę. Lecz czy zdoła na tym utrzymać równowagę?

Spojrzała w górę na mur. Ależ oczywiście! Był tam jeden z masztów flagowych. Drugi znajdował się po przeciwnej stronie bramy. Nie powiewała na nim żadna flaga, lecz stanowił doskonały punkt zaczepienia, o ile tylko uda jej się dorzucić...

Roane stanęła na ogołoconym koźle, przy chwiejnym mostku z poduszek. Zakręciła nad głową obciążonym końcem rzemiennej liny i wyrzuciła ją w powietrze. Poleciała wysoko i daleko, uderzając o mur z odgłosem, który w uszach Roane zabrzmiał jak grzmot pioruna. Istotne było jednak to, że zawinęła się wokół wystającego z muru słupka i zawisła.

Teraz należało działać błyskawicznie; dosięgnąć tamtego zwisającego końca, zanim prowizoryczny mostek z siedzenia usunie się spod stóp. Stanęła łapiąc równowagę i podskoczyła, trzymając w lewej ręce jeden koniec rzemienia, a prawą sięgając po drugi.

Miała rację — niestabilna, miękka kładka obsunęła się. Lecz nim to nastąpiło, zdążyła uchwycić drugi koniec liny. Na szczęście wyściółka kozła obsunęła się tylko trochę, więc, Roane nie zawisła całym ciężarem na wyciągniętych ramionach. Złączyła oba końce rzemienia i rozpoczęła mozolną wspinaczkę. Po kilku chwilach była już na krawędzi muru. Nie mogła uwierzyć, że wszystko poszło tak gładko.

Zsuniecie się na drugą stronę było o wiele łatwiejsze. Szarpnięciem ściągnęła linę na dół i owinęła wokół siebie. Na horyzoncie majaczył w mroku szczyt, który według słów księżniczki stanowił punkt orientacyjny. Biegła w tamtym kierunku droga, i to nie ścieżka ukryta wśród drzew i krzaków, lecz szeroka przecinka przez las. Najlepszym posunięciem będzie się jej trzymać, a w razie spotkania z jakimś innym podróżnym uskoczyć w bok do lasu.

Trakt nie był zbyt zryty koleinami, więc mogła stąpać bezpiecznie, nie obawiając się skręcenia nogi. Ruszyła ostrym marszem, jakiego nauczyła się dawno temu. Tera po ucieczce z tamtego więzienia, musi wszystko zaplanować naprzód. Pierwszym krokiem był oczywiście powrót do obozu, o ile ten jeszcze istnieje. Gdyby wuj Offlas wiedział, co się wydarzyło... że poszukiwacze Korony byli blisko ich znaleziska...

Myśli Roane przeskoczyły na inny tor. Księżniczka... Dokąd pojechała z Reddickiem, i w jakim celu? To jasne, że Ludorika nie zrobiła tego świadomie i z własnej woli, choć całkiem potulnie podeszła do wierzchowca i wyjechała na nim.

Ludorika miała problemy, lecz Roane miała je również. Teraz były to inne problemy, jej własne. Zadumała się ponownie. Na czym to polegało, że podczas przebywania z księżniczką najważniejsze było dla niej to, aby jej pomagać? Dlaczego poświęcała w tym celu siebie, narażając się na nieprzyjemności, a nawet niebezpieczeństwo? I dlaczego teraz czuje się, jakby ją uwolniono z niewidzialnych więzów?

Czy wszystkie nieroztropne i szalone (z punktu widzenia Służby) działania kilku ostatnich dni brały się z faktu, iż była towarzyszką księżniczki? I dlaczego, gdy ta więź została zerwana, urwał się tajemniczy wpływ dziedziczki Reveny? Czyżby to jakaś cecha jej własnego usposobienia sprawiła, że była bardziej podatna na sugestie Ludoriki?

Roane odebrała w trakcie szkolenia tak gruntowny i drobiazgowy instruktaż w zakresie form komunikowania się, pouczenia i kierowania, wypraktykowany zarówno na ludziach, jak i na maszynach, że wiedziała, iż taki wpływ może istnieć i może on stanowić część tajemnicy Clio.

W niektórych bardzo starych cywilizacjach, nawet w niezgłębionej Przeszłości jej własnej cywilizacji, nim opuściła ona rodzimą planetę, by osiedlić się w tysiącach innych światów, bywały okresy, gdy królowie byli jednocześnie kapłanami obdarzonymi z racji pochodzenia boskimi mocami. Przypuśćmy, że ci, którzy przeprowadzali eksperyment na Clio, zrobili z tego użytek, obdarzając wybrane rodziny możliwością sterowania ludźmi, która uzależniała od nich poddanych. Lecz jak w takim układzie Reddick czy inni rebelianci zdołali znaleźć popleczników i ośmielili się wystąpić przeciw takim wpływom?

A może ci, którzy uczynili z Clio grunt eksperymentalny dla swoich teorii, nie chcieli biernego, bezwładnego społeczeństwa? Może wpływy te nie oddziaływały na wysoko urodzonych, równych rangą, lub może oddziaływały jedynie okresowo, powiedzmy kiedy monarcha znajdował się w straszliwym niebezpieczeństwie? To mogłoby wyjaśniać zarówno poczynania Reddicka, jak Ludoriki. Lub może... Mogłaby mnożyć Takie prawdopodobne wyjaśnienia w nieskończoność.

Ale czy takie wyjaśnienia mogłyby posłużyć jej za usprawiedliwienie własnych postępów i ułatwić odparcie zarzutów stawianych przez wuja Offlasy i Służbę? Chyba byliby zadowoleni, mogąc się dowiedzieć wszystkiego o Clio. A jeśli faktycznie uległa takiemu wpływowi, psychotest z pewnością by to potwierdził. Najpierw musiałaby jednak dotrzeć do obozu, zakładając że działania tubylców nie doprowadziły wuja Offlasy do zarządzenia odwrotu.

Najbardziej ze wszystkiego żałowała teraz, że nie zabrała minikomu. Dlaczego tego nie zrobiła? Cóż, jej sposób myślenia musiał być niewątpliwie sterowany przez ten wpływ. Inaczej przecież nie zerwałaby wszelkich więzów z obozem ze strachu, że towarzysze ją namierzą!

Potrząsnęła głową. Z każdą upływającą chwilą coraz mniej rozumiała własne zachowanie. Oczywiście istniało rozwiązanie tego problemu. Należało po prostu unikać rdzennych mieszkańców Clio, a wtedy nie ulegnie się temu wpływowi ustawionemu dla potwierdzenia teorii dawno już zmarłych ludzi.

Droga skręciła raz, potem drugi. Jednak cały czas biegła tak, że nie traciła z oczu wzgórze, będącego jej drogowskazem. Wyglądało na to, że nocą nikt nią nie podróżuje, a przynajmniej Roane nie słyszała żadnych ludzkich odgłosów. Niekiedy w ucho wpadały jej dźwięki kojarzące się z dzikimi zwierzętami oraz trzask gałęzi, jakby coś przed nią uciekało. Wschodził księżyc w pełni i jego poświata położyła się wzdłuż drogi.

Roane doszła do miejsca, gdzie trakt przecinając strumień załamywał się pod kątem ostrym na północ, a tym samym oddalał ją od jej punktu orientacyjnego. Lecz teraz jej przewodnikiem mogła być płynąca woda. Prawdopodobnie w niektórych porach roku była to spora rzeka, lecz obecnie skurczyła się do tego stopnia, że zwały żwiru i piasku tworzyły z obu stron szerokie krawędzie. Wykorzystała ten piaszczysty brzeg jako nową dróżkę. Dwukrotnie spłoszyła zwierzęta, które przyszyły do wodopoju. Jedno było całkiem duże, lecz wyjątkowo płochliwe, gdyż uciekając wydawało żaloszny, płaczliwy krzyk. Trzymała paralizator w pogotowiu na wypadek spotkania z czymś znacznie bardziej wojowniczym. Kawalek dalej światło księżyca ujawniło głębokie odciski w glebie. Ślady kopyt. Z całą pewnością były to dwurożce, i to liczna gromada. Ponadto tu i ówdzie leżały połamane gałęzie, świadczące, że przedzierała się tędy grupa jeźdźców na wierzchowcach. Zmierzali w tym samym kierunku co ona. I choć nie знаła

się zbyttno na tropieniu śladów, podejrzawała, że odciski są świeże.

Czy to grupa wioząca Ludorikę? Jeśli tak, tym bardziej powinna pospieszyć do obozu z ostrzeżeniem. Deformatory mogły co prawda utrzymać intruzów na granicy zasięgu swego działania, z dala od obozu. Jednak ich nadmierna eksploatacja mogła nie tylko spowodować wyczerpanie baterii, ale też wzbudzić niejasne podejrzenia ludzi, których coś stale, podświadomie spychało ze szlaku.

Tak naprawdę musiała obawiać się tylko jednego: ponownego spotkania z księżniczką. Powinna się tego bać dlatego, że jej umysł pogodził się z faktem, iż Ludorika ma prawo żądać od niej pomocy. Musi też ostrzec przed tym zagrożeniem wuja Offlasy i Sandara, choć wszystko wskazywało na to, że na nich ten wpływ nie działa. A przynajmniej nie zadziałał, gdy księżniczka znajdowała się w ich rękach. Lecz wówczas była oszołomiona promieniami paralizatora.

W księżycowym świetle noc wyglądała jak w czarno-białym filmie. Granice pomiędzy jasnością a cieniem rysowały się niezwykle wyraźnie. Nagle Roane przystanąła i przyłożyła rękę do czoła. Pierwsze małe ukłucie i uczucie dyskomfortu. Wiedziała, skąd się to bierze. To pierwsze ostrzeżenie deformatora. Po chwili uświadomiła sobie, co ją może czekać. Nie miała przy sobie antynadajnika. Deformator będzie na nią oddziaływał tak samo jak na tych, których miał za zadanie nie dopuścić na teren obozu. Jediną jasną stroną tej sytuacji była możliwość wykorzystania sygnału odstraszaającego jako przewodnika, poprzez zmuszenie się do pójścia dokładnie tam, skąd ją odpychało.

Kawałek dalej trop jeźdźców zawracał, pozostawiając w zaroślach ślady sugerujące gwałtowny odwrót. To był również skutek działania deformatora. Lecz Roane jeszcze przez pewien czas trzymała się na siłę obranego kursu. Nie trwało to jednak długo. Atak nastąpił niespodziewanie. Z ciemności nocy wyfrunęła pętla, opasała ją na wysokości klatki piersiowej i zacisnęła się mocno, zanim dziewczyna zorientowała się, co się dzieje. Nie zdążyła użyć broni, ponieważ ramiona miała przyszpilone do boków. A natychmiast potem coś się na nią rzuciło, przygniatając ją do ziemi.

Po chwili nacisk zelżał, ale nadal tkwiła w stalowym, uścisku, z którego mimo rozpaczliwych wysiłków nie mogła się wyzwolić. Postawiono ją na nogi i zwrócono twarzą do grupki trzech osób, podczas gdy czwarta, stojąca za mocno ją trzymała.

W świetle księżyca rozpoznała przywódcę napastników i łapiąc chciwie powietrze zdołała wykrztusić jego nazwisko:|

— Pułkownik Imfry!

— Kim jesteś? — Podeszedł bliżej i spojrzał jej w twarz. W jego oczach odbiło się niebotyczne zaskoczenie.

— Lady Roane! Ale co... Gdzie jest księżniczka? Puść ją natychmiast! — Pytanie i rozkaz padły szybko jedno drugim.

Uścisk na jej ramieniu zelżał, a rozluźniona pętla opadła do jej stóp.

— Gdzie jest księżniczka? — spytał ponownie pułkownik podtrzymując Roane, która

zachwiała się, jakby miała upaść.

— Wyjechała z wieży z Reddickiem.

— Z jakiej wieży... dokąd... — Poczula, że ściska ją. mocno, jakby chciał z niej wydusić prawdę.

— Pozwól mi złapać oddech — Roane była zdecydowana nie dać się ponownie wciągnąć w ich sprawy.

— Oczywiście — rozluźnił uchwyt. — Wybacz mi, pani. Wszystko przez to, że jej wysokość jest w łapach Reddicka.

Przedstawiła mu możliwie najzwięźlejszy przebieg wypadków. Nie potrafiła, co prawda, nazwać więzienia, z którego uciekła, ale podała mu za to nazwę Famslaw wymienioną przez księżniczkę. Zrelacjonowała wszystko aż do momentu wyjazdu Ludoriki z Reddickiem.

— Poddali ją działaniu zniewalacza umysłu — powiedział pułkownik. — A ten powóz z godłem Rehlinga... Jestem przekonany, że pomimo całej ufności, jaką w nim pokładała, Imbert gra na dwie strony. Jest tylko jedno miejsce, do którego mogli się udać: miejsce ukrycia Korony. A ty, pani, wiesz gdzie to jest. Możesz nas tam zaprowadzić. Tutaj dzieje się coś dziwnego... Krążymy od dwóch dni, nie mogąc się zbliżyć do podanego przez księżniczkę punktu orientacyjnego. A musimy tam koniecznie dotrzeć, i to jak najszybciej, ponieważ w przeciwnym razie Reddick wykorzysta księżniczkę do zdobycia tronu, a potem zrobi z nią, co zechce.

— Nie! — Roane wyrwała rękę z jego uścisku.

— Nie? Co chcesz przez to powiedzieć?

Był wyraźnie poruszony. Po raz pierwszy popatrzył na nią jak na człowieka, a nie jak na narzędzie do rozwiązywania problemów Ludoriki.

Tylko tyle, że nie pójdę z wami!

W rękę nadal trzymała paralizator. Skierowała jego promień na pułkownika i dwóch stojących za nim mężczyzn. Po czym obróciła się na pięcie, by dosięgnąć również tego znajdującego się kilka kroków za nią.

Zachwiali się, lecz nie upadli. Ufała jednak, że będą porażeni dostatecznie długo, by zdążyła uciec. Rzuciła się naprzód, prosto w obszar działania nastawionego na pełną moc deformatora. Czula, że jego fale powodują kompletne zamroczenie w jej umyśle, jednak ostatkiem woli zapanowała nad własnym ciałem i zataczając się parła w kierunku, od którego ją odrzucało. Resztki świadomości mówiły jej, że tu nikt jej nie będzie ścigał. Nie traciła więc czasu na oglądanie się za siebie.

Zarośla smagały i drapały jej ciało. Wyrzuciła naprzód ramiona, by osłonić twarz przed tnącymi uderzeniami. Nieustanne i coraz intensywniejsze oddziaływanie fal deformatora doprowadzało ją do stanu kompletnego oszołomienia, jednak zawzięcie dążyła naprzód, do bezpiecznej strefy poza tą barierą ogłupiającego promieniowania. Niech Ludorika i jej stronnicy sami szukają drogi wyjścia z tarapatów; nie zamierzała dać się ponownie wciągnąć w

ich królewskie gierki.

Oddziaływanie fal deformatora wyraźnie osłabło. Widocznie jest już blisko krawędzi strefy ochronnej. Roane parła przed siebie nie próbując nawet znaleźć ścieżki, myśląc jedynie o wydostaniu się spod tego wpływu. Wtem... Znalazła się na czystym terenie!

Przed nią była polana z obozem. Spodziewała się, że wezwą ją do zatrzymania się, więc zrzuciła kaptur, żeby mogli ją rozpoznać, o ile wcześniej wyłapali jej obraz na ekranie komputera. Nic się jednak nie działo; żadnych oznak życia. Nikogo nie ma — zatem gdzie są?

Była niemal pewna, że kod otwierający wejście został zmieniony i nie zareaguje na odcisk identyfikacyjny jej kciuka. Otworzyło się jednak tak ochoczo, jakby wyszła stąd zaledwie kilka chwil wcześniej. A więc jeszcze jej nie przekreślili i nie skazali na banicję.

W żadnej z małych kabin nie było żywej duszy. W tej, która stanowiła magazyn sprzętu, półki i wnęki były puste. Znaczyło to, że udali się gdzieś do pracy. Pomyślała, że w grę wchodzi tylko jaskinia.

Podeszła do komputera. Mogła ich za jego pomocą wezwać, ostrzec. Lecz w tej samej chwili, gdy zaświtała jej w głowie ta myśl, zauważyła wymontowany, leżący osobno przycisk do połączenia planetarnego. W jego miejsce zainstalowano gotowy do użycia nadajnik kosmiczny. Albo już przygotowywali się do odlotu, albo spodziewali się, że lada moment będą musieli to zrobić. Pstryknęła przyciskiem odpowiedzi. Natychmiast taśma odpowiedziała szyfrem.

— A więc to tak — powiedziała głośno. Złożyli raport i otrzymali rozkazy, że w ciągu trzech dni planetarnych muszą wykonać wszystkie badania i przygotować się do odlotu. Nie знаła daty wydania rozkazu, więc nie miała pojęcia, na kiedy wyznaczono ten ostateczny termin.

W tej sytuacji mogła zrobić tylko jedno. Nie łudziła się, że złagodzi to czekającą ją przypuszczalnie karę, lecz może powstrzymać wuja Offlasa od ocenzurowania czy sfalszowania jej raportu.

Znalazła czystą taśmę meldunkową i włożyła ją do kasety. Cechą charakterystyczną tej kasety było to, że raz nagrana, zamknięta i oznaczona numerem, może zostać otwarta i odtworzona wyłącznie na statku Służby. Siadła przy blacie i wzięła do ręki mikrofon, zanim jednak nacisnęła przycisk Start, przemyślała dokładnie, co chciała powiedzieć. Najlepsza będzie prosta relacja o tym, co się wydarzyło. Dlatego podyktowała precyzyjnie przebieg kolejno następujących po sobie wydarzeń od pierwszego spotkania z księżniczką.

Podala zwięźle własne wnioski dotyczące Korony, uwarunkowania wszystkiego, czego sama doświadczyła. Być może władze odrzucą ten raport, ale tak czy inaczej dostanie się on do rąk ekspertów. Skończywszy, z ulgą przycisnęła znak klucza. Zablokowane! Wuj Offlas już w żaden sposób tego nie zmieni.

Czuła się potwornie zmęczona, bolały ją wszystkie kości. Walka z deformatorem wyczerpała ją do tego stopnia, że ledwo zdołała wstać od stołu. Wiedziała jednak, że nie może teraz zasnąć, poddać się bólowi w plecach, słabości w nogach! Musi ostrzec wuja i Sandara. Mogą się natknąć na którąś z grup poszukujących Korony.

Pułkownik Imfry... Siła rażenia paralizatora była niewielka; on i jego ludzie szybko otrząsnęli się z zamroczenia. Lecz przy działających deformatorach nie mogli podążyć jej

tropem.

Roane zaczęła szarpać na sobie obce lachy, zrywając je z pasją jeden po drugim. Przejrzała swoją bardzo teraz ubogą, garderobę. Został jeszcze jeden kombinezon... Tylko czy wkładanie go będzie właściwe? Jeśli ma pójść do jaskini, może tutejszy przyrodziewek mniej rzucałby się w oczy? Ale... Nie, żeby podjąć taką decyzję, musi mieć jaśniejszy umysł.

Zdołała się dowlec do małej odświeżalni i zmusiła umęczony mózg do wybrania numerów programujących urządzenie. Po tym zabiegu zmęczenie i senność powinny ustąpić. Na skórze zaczęła gromadzić się wilgoć, a wokół unosiła się lekka mgielka. Zanurzyła w niej z rozkoszą twarz, wciągając opary w płuca. Przypominało to wychodzenie z nieprzeniknionej ciemności do przejrzystej, świeżej wody. Pamiętała jednak o tym, żeby nie przeholować. Przy tym zabiegu należało zachować zdrowy rozsądek. Jeżeli trwa zbyt krótko, zmęczenie niebawem wróci. Za długo — wywoła stan euforii, który może prowadzić do nazbyt śmiałych, katastrofalnych w skutkach posunięć. Używano tego urządzenia jedynie w sytuacjach, gdy jakieś zagrożenie wymagało stymulacji umysłu i ciała, a i to bardzo wstrzeźliwie.

Mgielka się przerzedziła. Roane wyszła na zewnątrz i zaczęła masować wilgotne ciało, nie odczuwając już żadnego bólu. Otulona w płaszcz kąpielowy wróciła do pomieszczenia kontrolnego.

Na kosmicznym komputerze nie było światełka ostrzegawczego. Odzyskała na tyle czujność, by sprawdzić pozostałe monitory. Przy jednym zatrzymała się i zmarszczyła czoło. Z całą pewnością deformator nie był nastawiony na tak ograniczone działanie! Na ekranie widniała niewielka mapka z czerwonymi punkcikami oznaczającymi skrzynki nadajników. Lecz przyrząd pomiarowy wskazywał wyczerpanie mocy. Pospiesznie sprawdziła dalsze.

A więc to było to — potrzebowały doładowania. A przecież o to wuj Offlas troszczył się w pierwszej kolejności przed opuszczeniem obozu. Mogło to oznaczać, że jego nieobecność przedłużyła się w nie planowany sposób. Na pewno zamierzał wrócić wcześniej. W tej samej chwili jeden z czerwonych punkcików zamigotał i... zniknął. Deformator przestał pełnić swą wartowniczą służbę. Roane stanęła wobec nowej decyzji. Mogła obejść wszystkie lokalizacje i wymienić baterie. Lub mogła pobiec do jaskini z ostrzeżeniem...

Obchodzenie deformatorów mogło być stratą cennego czasu, mogła po raz kolejny wpaść w ręce Imfry'ego i jego ludzi. Nie, najlepiej pójść do jaskini. Kiedy już wrócą tu razem i odetną zasilanie położonych dalej deformatorów, będzie można włączyć centralny promień energii, który obwaruje całą polanę do momentu odlotu.

Roane wróciła do swojej kabinki i powtórnie włożyła reveńskie ubranie, po czym sprawdziła pas, dodając świeżo naładowany promiennik, nowe baterie do paralizatora, detektor i antynadajnik, który zabezpieczy ją przed promieniowaniem deformatorów.

Kiedy opuszczała obóz, był ranek. Zapowiadał się ładny dzień; niebo było bezchmurne. Dotarła do klifu z jaskinią, nie natykając się po drodze na żaden ślad grupy Imfry'ego. Lecz gdy dochodziła do wąskiego wejścia do podziemi, odskoczyła przerażona, a serce waliło jej jak młotem. Nie ludzie Imfry'ego... A jednak ktoś tam przygotował zasadzkę. Na szczęście zabrany z obozu detektor ostrzegł ją w samą porę.

Przyczaiła się w ukryciu i badała teren. Nie zdoła niepostrzeżenie podejść do ukrytego tam człowieka. Parametry na detektorze były wprawdzie niezbyt wyraźne, ale wystarczały do zlokalizowania jego pozycji. Wyciągnęła paralizator i w pośpiechu dokonała obliczenia zmian w jego nastawieniu. Wątpiła, czy zdołałaby go unieszkodliwić z takiej odległości, lecz mogła go obezwładnić na czas wystarczający jej na dotarcie do wejścia jaskini. Wycelowwała w krzak, w którym się ukrywał, i nacisnęła guzik.

W krzaku nie drgnęła nawet gałązka. Nie wiedziała, czy jej atak okazał się skuteczny, a sprawdzanie tego było jednoznaczne z narażaniem się na niebezpieczeństwo. Postanowiła zaryzykować. Podniosła się i ruszyła naprzód. Skalisty odcinek, jaki miała do pokonania, wydawał jej się najdłuższym ze wszystkich przemierzonych w jakimkolwiek świecie.

Nikt jej nie zaatakował, nic się nie poruszyło. Przebiegła obok krzaka. Luźne kamienie i żwir osypywały się pod jej stopami. Zdyszana dopadła do otworu w skale. Tu wreszcie odważyła się obejrzeć. Z zarośli wystawała obuta noga. Poruszyła się niemrawo, żłobiąc piaszczystą glebę, i znieruchomiała. Roane raz jeszcze użyła promiennika, żeby mieć pewność, iż ofiara została unieszkodliwiona.

Ruszyła w głąb korytarza. Tu, gdzie poprzednio panowała martwa cisza, teraz słyhać było nieprzerwany pomruk. Natężając słuch próbowała odróżnić odgłosy, lecz doszła do wniosku, że to raczej mechaniczne brzęczenie. W miarę, jak posuwała się naprzód, stawało się coraz głośniejsze. Kiedy doszła do przezroczystej tafli, dostrzegła migotanie światła. Tyle, że szyba zniknęła, pozostawiając otwór, przez który dobiegały te niesprecyzowane dźwięki. Zrobiła krok i znalazła się w tamtej komnacie.

Stała na końcu podwójnego rzędu wysokich kolumn. Każda z nich była wyposażona z przodu w podświetlany ekran, na którym widniał rysunek przypominający mapę. I każda zwieńczona była czymś jeszcze, odstającym formą od prostej solidności filarów.

Każda bowiem była ukoronowana, w dosłownym tego znaczeniu. Na niewielkiej nóżce na szczycie każdej kolumny spoczywał przepięknie wykonany, skrzący się drogocennymi kamieniami, miniaturowy diadem.

Dwa filary były ciemne. Na bliższym korona była bez życia, matowa. Lecz pozostałe mieniły się, jakby kruszec i klejnoty, z których je wykonano, były zasilane energią. Wokół ekranów z mapami i ponad nimi znajdowały się rzędy małych światełek. Błyskały jaskrawymi iskierkami stale zmieniających się kolorów, na przemian to zapalając się, to gasnąc.

Roane była już pewna, że urządzenia te nie są pozostałością po Prekursorze. Muszą mieć jakiś związek z eksperymentem dotyczącym osadnictwa na Clio. Nie miała jednak zbyt wiele czasu, by się im przyjrzeć, gdyż z przejścia pomiędzy rzędami kolumn wyłonił się jej wuj.

Była przygotowana na takie spotkanie. Co więcej, spodziewała się ataku bez ostrzeżenia, więc trzymała broń w pogotowiu. Okazało się, że jej obawy były uzasadnione, gdyż wuj Offlas także celował w nią z paralizatora.

— Roane! — Nie mówił głośno, mimo to jego głos wypełnił komnatę, wibrując ponad szmerem pracujących maszyn. Podeszedł bliżej. Nauczona jego przykładem, maksymalnie ściszyła głos:

— Deformatory wysiadają. — Powiedziała to, co w jej odczuciu było istotną informacją.

— W końcu nie są wieczne. — Jego szept był chropawy, a Basic brzmiał szorstko i twardo po miękkiej i śpiewnej modulacji języka Clio. — A więc jesteś. Skąd przychodzisz?

— Uciekłam z twierdzy na tyłach wzgórz. Ale to nie jest teraz ważne. Oni tu nadchodzą szukać Korony...

— Ilu? — zapytał. — Sandar jest...

— Są dwie grupy, jedna z księżniczką, druga złożona z jej ludzi. Nie wiem, ilu. Ona jest więźniem. Jej krewniak chce, by zabrała Koronę, żeby on mógł ją dostać — wyrzucała to, co miała do powiedzenia, w potoku słów. — Księżniczka mówi, że tylko ktoś z Królewskiej Krwi może dotykać Korony. Wszystkich innych zabija...

Wuj odwrócił się i stanął twarzą do jednej z maszyn. Roane przysunęła się bliżej. Dopiero teraz rozpoznała na jej kolumnie zarys mapy, którą знаła — Reveny! Umieszczona ponad nią Korona wyglądała jak z lodu. Nie potrafiła nazwać materiału, z jakiego ją wykonano — mógł to być nawet czysty kryształ. Był to diadem skomponowany z szeregu szpiców nachylających się ku środkowi, gdzie cztery z nich łączyły się, tworząc wierzchołek. Na nich z kolei wspierała się kolekcja gwiazd wysadzanych błyszczącymi białymi kamieniami. Jeśli miniatura robiła takie wrażenie, jakże wspaniała musi być prawdziwa korona!

— Sandar poszedł jej szukać — powiedział wuj. — Nie wrócił.

— Poszedł do końca przejścia i wrócił z przenośnym trójwymiarowym przyrządem rejestrującym. — Przynieś tamto — wskazał kolejny przyrząd.

Roane ujęła go oburącz. Lecz w momencie, kiedy zbliżali się do wyjścia, ich uszu dobiegł odgłos kroków w korytarzu. Były to nieomylnie kroki kilku osób. To nie mógł być Sandar.

Czy nie lepiej na wszelki wypadek ukryć się za filarami? Lecz wuj nawet nie drgnął. Sprawiał wrażenie tak pewnego siebie, że Roane została na miejscu. Ciekawe, kto to. Imfry? Księżniczka i jej gnębiciele?

Chwilę później w miejscu, gdzie niegdyś znajdowała się szyba, stanął pułkownik, jasno oświetlony niesioną przez siebie pochodnią. W prawej ręce trzymał jedną z tych ciężkich, nieporęcznych, strzelających pociskami broni. Roane czuła się jak przedmiot wystawiony na pokaz. Stała i czekała, aż odwróci głowę i ją zobaczy. Lecz jego uwaga skupiona była wyłącznie na ciągnącym się przed nim odcinku korytarza. Za nim kroczyli jego ludzie. Rozglądali się czujnie na wszystkie strony, a mimo to żaden nawet nie zerknął na otwór po szybie i pomieszczenie, do którego prowadził.

— Uwarunkowani — mruknął wuj. — Doskonały przykład szczytowego uwarunkowania. Dodatkowy dowód, gdyby był potrzebny.

Żołnierze poszli dalej. A jeśli tam, z przodu, spotkają Sandara? Co prawda ma paralizator... A księżniczka i Reddick... jeśli już tam są? Wuj nasłuchiwał uważnie dalszych odgłosów, a ona zaryzykowała pytanie.

— A jeśli spotkają Sandara?

Spojrzał na nią ze złością, jakby jej szept był krzykiem, i nic nie odpowiedział. Taka taktyka poprzednio zawsze zamykała jej usta. Lecz wuj Offlas był przecież tylko człowiekiem, nie żadną nadprzyrodzoną siłą. Mógł ją skazać na czarną, pokutniczą przyszłość, lecz ona również mogła walczyć w swej obronie. W głębi ducha zdumiał ją ten przyływ pewności siebie.

Wuj był wyraźnie niezdecydowany. Mogli podążyć śladem grupy pułkownika, torując sobie drogę paralizatorami. Dziwiła się, dlaczego wuj się na to nie decyduje. Zanim zdążyła o to zapytać, w komnacie zaczęło dziać się coś dziwnego.

Jej uwagę przykuł przeraźliwy zgrzyt wydobywający się z jednej z maszyn. Była to kolumna podtrzymująca Lodową Koronę. Światelka na jej froncie migotały szaleńczo, a korona rozjarzyła się oślepiającym płomieniem. Rozległa się kolejna seria głośnych trzasków i zgrzytów, po czym światelka się uspokoiły.

Wuj najpierw obserwował w milczeniu całe widowisko, a potem skierował tam trójwymiarową kamerę. Nie zarejestrował jednak zbyt wiele, gdyż płomień korony również szybko przygasł.

Roane wiedziała, co się stało, tak dokładnie, jakby przy tym była. Lodowa Korona została odnaleziona. Lecz czy dokonała tego księżniczka? A może zabrał ją Sandar... albo Imfry?

Ich uszu dobiegły kolejne hałasy, odbijające się głośnym echem w podziemiach. Jednak tym razem nie była to żadna z kolumn. Odgłosy dochodziły z korytarza. Wydawało jej się, że słyszy krzyki. Walka pomiędzy bandą Reddicka a ludźmi Imfry'ego?

— Co się... — zwróciła się do wuja.

Lecz on był całkowicie pochłonięty filmowaniem kolumny.

— Zmiany — mówił do siebie. — Przynajmniej pięć istotnych zmian w układach wzorów! Sprawy przybrały całkowicie nowy obrót!

Nowy układ światełek! Księżniczka czy Reddick? Jednak Roane nie zamierzała znów się w to angażować, zdecydowanie nie!

Wmawiając to sobie, podeszła do drzwi. Ledwie dotknęła stopą podłogi korytarza, upuściła zabrany na polecenie wuja sprzęt i rzuciła się biegiem. Jedna połowa jej umysłu, ta rozsądna i niezależna połowa będąca Roane Hume, stanęła do otwartej walki z tą drugą, zapomnianą i uzależnioną, nad którą pozornie odzyskała kontrolę. Pozornie — gdy właśnie okazywało się, że nad nią nie panuje. Nie chciała iść, a szła, kierowana tym odradzającym się wewnętrznym przymusem.

Dotarła do końca korytarza. W nozdrza uderzył ją kwaskowaty odór. Z paralizatorem w pogotowiu precyzyjnie się przez wąski przesmyk, nasłuchując jakichś odgłosów. Usłyszała przytłumioną wrzawę głosów, a potem dostrzegła blask pochodni. Wspięła się na miejsce, z którego było widać jaskinię ze szkieletem.

Widniał tam świeżo wykopany otwór, tworzący wyjście na zewnątrz. Wpadało przez nią nieco dziennego światła. Mimo to ktoś oświetlał pochodnią drugi przekop w ścianie, pod którą wcześniej leżał zmiażdżony szkielet.

W tym drugim wyjściu stała Ludorika. Wyciągała przed siebie ręce z szeroko rozstawionymi palcami, jakby własnym ciałem chciała ochronić to, co trzymała. Była to wierna kopia Lodowej Korony z kolumny, tyle że wielkością pasująca do ludzkiej głowy.

W świetle pochodni płonęła żywym ogniem. Księżniczka patrzyła na nią jak w transie, z wyrazem twarzy, jakiego Roane nigdy przedtem nie widziała. Pożądliwość...? Raczej nie. Jakieś inne uczucie, obce Ludorice, którą знаła. Wyraz, który odpychał, a nie przyciągał. Zupełnie inny od tego, który sprawił, że wbrew własnej woli Roane stała się jej sprzymierzeńcem.

Zdawało się, że Ludorika jest świadoma jedynie tego, co trzyma, i absolutnie nie zwraca uwagi na otoczenie. Z jednej strony stał przy niej mężczyzna w czerni, wpatrujący się w nią z niemal równie głęboką fascynacją, jaką ona obdarzała Koronę. Z drugiej strony stał Reddick. Trzymał jedną z tych masywnych, ręcznych broni, a z jej lufy unosiła się jeszcze smużka dymu.

Dwóch towarzyszy Imfry'ego leżało nieruchomo pod ścianą w pobliżu miejsca, gdzie skuliła się Roane. A sam pułkownik... Roane odruchowo zakryła dłonią usta. Stał oparty plecami o ścianę, jakby potrzebował podparcia. Jedna ręka zwisała mu bezwładnie, a na ramieniu widniała ciemna, rozprzestrzeniająca się plama. Dwóch ludzi Reddicka wiązało go brutalnie sznurem, a dwóch innych stało z bronią wycelowaną w pozostałych żołnierzy Imfry'ego.

Król umarł, niech żyje królowa! — powiedział Reddick. Potem, dotykając ramienia Ludoriki, dodał: — Moja królowo, co rozkażesz zrobić z tymi, którzy przyszli tu szukać — wielkiego skarbu Reveny?

Nie podniosła głowy ani nie oderwała wzroku od trzymanego przedmiotu. Gdy odpowiedziała, jej głos był piskliwy i pozbawiony ciepła, jakby mówiła z wielkiego dystansu o sprawach mało istotnych:

— Ponieważ, co wszyscy widzą, jestem królową, rozkazuję ich potraktować jak zdrajców, gdyż ośmielili się sięgnąć po Koronę!

Reddick uśmiechnął się triumfująco. Za to na twarzach pułkownika i jego ludzi odbił się szok, jakby nie wierzyli własnym uszom.

— Król nie żyje, królowa przemówiła — powiedział Reddick.

Jego słowa cechowała pompatyczna powaga, jakby był dworskim urzędnikiem sądowym, ogłaszającym prawomocny werdykt. — Niech zatem będą potraktowani jak zdrajcy. Królowo — zwrócił się ponownie do Ludoriki — to nie jest odpowiednie miejsce dla ciebie. Jedźmy pokazać twojemu ludowi, że jesteś ich nową, prawdziwie ukoronowaną władczynią.

Odpychająca maska zmieniła nieco wyraz i na twarzy Ludoriki pojawił się ślad nowej emocji.

— Tak — teraz jej głos był bardziej ludzki, radośniejszy. — Tak właśnie zrobię! To jest Lodowa Korona. Należy do mnie, ja ją noszę, dla dobra Reveny!

Nie rozglądając się na boki i nie zaszczycając nawet jednym spojrzeniem ludzi, których w tak przyspieszonym trybie skazała, podeszła do nowo przekopanego otworu. Obok kroczył mężczyzna w czerni, raz po raz podtrzymując ją, by nie upadła, ponieważ Ludorika zataczała się i potykała, nie patrząc pod nogi, tylko na Koronę. Reddick zwlekał z wyjściem, obserwując,

jak jego ludzie wiążą towarzyszy Imfry'ego. Kiedy skończyli, zwrócił się bezpośrednio do pułkownika.

— Korona, jak zawsze, przemówiła, mój dzielny pułkowniku. Myślę, że dla Reveny świta nowy dzień. Nie sądzę jednak, by te zmiany przypadły ci do gustu. Tak więc dobrze się nawet składa, że wkrótce nas opuścisz. Jej Królewska Mość podejmie ostateczną decyzję co do godziny i sposobu twojego odejścia. Lecz proszę cię, nic sobie nie obiecuj po starych przyjaźniach. Powszechnie wiadomo, że korony zawsze zmieniają tych, którzy je wkładają. Bardzo to będzie zajmujące zobaczyć, jakie zmiany nastąpią, kiedy nasza suzerenka zasiądzie mocno na swym tronie.

— Zniewalacz umysłu nie może stymulować nią w nieskończoność — pułkownik stopniowo otrząsał się z osłupienia.

— Zniewalacz umysłu, powiadasz? Cóż, być może użyliśmy takiego instrumentu, by sprowadzić ją tutaj, ponieważ ona jedyna może dotyczyć Korony. Ale zapewniam cię, mój dzielny i wścibski pułkowniku, że to, co zaszło od tamtej pory, wiąże się z samą tylko Koroną. Życie w charakterze następczyni tronu bardzo się różni od faktycznego rządzenia i panowania. Powinniśmy, moim zdaniem, dostrzegać tę różnicę. Zauważ, że Ludorika to już nie zaprzyjaźniona z tobą księżniczka, lecz królowa! Musimy jechać. Zabierajcie ich i pamiętajcie, mają dojechać cało i zdrowo — rozkazał swoim ludziom. — Dla Jej Królewskiej Mości będzie to niewątpliwa przyjemność uczynić z nich doskonały przykład.

Roane była tak poruszona nagłym zwrotem w podejściu księżniczki do pułkownika, że obserwowała całą scenę jak zamurowana i nawet do głowy jej nie przyszło, by wkroczyć do akcji. Lecz teraz, kiedy ludzie Reddicka zabierali się do wywleczenia więźniów na zewnątrz, przygotowała paralizator. Nie chciała dłużej uczestniczyć w staraniach Imfry'ego na rzecz osoby, która się go wyparła, ale nie mogła też patrzeć beczynnie, jak Reddick zabiera go na śmierć.

Jednak gdy uniosła broń, ktoś chwycił ją z tyłu i ścisnął jak w imadle, uniemożliwiając najmniejszy ruch. Tuż obok usłyszała niemal bezgłośny szept:

— Nie tym razem, idiotko! W tej sztuce nie ma ról dla nas. Sandar! Skąd się tu wziął... i dlaczego... Roane wierciła się i szarpała, lecz stalowy uchwyt paraliżował jej ruchy. Był od niej o wiele silniejszy, więc bez trudu pociągnął ją do tyłu, tak że straciła jaskinię z oczu.

Nie przestała się szamotać i wrywać, aż nie dotarli do szerszego odcinka korytarza. Tam pchnął ją na ścianę, przygniatając całym ciężarem swojego ciała. W ciemnościach nie widziała jego twarzy, lecz dosłyszała groźbę w głosie:

— Mam cię porazić promieniami i wywlec stąd jak worek kamieni? Zrobię to, jeśli mnie do tego zmusisz. Zachowujesz się jak skończona idiotka, a nawet gorzej. Koniec z takimi numerami. Co cię obchodzi los tych marionetek? Oni są marionetkami. Widzieliśmy wystarczająco dużo, by to zrozumieć. Są zaprogramowani dokładnie tak, jak Adriańskie androidy, żeby ściśle wykonywać rozkazy tamtych maszyn z komnaty. Czy to ważne, w jakie gry grają marionetki? Dowiedzieliśmy się sporo z tamtych instalacji...

— Oni nie są marionetkami! — zaprzeczyła Roane z wybuchem nieklamanej wściekłości. —

Nie bardziej niż my, kiedy programują nas przez te wszystkie reguły i zakazy w centrum szkolenia. Gdyby nie mieli koron, gdyby tamte maszyny nie pracowały, byłiby wolni... Są istotami ludzkimi!

— A jednak nie. — Nadal ścisnął ją tak boleśnie, że robiły jej się siniaki. — Oni odgrywają życia, jakie zaprogramowały dla nich maszyny. I to nie jest nasza sprawa. Jeżeli Służba po otrzymaniu naszego raportu zdecyduje, że należy w to ingerować, to co innego. Ale teraz to nie nasze zmartwienie. Więc jak, idziesz, czy mam użyć paralizatora?

Dalszy opór był bez sensu. Wiedziała, że Sandar spełniłby swoją groźbę co do joty.

— Idę — odparła niechętnie.

Nie puścił jej ramienia, lecz pociągnął z powrotem do szerszego korytarza, gdzie zalał ich strumień światła z promiennika. Usłyszała, jak wuj oddycha z ulgą.

— Szybciej!

Nie spytał Sandara, gdzie był ani co robiła Roane. Promiennik odwrócił się w drugą stronę, wskazując drogę do wyjścia. Kuzyn pchnął ją nieskrywaną wściekłością.

Kiedy wyszli na otwartą przestrzeń, opary mgły kładły się plamami cienia pod drzewami i rozciągały nad okolicą. Żaden z jej towarzyszy nie zawahał się, lecz ruszyli ostro, prosto w kierunku obozu, mijając bez słowa mężczyznę porażonego przez Roane. Sandar ciągle ją przytrzymywał, jakby bojąc się, że zechce spróbować ucieczki.

— Deformatory wysiadły, z wyjątkiem jednego — Sandar dokonał odczytu na przyrządzie u pasa.

— Można się było tego spodziewać. Nie były doładowane — odpowiedział krótko wuj. — Im wcześniej znajdziemy się w kosmosie, tym lepiej. Nie wiem, jaki będzie efekt twoich głupich wyczynów — zaszczycił Roane jednym z tych lodowatych spojrzeń, którymi zwykł ją poskramiać w przeszłości. — Możemy tylko mieć nadzieję, że zdołamy wystartować bez pełnego odpalania.

A co z aparaturą? — Zadanie tego pytania było aktem bohaterstwa ze strony Roane. Nigdy, jak sięgała pamięcią, nie odważyła się zapytać o cokolwiek, kiedy wuj był na nią wściekły. — Czy my... czy Służba po prostu ją zostawi? Tak nie można! Sandar mówi, że wszyscy tutejsi ludzie są od niej uzależnieni, że robi z nich marionetki. To wbrew postanowieniu Czterech Naczelnych...

— Zamknięte planety, jak ci wiadomo, nie podlegają Naczelnym Prawom. Co postanowi Służba po otrzymaniu raportu, to już nie nasz problem.

Powiedział to tonem świadczącym o tym, że zakończył temat, a Roane wiedziała, że dalsza dyskusja byłaby idiotyzmem. Niemniej jednak pozostał w niej lęk przed tą złowieszczą aparaturą.

Psychokraci na siłę poddawali ludzi z nieznanymi światów eksperymentom. A kiedy ich potworne panowanie zostało ostatecznie przerwane, a ich „króliki doświadczalne” ze zniewolonymi umysłami oswobodzone, efekty ingerencji w ludzki umysł, jak i uwolnienia od niej stanowiły, obecnie już od dwóch pokoleń, okrutne ostrzeżenie dla całego rodzaju ludzkiego. Nawet jeśli przez kontakt z Ludoriką czy pułkownikiem została wciągnięta w pajęczynę oplatającą Clio i zatraciła częściowo wolę i osobowość, to i tak pałała niepohamowanym gniewem na myśl o tak koszmarnym manipulowaniu istotą ludzką. Tak jak ludzie z Clio byli uwarunkowani do podporządkowywania się rozkazom; maszyn zainstalowanych przez ich ciemniźcicieli całe pokolenia wstecz, tak ona posiadała oręż do walki z takim oddziaływaniem. Sandar mógł ich nazywać marionetkami, którymi może z technicznego

punktu widzenia faktycznie byli; lecz Roane miała okazję żyć wśród nich. I wiedziała, że byli prawdziwymi ludźmi, o wiele cieplejszymi i serdeczniejszymi z natury od tych dwóch, którzy teraz szturchali ją i lajali.

Pozostawić wszystkie ważniejsze decyzje Służbie — bezpieczne, zdroworozsądkowe podejście. Lecz jeśli pozostawi się to rozstrzygnięciom ludzi oddalonych stąd o pół galaktyki, jak prędko zareagują, o ile w ogóle to zrobią? Niewątpliwie zbyt późno, by ocalić pułkownika! Wierzyła, że Reddick zrobi dokładnie to, co zapowiedział, i dopilnuje, Nelis Imfry został wyeliminowany.

A księżniczka z Koroną... Jest teraz zupełnie inną osobą, niemal do gruntu złą. Ludorika zasługuje na coś lepszego niż takie poddaństwo. Przez całą drogę myśli Roane krążyły wokół tego jednego smutnego tematu. Była przekonana, że w chwili obecnej nie podlega już temu zadziwiającemu wpływowi, jaki wywierała na nią księżniczka. Mimo to w żaden sposób nie mogła się oderwać od mrocznej przeszłości Reveny i nowej królowej.

Sandar wepchnął ją do ziemianki i poszedł pozbierać deformatory. Wuj Offlas traktował ją jak powietrze i udał się prosto do komputera, sprawdzić, czy podczas ich nieobecności zarejestrował jakieś informacje bądź rozkazy. Popatrzył, po czym zaczął stukać palcem po klawiaturze maszyny, jakby ten gest mógł przywołać jakąś odpowiedź. Roane domyśliła się, że nic nie nadeszło.

Potem usiadł i wyjął magnetofon. Już miał wcisnąć przycisk, gdy zauważył, że urządzenie jest zablokowane. Po raz pierwszy od momentu opuszczenia jaskini odwrócił się i spojrzał na nią.

— Coś tu jest nagrane.

Choć było to raczej stwierdzenie, niż pytanie, odpowiedziała:

— Ja to zrobiłam, po powrocie do obozu.

W tym samym momencie zatlila się w niej maleńka iskierka triumfu. Nie mógł wymazać tego, co nagrała, gdyż taśma była zablokowana według kolejności numeracji.

Nawet się nie skrzywił. Co dziwniejsze, w wyrazie jego twarzy pojawił się cień zainteresowania, jakby miał do czynienia z jakimś drobnym odkryciem.

— I co nagrałaś? Swoje wściubianie nosa w cudze sprawy?

W jego tonie nadal nie wyczuwało się chłodu. Wyglądało na to, że jest prawdziwie zaintrygowany. Podniosło ją to nieco na duchu. Może się okazać, że to, co umieściła w nagraniu, będzie miało jakiś wpływ na przyszłą doniosłą decyzję. Chociaż nie mogło w żaden sposób pomóc w tym, co działo się w chwili obecnej. Poruszyła się niespokojnie. Myśl o Imfrym, takim, jak go widziała po raz ostatni — rannym, spętanym, zdanym całkowicie na łaskę wroga — była nieustającą podniętą do działania. Lecz jak, kiedy i gdzie?

— To, co mi się przydarzyło — odparła. Następnie zebrała całą zyskaną ostatnio odwagę i po raz drugi poprosiła: — Oni... Książę Reddick... zamierza zabić pułkownika. Księżniczka jest przez niego sterowana. Tak jak na taśmach z baśniami, tych o złych kłątwach. Pułkownik jest jej przyjacielem, a mimo to rozkazała go zgładzić. Ale ona nie działała świadomie... to sprawka

tej maszyny! Nie możemy jej pozwolić, żeby to zrobiła...

Spodziewała się, że wuj utnie temat jednym słowem. On jednak nie przestawał się w nią wpatrywać z rosnącym zainteresowaniem. Lecz to, co z początku wydawało jej się zachętą, okazało się czymś zgoła innym. Otóż obserwował ją, jakby ona stanowiła część tamtej instalacji a on był zafascynowany jej reakcjami. W tym momencie uświadomiła sobie, że jeśli można by cokolwiek zrobić żeby zmienić tragiczny stan rzeczy na Clio, to musi to zrobić sama.

— Lubisz tych ludzi, czujesz pewne pokrewieństwo z nimi?

— Tak.

— Cóż, przeszłaś ostatnio intensywne szkolenie. To mogłoby wyjaśniać, dlaczego jesteś bardziej podatna na wpływ silnie warunkujących emisji, nawet jeśli są obcego pochodzenia. Istnieją niezbite dowody, że ta aparatura tutaj dokonuje transmisji w języku Basic, jak również transmisji specjalistycznych. Sądzę, Roane, że kiedy już złożysz zeznania; okaże się, że Służba przyjmie takie wyjaśnienie twoich bez precedensowych poczynań. W gruncie rzeczy — zapalał coraz bardziej do tego nieprzyjemnego strumienia myśli mogłabyś im dostarczyć na ten temat dodatkowego potwierdzenia. Lecz jeśli chodzi o twoje dalsze ingerowanie w tutejsze sprawy, musisz zrozumieć, że koniec z tym. To nie podlega żadnej dyskusji.

— Po pierwsze — ciągnął — zatrzymanie którejkolwiek z tych maszyn, zakładając oczywiście, że znaleźlibyśmy to sposób, spowodowałoby przerwanie wzorów układany przez światełka na maszynach od paru setek lat, a możliwe, że ludzie z Clio są tak uzależnieni od ich wpływu, iż zniesienie kontroli mogłoby być fatalne w skutkach. Czy pomyślałaś o tym?

Roane zamrugwała. Nie, o tym nie pomyślała. Nie przyszło jej do głowy, że pozbawieni sterowania przez maszyny, tutejsi ludzie mogą się kompletnie zagubić, że nie potrafią samodzielnie żyć i decydować. Wiedzieli co nieco o tym, jak Psychokraci manipulowali swoim ludzkim materiałem doświadczalnym, lecz nie wiedzieli wszystkiego. Cierpliwe, metodyczne rozprogramowanie to jedno; gwałtowne i całkowite odcięcie od maszyn, to drugie. Należało stopniowo wyciągać Clio z kłopotów. Drastyczne, jednorazowe posunięcie mogło wywołać katastrofę. Roane przypomniała sobie opowieść Ludoriki o kraju, którego korona została zniszczona.

— Arothner...

— Co?

— Było takie nadmorskie państwo... — powtórzyła mu w skrócie opowiadanie księżniczki.

Wuj Offlas skinął głową.

— Widzisz, korony bezpośrednio kontrolują rządzących i, być może, pośrednio większość z rządzonych. Zniszczysz koronę, a ludzie staną się jak marionetki pozbawione poruszających je sznurków. Ta „Lodowa Korona” była zagubiona przez kilka pokoleń, lecz ciągle istniała. Proces transmitowania wzorów przez maszyny został przerwany. Mogło być tak, że kiedy księżniczka znalazła Koronę, nastąpiła nagła zmiana, mająca na celu zrekompensowanie krzywd i doprowadzenie kraju na powrót do przeznaczonej mu przyszłości. Ten gwałtowny zwrot może być wynikiem jakiejś takiej konieczności...

— Konieczności! — przerwała mu Roane. — Pozwolić Reddickowi dyktować... A ona była całkowicie odmieniona... zła... Możesz mi nie wierzyć, ale to już nie ta sama dziewczyna! A jeśli chodzi o wzór — czyż nie jest prawdą, że eksperyment w zamkniętych światach polegał na tym, że stworzono im podstawową bazę, a potem pozwolono na tej bazie wypracowywać własne losy? Że jedynym celem tego eksperymentu było obserwowanie, co z tego wyniknie?

— Tak sądziliśmy aż do momentu, kiedy odkryliśmy tutaj tę aparaturę. Wygląda jednak na to, że byliśmy w błędzie. Przyjechaliśmy po pozostałości po Prekursorze, a znaleźliśmy prawdopodobnie coś równie wartościowego. Wszystko wskazuje na to, że nie chodzi tu o podstawową kontrolę ludzkich zachowań, lecz o samonapędzający się eksperyment.

Wrócił do magnetofonu.

— Muszę nagrać na taśmę wszystko, czego się dowiedzieliśmy. Pamiętaj, żadnego więcej wtrącania się. Jeśli się nie zastosujesz do mojego polecenia — jego głos stał się ponownie lodowaty — będziemy zmuszeni cię unieruchomić do momentu, aż nie znajdziemy się z powrotem na statku. Żadnych działań ponad to, co jest konieczne do dalszego prowadzenia naszej misji. Zostaw swój pas tutaj — wskazał na znajdujący się przed nim blat.

A więc odbiera jej wszelkie środki do jakiegokolwiek swobodnego działania. Nacisnęła zatrzask pasa. Kiedy kładła go przed nim, dodał:

— Lepiej przynieś coś do jedzenia. Podwójne porcje.

Niemrawo ruszyła wykonać jego polecenie. Dobre samopoczucie po zabiegu w odświeżalni zaczynało mijać. Nawet jeśli zdołałaby teraz jakimś dziwnym trafem wydostać się z obozu, nie starczyłoby jej sił, by dojść do Hitherhow. Zresztą co przyszkłoby jej z buntu, jeśli nie ma nawet paralizatora?

Wyjęła tubki i pojemniki. Podwójne porcje? Przez moment odbiegła myślami od swoich problemów. Słyszała, jak wszedł Sandar. Z wyladowaną po brzegi tacą wróciła do komputera.

— Nie rozumiem ich milczenia. Żadnej odpowiedzi na nasz pilny sygnał. Niemożliwe, żeby przzerwali orbitę! A gdyby nawet nastąpił taki kryzys, nadaliby ostrzeżenie na antenie kierunkowej. — Wuj Offlas znów stukał w klawiaturę komputera.

— Został jeden deformator na około jednej czwartej mocy — Sandar ustawiał skrzynki w stos na podłodze. — Reszta nie działa. Gdzieś musi być wyciek energii! Niemożliwe, żeby się tak szybko wyczerpały...

— Nic nie wiemy o tamtej aparaturze. Zupełnie możliwe, że czerpie moc z każdego źródła w pobliżu.

— Jeżeli rzeczywiście tak jest — powiedział żywo Sandar — to można by to wykorzystać w drugą stronę. Chcę powiedzieć, że moglibyśmy się do niej podłączyć i czerpać z niej energię, a może nawet zbudować prawdziwą ścianę mocy, żeby wytrzymała do momentu, aż nadejdzie sygnał odwrotu.

— Zbyt ryzykowne — potrząsnął głową jego ojciec. — Ale poddałeś mi pewną myśl. Nie możemy teraz naładować deformatorów bez zagrożenia dla transmisji naszego komputera. A pozostawanie w tym obozie bez zabezpieczenia... Nie podoba mi się to.

— Może lepiej opuścić ziemiankę i poszukać lepszej kryjówki — podsunął Sandar.

— Dobrze by było. Chyba że wkrótce otrzymamy odpowiedź.

— Jak dotąd las w okolicy jest czysty — oznajmił Sandar.— Moglibyśmy wrócić do jaskini i ustawić w jej wejściu ten ostatni deformatsor. Tamci mają już swoją koronę. Nie sądzę, by wrócili.

Roane rozdzieliła żywność i wzięła swoją porcję. Z tubką i dwoma małymi pojemnikami udała się do swojej kwatery. Ogarniała ją tak przemożna senność, że z trudem unosiła opadające powieki. Ledwo zdążyła przełknąć ostatni kęs, przegrała walkę ze zmęczeniem i zasnęła.

Sny nie były niczym nadzwyczajnym. Ludzie często śnili. W marzeniach sennych Roane wędrowała już po tak wielu dziwnych miejscach, niektórych o wiele dziwniejszych niż obce światy widywane na jawie. Lecz ten sen był najbardziej żywy i „prawdziwy” ze wszystkich, jakie pamiętała, choć była w nim tylko obserwatorem.

Było to tak, jakby przeszła przez zasłonę snu do podobnego pokoju, jaki widziała w posiadłości ambasadora w Gastonhow. Były tam krzesła z wysokimi, bogato rzeźbionymi oparciami, częściowo inkrustowanymi metalem, a częściowo zdobionymi zatartymi przez czas malowidłami, przedstawiającymi fantastyczne sceny. Większy fragment ściany za nimi pokryty był gobelinem, na którym mężczyźni dosiadający dwurożców polowali na jakąś niewidoczną dziką zwierzęcą pomiędzy rachitycznymi drzewkami. On również sprawiał wrażenie wyblakłego od upływu lat.

Mimo to jawił się tak wyraźnie przed oczyma Roane, jakby stała tam we własnej osobie. Przed nią był długi stół z czerwonego kamienia, na którego powierzchni majaczyła gmatwanina poplątanych zielonych linii. A na nim stał talerz ze złota. Obok leżał zestaw sztućców, składający się z noża, dwuzębego widelca i łyżki, wszystko wykonane z kryształu i przepasane złotymi pierścieniami, w których umieszczono małe, zielone drogocenne kamienie.

W dość dużej odległości od tego kompletu znajdował się drugi. Lecz tu talerz był srebrny i sztucce wykonane z tego samego materiału, z rączkami w czerwieni. Wszystko nacechowane było bogactwem koloru, które rozgrzewało Roane jak wcześniej otoczenie w Gastonhow, choć niewątpliwie było bardziej prymitywne niż wyrefinowana pompa jej własnej cywilizacji.

W pomieszczeniu nie było mieszkańców, lecz panowała w nim atmosfera wyczekiwania. Roane była dojmująco świadoma, iż za chwilę wydarzy się coś ważnego. Czekala z rosnącym podnieceniem.

Do pokoju wszedł tyłem jakiś człowiek w bogato haftowanym płaszczu, kłaniając się nisko przy każdym kroku osobie, którą uroczyście wprowadzał przez portal. W jednej ręce niósł buławę i co jakiś czas uderzał nią o podłogę. Nie towarzyszył jednak temu odgłos stukania i nagle Roane uświadomiła sobie, że nie słyszy żadnego dźwięku, jakby oglądała film bez fonii.

Pojawiła się teraz ta, którą odzwierny wprowadzał z takimi honorami. Idąc, raz po raz poprawiała oszczędnym gestem ręki obfite fałdy spódnicy. W drugiej ręce trzymała płaski wachlarz z purpurowych piór, umocowanych na wysadzanej klejnotami rączce.

Spódnice i obcisły stanik, wydekoltowany tak mocno, że odsłaniał ramiona, były w odcieniu

głębokiej purpury, a koronki zdobiące stanik były czarne, przetykane srebrem. Na szyi miała szeroki naszyjnik z niezliczonych kryształków, a w uszach kolczyki wystające spod misternie upiętej fryzury. Cała biżuteria, łącznie z małym diademem we włosach, była z czarnych, błyszczących kamieni. Nie było mowy o pomyłce. Osobą, która tak majestatycznie wkroczyła do pokoju, była królowa Ludorika.

Za nią podążały dwie damy w szarych sukniach przybranych jednolicie czarnymi koronkami. Wokół szyi miały wstążki w tym samym kolorze, a głowy nakryte koronkowymi czarnymi welonami. Całość tworzyła, jakby celowo, dość przygnębiający efekt.

Jedna z nich zajęła pozycję przy stole naprzeciw królowej, podczas gdy druga została przy drzwiach. Po chwili pojawił się piąty członek towarzystwa — księżę Reddick.

Jego strój był również purpurowy, w odcieniu bardziej stłumionym niż u królowej. Obszedł stół wokół, wysunął dla niej krzesło i usadził z całym ceremoniałem, po czym sam zajął miejsce w pewnej odległości od niej.

Dama czekająca przy drzwiach odebrała tacę od kogoś z korytarza i zaniósła ją swojej towarzysze przy stole. Ta z kolei wzięła z niej dwie fantazyjne filiżanki w kształcie tych groteskowych zwierząt, które Roane widziała w ogrodzie w Hitherhow. Napelniła je z dzbanka i postawiła ostrożnie na stole, po czym dotknęła każdą lekko z boku. Metalowe stopki pojemników drgnęły i filiżanki ruszyły statecznym marszem jedna do Ludoriki, druga do księcia.

Przyniesiono drugą tacę zjedzeniem i królowa, a po niej Reddick, zostali obsłużeni z wielkim ceremoniałem. Jedli i pili. Ich wargi się poruszały, co świadczyło o tym, że rozmawiają, lecz dla Roane scena ta rozgrywała się w całkowitym milczeniu. Wędrujące filiżanki były dwukrotnie wysyłane do ponownego napełnienia.

Potem talerze uprzątnięto, a królowa i ten, który był niegdyś jej największym wrogiem, siedzieli w niczym nie zmaconej zgodzie. Reddick wyjął z zanadru tuniki zwój papieru i rozłożył go na stole. Roane nie mogła odczytać napisanych na nim słów, lecz widziała czarne litery i szkarłatno-czarne wstążeczki, przypięczone u dołu arkusza nieregularną plamą purpury w odcieniu sukni Ludoriki.

Królowa odchyliła się na krześle, wachlując się powolnymi ruchami purpurowych piór. Całe ożywienie, spontaniczne reakcje, jakie Roane widywała na jej twarzy, zniknęły. Jej oblicze było maską pod trefionymi i upiętymi włosami. Nawet oczy miała na wpół przymknięte, jakby powieki i długie rzęsy miały za zadanie ukryć myśli i uczucia.

Wargi Reddicka poruszyły się. Widocznie czytał na głos to, co było napisane na zwoju. W końcu podniósł wzrok i spojrzał prosto na Ludorikę. Roane wydawało się, że oczekuje jakiegoś protestu lub przynajmniej komentarza z jej strony.

Jeśli tak było, spotkał go zawód. Ludorika dała znak wachlarzem i z cienia wyłonił się odzwierny, który ją wprowadzał. Zabrał zwój od księcia i zaniósł go na miejsce przed królową.

Nie rozwinęła go. Wszystko wskazywało na to, że nie jest zainteresowana jego treścią ani tym, czego chciał od niej Reddick. Prawdopodobnie zniecierpliwził się, gdyż Roane zobaczyła, że

jego wargi znów się poruszają.

Ludorika coś mu odpowiedziała. Były to pierwsze słowa od chwili wejścia do komnaty. Jej maski nie zmałcił żaden cień emocji. Natomiast na policzkach księcia wykwitł lekki rumieniec. Jeśli był to wybuch gniewu, to mężnie stłumił inne jego oznaki.

Skarciwszy księcia, królowa odłożyła wachlarz i rozpostarła oburącz zwój. Chyba ponownie odczytała, co było na nim napisane, gdyż siedziała tak przez kilka długich chwil.

Potem znowu przemówiła. Jedna z usługujących dam podeszła do niej z małą tacą, na której stało pudełko. Dama otworzyła je przed podaniem królowej. Jego zawartość przypominała lity czarny kamień. Ludorika uniosła prawą rękę, przycisnęła mocno kciuk najpierw do niego, potem do papieru, pozostawiając wyraźny odcisk. Następnie zanurzyła rękę w podsuniętej pospiesznie przez damę miseczce i umyła palec do czysta.

W lewej ręce nadal trzymała rozwinięty rulon. Kiedy Reddick podszedł, by odsunąć jej krzesło, zwinęła go ponownie. Wstając odłożyła go na stół i tam zostawiła.

Minęła kuzyna jakby był powietrzem i opuściła pokój. Książę złapał zwój i wepchnął go na powrót w bezpieczne miejsce za pazuchą, po czym podążył za nią.

Roane poruszyła się, a może usiłowała się poruszyć. Obserwowała bardzo realistyczną scenę, która niosła z sobą przekonanie, że oto przez jakiś niesamowity przypadek została rzucona do pałacu Ludoriki, gdzie była świadkiem jakiegoś strasznego aktu. Lecz dlaczego i jak...

Pokój nagle zniknął. Zamiast niego przed jej oczyma pojawiła się przez mgnienie oka pojedyncza twarz. Ta twarz miała ją prześladować...

— Roane!

Ktoś nią brutalnie potrząsał, wrywając z tego stanu, który wydawał się niepodobny do normalnego snu.

— Nelis!

Czy zawołała to głośno? Miała nadzieję, że nie.

Otworzyła oczy. Sandar właśnie próbował wyciągnąć ją z łóżka, i to on tak nią potrząsał. Lecz to nie Sandar był częścią...

— Roane! Obudź się, słyszysz? Obudź się!

Ostatnie szarpnięcie było tak silne, że głowa opadła jej na ramiona. W końcu musiała pogodzić się z tym, że wróciła z tamtego dziwnego, odległego miejsca. Leżała w swojej kabince w obozie, a jej zniecierpliwiony kuzyn nie patyczkując się przywracał ją do rzeczywistości.

— Haabacca wysyła nas na Mglawicę! — wykrzyknął. Zaciągnij się tym, to odzyskasz jasność umysłu! — Jedną ręką pchał jej głowę do przodu, a drugą, zaciśniętą do tej pory w pięść, otworzył tuż pod jej nosem. Miał w niej zmiażdżoną kapsułkę. Roane wciągnęła w płuca wydobywające się z niej opary. Po kilku wdechach rozjaśniło jej się w głowie.

— Co się dzieje? — spytała nadaśana.

Była zła, że przerwał jej ten sen. Pomimo całej złowieszczej wymowy, pragnęła go

zatrzymać, szczególnie tę ostatnią scenę, ponieważ sen, który raz odejdzie, jest czymś, co odeszło na zawsze.

— Wynosimy się stąd. — Wstał. — Ojciec pozwolił ci spać najdłużej, jak to możliwe. Ale teraz jesteśmy gotowi do opuszczenia obozu. Zbieraj swoje manatki i pospiesz się!

Wyczołgała się ze śpiwora i zwinęła go z wprawą nabytą przez lata praktyki w pakiecik pasujący do kieszeni w ścianie. Cała reszta została już starannie wymieciona. Wuj i Sandar musieli się nieźle uwijać, gdy ona spała. Spała i śniła.

A z tego snu wyniosła przekonanie, że była świadkiem prawdziwego wydarzenia. Nelis Imfry — jego ta sprawa dotyczyła najbardziej. Zwój wyjęty przez Reddicka i podpisany przez królową oraz tamto ostatnie mignięcie pochylonej śniadej twarzy, nim się przebudziła szarpana przez Sandara, były związane ze sobą jak magiczne perły w naszyjniku.

Magiczne perły? Roane przerwała zamykanie kieszeni. Jasnowidzenie? Przecież ona nie miała żadnych nadprzyrodzonych zdolności. Czyż wuj Offlas nie kazał jej przebadac pod tym kątem dawno temu? Postrzeganie pozazmysłowe jest bezwartościowe dla archeologa. Wsteczna hipnoterapia mogła być wykorzystywana przez co wrażliwszych do lokalizowania miejsc wykopalisk. Byli tacy, którzy trzymając w ręku diadem z magicznych pereł potrafili odczytać autentyczną przeszłość. Lecz ona do nich nie należała. Zatem skąd wiedziała, że dokonała tego teraz? I w jaki sposób uzyskała takie moce? Czy stało się to za sprawą tego samego subtelnego wpływu, który przyciągnął ją do księżniczki i zmusił do służenia jej? Lecz dlaczego teraz ten wpływ miałby kierować jej zainteresowanie na inną osobę?

Roane przysłoniła oczy ręką. Próbowwała myśleć normalnie, sprzeciwić się tej nowej presji. Nie, nie ulegnie... Nie chce! Nie pozwoli również, by aparatura ją wykorzystywała. Lecz chyba nie w tym rzecz! Aparatura sterowała teraz królową, która posłusznie robiła dokładnie to, co było wbrew jej poprzedniej woli.

Czy to możliwe, że ona sama jest teraz marionetką? Ale czyją?

— Roane, idziemy! — Sandar stał przed nią. — Co jest, potrzebujesz następnej dawki pobudzającej inhalacji?

— Nie!

Nie potrzebowała niczego prócz odrobiny spokoju, jasności umysłu i sposobności, by pomyśleć. Nie była jednak pewna, kiedy te trzy warunki zostaną spełnione.

Po zlikwidowanym obozowisku pozostała jedynie sterta spakowanego, zwalonego na kupę sprzętu. Zamaskowali go tak dokładnie, że był prawie niewidoczny. Jedynie jakiś leśny wędrowiec, który potknąłby się o złożone paczki, zauważyłby ich istnienie. Na odchodnym zabrali ze sobą tylko najniezbędniejsze rzeczy i zapasy jedzenia, po czym wszyscy troje ruszyli do jaskini.

U jej wejścia starszy z Keilów zainstalował emiter fal odpychających i opieczętował go odciskiem własnego kciuka, żeby nikt inny nie mógł go wyłączyć. Przez cały czas miał przy sobie pas Roane, a bez niego dziewczyna była zupełnie bezradna. Jej położenie było teraz równe położeniu więźnia przykutego łańcuchem z obrozą, gdyż bez niego nie mogła opuścić jaskini, podobnie jak inni nie mogli do niej wejść. W pasie był bowiem antynadajnik niwelujący promieniowanie emitera.

Stwierdziwszy, że przymusowe pozostawanie w ukryciu nie powinno być pretekstem do marnotrawienia czasu, wuj zabrał Sandara i udali się do komnaty z aparaturą. W zlikwidowanym obozie zostawili nadajnik naprowadzający, by ułatwić ratownikom z kosmosu dotarcie do miejsca ich aktualnego pobytu.

Roane podążyła śladem mężczyzn, czuła jednak że widok ukoronowanych kolumn dziwnie ją denerwuje. Czy unicestwienie tych mechanicznych nadzorców rzeczywiście może spowodować upadek Clio, sprowadzając na powrót ogólnoplanetarny chaos i śmierć ludzi, manipulowanych przez pokolenia jak marionetki? A może... Wszystko to były jednak pozbawione racjonalnych podstaw spekulacje. Coś pewnego będzie można powiedzieć dopiero po skrupulatnych badaniach przeprowadzonych przez fachowców wyszkolonych do zajmowania się takimi przypadkami. A takie badania mogły potrwać całe lata planetarne.

Roane oparła głowę o ścianę i zamknęła oczy. Odkryła, że potrafi wydobyć z pamięci każdy szczegół tamtego snu — o ile to był sen — od blasku kolorów, kruszców, sukien, poprzez wyszukany ceremonial posiłku, aż po wyraz lub brak wyrazu twarzy tych, którzy grali główne role w tej scenie.

Czas. Podrapane dłonie dziewczyny zacisnęły się w drobne piąstki. Zbyt drobne, by zdołała nimi utorować sobie wyjście. Czas ją pokona. Wystarczył jeden rzut oka na ganek między rzędami kolumn, gdzie stał wuj Offlas z jej pasem przerzuconym przez ramię. Czas płynie, a ona nie ma żadnego planu...

Rozboliła ją głowa, a monotonny warkot maszyn z każdą chwilą potęgował ból, doprowadzając do tego, że stał się nie do wytrzymania. Obaj mężczyźni skupili się na obserwacji gry światełek na ekranach kolumn. Westchnęła ciężko i wróciła do wejścia jaskini, gdzie zostawili swoje pakunki.

Było jeszcze to drugie wejście do podziemnych korytarzy, wyrąbane przez ludzi Reddicka. Jednak wuj Offlas nastawił emiter na podwójne działanie, tak że tworzył drugą zaporę, sięgającą poza komnatę z systemem instalacji. Nie — Roane wiedziała, że to beznadziejne. Mimo to zaczęła niemal bezwiednie manipulować przy zamknięciach pakunków i przyświecając sobie małym promiennikiem wykladać ich zawartość na ziemię.

Jedzenie — mnóstwo racji żywnościowych, dobrze wyposażona apteczka, zapasowe baterie do promienników i paralizatorów... Nic, co mogłoby się przydać.

Upchnęła wszystko z powrotem do bagażu wuja Offlasa. Zawartość własnego znalazła na pamięć. Pozostał jeszcze plecak Sandara. Sięgnęła po niego bez większej nadziei.

Kolejny promiennik... czy... Obróciła podłużny przedmiot w dłoniach i z dreszczykiem emocji przysunęła bliżej światła. Nie był to ani promiennik regulacyjny, ani zakazany miotacz promieni, lecz narzędzie do prac archeologicznych, łączące w ograniczonym stopniu właściwości ich obu. Przyjrzała się dokładnie przyciskom programującym umieszczonym na głowicy, po czym odkręciła nakrętkę komory przeznaczoną na baterie. Och, gdyby tak... gdyby tylko...

Drżącymi z emocji rękoma ponownie opróżniła pośpiesznie wszystkie trzy torby, wyrzucając ich zawartość na kamienne podłoże. Po chwili leżały przed nią ułożone rzędami trzy komplety baterii — jedno do paralizatorów, drugie do dwóch rozmiarów promienników. I... trzy z tych ostatnich pasowały! Jedna taka bateria nie wystarczy do uzyskania najwyższej mocy działania narzędzia, lecz zasili je wystarczająco, by można było z niego korzystać. Co prawda nie na tyle, by odeprzeć atak uzbrojonego człowieka, ale nawet przy tym spowolnionym działaniu w jej sytuacji to skarb!

Przysiadła na piętach. Pozostawało jeszcze pokonanie barier promieniowania emitera. Uniosła promiennik i omiotła strumieniem światła sufit jaskini nad miejscem, gdzie stało nieszczęsne urządzenie. To, na co się porywała, było przedsięwzięciem tak ryzykownym, iż prawdopodobieństwo porażki znacznie przewyższało szansę na powodzenie, lecz nie widziała innego wyjścia. Poza tym potrzebowała na to nieco czasu...

Zatrzymując światło promiennika nieruchomo w jednym punkcie, nacisnęła kciukiem narzędzie i skierowała w oświetlone miejsce jego energię, poruszając nim jednocześnie precyzyjnie w taki sposób, by wyciąć w skale koło.

I rzeczywiście — urządzenie kroilo, lecz niesłychanie wolno! Ponadto wyraźnie wyczuwała ręką silne drgania, co świadczyło o zużywaniu ogromnej ilości energii. Bateria może się wyczerpać na długo przed zakończeniem całej operacji i jej plan spali na panewce. Mimo to pracowała dalej.

Na emiter zaczął się sypać deszcz kamiennych okruchów wygryzanych przez promień. Pokrzepiona na duchu Roane postanowiła pójść na całość i cisnąc z całej siły guzik zataczała na suficie krąg wykorzystując maksymalną intensywność promieniowania. Skala wyraźnie pękała.

Roane przesuwiała się w tył i w przód, tkając promieniem labirynt pęknięć i nacięć. W powietrzu było gęsto od kurzu, a spadające odłamki skał były coraz większe. Blokader miał obudowę ochronną. Być może nie uda jej się wykroić tak dużego kawałka skały, by ją zmiażdżyć, lecz już przez samo przysypywanie urządzenia zmuszała je do zużywania pewnej ilości energii na samoochronę. A przecież i tak było nastawione na maksymalną moc. Wuj Offlas musiał to zrobić, żeby uzyskać dwie ściany zaporowe — tutaj i w dole korytarza.

Drażnić, drażnić. Spadające kamienie były coraz większe. Roane oświetliła promiennikiem tablicę ze wskaźnikami na emiterze. To, co odczytała, dodało jej otuchy. Strzałka zbliżała się do czerwonej strefy ostrzegającej o przeladowaniu. Niemal jednocześnie od sufitu oderwał się

spory kawałek skały, może wielkości jej dwóch pięści, i spadł z loskotem na dół.

Błysk z emitera i unoszący się wokół kwaśny odór. Skruszone! Zmiażdżyła obudowę!

Aż do tej chwili do działania pchała ją tylko nadzieja. Nadzieja i desperackie pragnienie czynu, wywodzące się z tamtego snu. Rozkręciła tubę i zmieniła baterię w narzędziu.

Zrobiwszy to, schowała je za pazuchę kaftana i zabrała się do sporządzania małego zawiniątka: żywność, apteczka, trzecia bateria do jej narzędzia—broni, promiennik, para soczewek noktowizyjnych. Zrobiła z tego wszystkiego węzełek i dopiero wtedy zastanowiła się poważnie nad dalszymi krokami.

Przez moment stała w ciemnościach jaskini, nasłuchując. Do jej wyczulonych uszu docierał jedynie jednostajny pomruk pracującej aparatury. Nie dopuszczała nawet myśli, że może się natknąć na któregoś z wracających mężczyzn. Uświadamiała sobie jedynie, że jeśli teraz odejdzie, będzie to wybór ostateczny. I to wszystko z powodu jakiegoś snu? Nie wiedziała. Może to przez ten wpływ, który zawisł tu nad Clio, wypaczając jej zdolność logicznego rozumowania. Albowiem to, co powinna była uznać za zdrowy rozsądek, wskazywało jej wyraźnie jedyny właściwy sposób postępowania a przybysza z kosmosu. Tylko że... Roane potrząsnęła głową. Nie potrafiła nazwać uczuć, które powodowały, iż odcinała się od swego dotychczasowego życia, tak samo jak nie potrafiła oprzeć się ich presji.

Zabrała tobolek, włożyła soczewki noktowizyjne i przekroczywszy zniszczony emiter, wymaszerowała z jaskini ku nowemu życiu, czując, że jest ono jej przeznaczone — czy chciała tego świadomie, czy nie.

Była wolna, lecz co dalej? Dokąd teraz pójść? Jedynym miejscem, jakie przychodziło jej do głowy, było Hitherhow. Mając na sobie tutejszy strój (drugi kombinezon został w obozie), może zdoła dotrzeć do wioski i uzyskać jakieś informacje. W końcu była to posiadłość Reddicka i niewątpliwie ; tam właśnie wysłał swoich więźniów. O ile jeszcze żyją.

Wędrownica zajęła jej pół nocy. I znów, jak kilka dni wcześniej, wdrapała się na czworakach na szczyt wzgórza, skąd skulona obserwowała zamek i wioskę. Przy ulicy prowadzącej od masywnej bramy twierdzy do głównego traktu paliły się dwie latarnie. Natomiast wszystkie domy były ciemne. Zawahała się, gdyż dotarło do niej, iż jej plany są tyle idiotyczne, co niesprecyzowane, choć z drugiej strony coś pchało ją naprzód.

W trakcie tych wewnętrznych zmagani usłyszała dźwięk, który z całą pewnością nie należał do normalnych odgłosów nocy. Było to nasilające się, regularne dudnienie kopyt. Po chwili na zachodzie ukazały się dwa biegnące równym, szybkim tempem dwurożce. Kiedy wpadły na brukowaną wiejską uliczkę, ich tętent odbił się głośnie echem od zabudowań. Zatrzymały się dopiero przed bramą warowni.

Niezmaconą ciszę nocy zakłócił donośny głos rogu. Jeden z jeźdźców dał weń z całej mocy, lekceważąc wyraźnie spokój śpiących mieszkańców. Na dziedziniec wylegli ludzie. Dwóch z nich podbiegło do bramy, by wyjąć blokującą sztabę. Brama stanęła otworem, jeźdźcy wjechali, po czym jeden zeskoczył z siodła i ruszył pospiesznym truchtem do pierwszej wieży.

Mężczyźni na dziedzińcu rozproszyli się, odprowadzając zadyszane, spienione dwurożce.

Roane przewróciła się na plecy i ściągnęła soczewki, by popatrzeć na niebo. Zrobiło się bledsze. Widocznie jest później, niż sądziła. A ona, jak dotąd, nic nie działała. Trzeba zejść do wioski. Kiedy spojrziała na nią ponownie, w kilku oknach paliły się światła. Róg zrobił swoje i postawił mieszkańców na nogi.

Po chwili rozbłysły światła w oknach twierdzy. Zauważyła jakieś poruszenie... Z głównej wieży dobiegł grzmiący dźwięk, donośniejszy od poprzedniego, odbijając się echem od otaczających Hitherhow wzgórz. Mężczyźni formowali szeregi na bruku dziedzińca. W wiejskich domach pojawiało się coraz więcej świateł.

Roane naciągnęła na głowę kaptur, obwiązując go możliwie najciaśniej wokół twarzy. Był to jedyny sposób na zachowanie anonimowości po zejściu do wioski. Kolejny potężny ryk wzywającego do zgromadzenia się instrumentu podziałal na nią jak ostroga.

Kiedy zbliżała się do krótkiej uliczki, ludzie wylęgali już z domów, kierując się do zamku. Wielu z nich niosło latarnie. Brama na dziedziniec stała otworem, a z obu stron trzymały straż szeregi wartowników. Roane wmieszała się w tłum. Ze strzępów podsłuchanych rozmów dowiedziała się, że sygnał z wieży był nakazem stawiennictwa, który nie rozbrzmiewał od lat. Żaden z otaczających ją wieśniaków nie potrafił odgadnąć jego przyczyny.

— Wojna! To ci Vordainczycy... oni zawsze popatrywali zazdrośnie w naszym kierunku...

— Nieprawda, największe zagrożenie jest na zachodzie, w Leichstanie. Odkąd ich król ożenił się ponownie, byli wrogo nastawieni...

— A może to tylko jakaś proklamacja naszej królowej. Dopiero co zasiadła na tronie i...

— Proklamacja o tej godzinie! Wybraliby na to jakąś przyzwoitą porę, a nie wrywali człowieka z ciepłego łóżka w środku nocy! To musi być coś ważniejszego...

Roane przywiązała swój węzełek do paska, a soczewki noktowizyjne wepchnęła za pazuchę. Jej palce ślizgały się teraz po gładkiej tubie z narzędziem, jej jedyną bronią. Jeśli zajdzie konieczność jej użycia, będzie to wymagało nie lada zręczności.

Fala gęstniejącego tłumu przeniosła Roane przez bramę i pomiędzy szeregami wartowników, by w końcu postawić ją na wprost głównego wejścia do twierdzy. Potem róg zabrzmiał po raz trzeci, a pomruk zaintrygowanych głosów zamarł. Trzej mężczyźni pojawili się tak nagle, jakby zmaterializowali się z przestrzeni. Mieli na sobie takie mundury jak ludzie Reddicka, tyle że dodatkowo zdobyły je odznaki i szamerunki typowe dla oficerów. Jeżeli poprawnie rozszyfrowała oznaczenia, dwóch było w stopniu pułkownika, a stojący pośrodku musiał być jeszcze wyższy rangą.

Z jego ramion zwisał podróżny płaszcz, którego połę odrzucił niecierpliwie, rozwijając zrolowany dokument. Roane przygryzła mocno dolną wargę. Nawet z tej odległości wiedziała doskonale, co to jest. Ostatnim razem widziała ten papier w swoim śnie.

— „Do wiadomości wszystkich, którzy przysięgają wierność Lodowej Koronie Reveny — oficer miał donośny głos i czytał powoli i wyraźnie, jakby chciał, żeby każde pojedyncze słowo koniecznie dotarło do słuchaczy. — Wydane dnia dzisiejszego, miesiąca Martla, w trzysta pięćdziesiąt tym roku Strażniczek, za panowania królowej Ludoriki i z Wysokiego Domu

Setcher, Pierwszej Pani Reveny, uprawnionej do tego z racji Krwi i Korony. Niniejszym rozporządza się, że niejaki Nelis Imfry, z Domu Imfry–Manholm, zostaje pozbawiony rangi pułkownika w Sztapie Reveny, pozycji w Domu Manholm i wszystkich przywilejów przyznanych mu przez naszego ostatniego łaskawego pana, króla Niklasa, którego Strażniczki zabrały do siebie, by spoczywał w wiecznym pokoju.

Rzeczony Nelis Imfry, nie będąc dłużej członkiem Dworu, żadnego Domu, ani nie należąc do tych, którzy stają pod bronią dla Reveny, zostaje dodatkowo skazany na śmierć pisaną zdrajcom Korony, jako że udowodniono mu rozliczne akty haniebnej zdrady.

A wyrok ten ma być wykonany bezzwłocznie w twierdzy Hitherhow, gdzie rzeczony Nelis Imfry przebywa uwięzionej w wieży naszego ukochanego kuzyna i dostojnego lorda, księcia Reddicka. Podpisała i przypieczętowała, zgodnie z wolą Korony, z Prawa Krwi będąca u władzy — Ludorika, Miłościwie Panująca Królowa Reveny”.

Oficer energicznie zwinął na powrót rulon i wręczył go jednemu ze swych towarzyszy. Następnie uniósł rękę i przyłożył palce do odznaki, wyraźnie odcinającej się na jego piersi.

— Tak rzecze królowa! Niech się zatem stanie!

Otoczający Roane tłum powtórzył ostatnie słowa oficera, lecz w głosach ludzi nie było entuzjazmu, nie było nawet akceptacji, a jedynie niezbyt przychylne posłuszeństwo. Twarze ludzi wyrażały zdumienie, a niektóre wręcz oburzenie. Nastąpiło ogólne poruszenie, zewsząd padały pytania, choć tym razem zadawane stłumionym, podobnym do syku szeptem. Roane przepychała się na lewo, pragnąc niepostrzeżenie wydostać się ze zgromadzenia.

Nie miała pojęcia, co może zrobić, by zmienić bieg wydarzeń. Jednak uczucie, że musi pomóc Imfry’emu, zdominowało wszystkie inne myśli. Znajdowała się teraz na obrzeżach tłumy, blisko szeregu wartowników. Być może ustawiono ich tam, by powstrzymać zebranych od okazywania współczucia skazanemu, lecz Roane nie zauważała żadnych jawnych oznak demonstracji na rzecz pułkownika. Ludzie byli niezwykle poważni i nawet szeptu zamarły. Tylko raz w przeszłości Roane wyczuwała taką atmosferę strachu: na innej planecie, kiedy na oczach rzeszy zastraszonych wiernych odprawiano rytualny mord. To było zaraźliwe; odczuła taki sam dreszcz.

Wyprowadzali więźnia. Jego ramię spoczywało na temblaku, a w świetle latarni wymizerowana twarz wydawała się starsza, z kośćmi rysującymi się wyraźnie pod ściągniętą skórą, jakby w ciągu tych kilku godzin, które upłynęły od momentu, gdy widziała go po raz ostatni, minęło wiele lat. Szedł jednak pewnym krokiem, wyprostowany, nie rozglądając się, aż doprowadzono go do muru. Po jego parapecie szli strażnicy, taszczący jakąś dużą, niezgrabną konstrukcję, która zgrzytała i dzwoniła przy każdym pociągnięciu. Wreszcie przepchnęli to przez murek i spuścili na łańcuchach w dół, aż grzmotnęło o bruk.

W świetle latarni dało się wyraźnie zauważyć, że jest to klatka w kształcie cylindra z siatki rozciągniętej na metalowych obręczach. Mężczyzna, którego właśnie do niej wpychano, był od niej wyższy, więc kiedy już wpakowano go do środka nie mógł się wyprostować ani poruszyć. Trwał zgarbiony w dokuczliwej ciasnocie. Taka pozycja sama w była już torturą. Strażnicy zatrzasnęli drzwiczki i zasunęli rygle.

Potem zaczęto wciągać klatkę z powrotem na szczyt muru. Rozległ się zgrzyt wywołany tarcieniem metalu o kamień. Klatka odwróciła się do góry nogami, tak że zamknięty w niej człowiek był zwrócony twarzą do jaśniejącego już nieba. Wreszcie potworna konstrukcja dotarła na górę. Strażnicy zamocowali ją tam klinami, po czym wycofali się, jakby nie chcieli mieć z nią cielesnego kontaktu.

W pobliżu został tylko jeden wartownik, podczas gdy reszta; odmaszerowała, pozostawiając za sobą echo ciężkich kroków. Wieśniacy, wzdychając smutno, wychodzili gromadnie przez bramę, podążając w kierunku własnych domów. Roane zauważyła, że nikt nie podniósł oczu na klatkę. Sprawiali wrażenie, że nie chcą myśleć o tym, którego w niej zamknięto.

Dziewczyna wahala się. Czy powinna wyjść wraz z wieśniakami? Nie miała pojęcia, czy i jakie jeszcze męczarnie zaplanowano dla Nelisa. A może po prostu ma być wystawiony na widok publiczny, dopóki nie umrze z głodu i pragnienia? Przeszkolenie, jakie odbyła w zakresie obyczajowi panujących w Reveny, nie obejmowało szczegółów dotyczących obowiązujących tu kar. Doszła do wniosku, iż pozostawienie tylko jednego strażnika świadczy, że oprawcy Nelisa są przekonani o jego całkowitej bezradności w tej sytuacji. To spowodowało, iż podjęła błyskawiczną decyzję.

Wyjęła narzędzie i wymierzyła w ten jeden cel, który mógł stanąć jej na przeszkodzie. Oficerowie nadal stali w drzwiach wieży, a nad ich głowami znajdowała się przykręcona do kamienia metalowa płyta w formie jednego z królewskich insygniów. W jej to kierunku posłała nastawiony na pełną moc tnący promień.

Nad górną krawędzią płyty pojawiła się luna. Roane miała więcej szczęścia, niż się spodziewała, gdyż płyta zakołysała się, osunęła nieco w dół i zawisała na jednym bolcu. Dziewczyna krzyknęła, wskazując palcem drgający i dyndający kawał żelaza. W tym momencie płyta spadła z łoskotem, przygniatając mężczyznę, który odczytywał wyrok. Rozległy się przerażone krzyki, a strażnicy pobiegli w kierunku leżącego oficera.

Korzystając z zamieszania, Roane pospieszyła wzdłuż muru i zniknęła w ciemnej studni schodów prowadzących na parapet. Liczyła się z tym, że lada moment dosięgnie ją pocisk wystrzelony z jednej z tych archaicznych broni. Jednak szczęście jej nie opuszczało. Nie traciła czasu na oglądanie się za siebie. Na dziedzińcu nadal panował ogólny rozgardiasz i zewsząd dobiegały wołania o pomoc. Nie zwracając na to uwagi, pokonywała schody najszybciej jak mogła.

Wartownik był zwrócony twarzą w stronę dziedzińca i pochylony do przodu obserwował bieżącą na dole. Roane dopadła do niego i zdzieliła go w kark jednym z ciosów samoobrony, jakich nauczyła się od Sandara. Nie zdążył nawet jęknąć. Oparła go o ścianę z nadzieją, że utrzyma się tam, dopóki ona nie skończy. Następnie skierowała promień narzędzia kolejno na obie latarnie palące się obok klatki. Stopiły się jak wosk.

Dopiero wtedy zabrzmiały odgłosy strzałów. Śmignęła naprzód i przypadła do podłogi klatki, przyciskając końcówkę tuby do rygli mocujących drzwiczki.

Metal rozżarzył się do czerwoności. Musiała zachować maksymalną ostrożność, by promień nie dosięgnął więźnia, a mogła to kontrolować jedynie przez bezpośredni kontakt narzędzia z

ciętym materiałem. Teraz musi się podnieść i spróbować przeciąć górne zawiasy. Wiedziała, że tym samym wystawia się na cel pocisków, lecz nie było innej rady. Chwile, gdy stała przyklejona do metalowych prętów, przyciskając narzędzie do żelaza, zdawały się najdłuższymi w jej życiu.

— Czy dasz radę wyjść?

W czasie jej pracy nie odezwał się ani słowem. Nie była nawet pewna, czy jest przytomny. Mogło być tak, że podczas brutalnego wpychania do klatki urazili go w ranę, a fala bólu spowodowała utratę świadomości. W tej sytuacji Roane byłaby zupełnie bezradna. Wszystko zależało od jego możliwości poruszania się.

Przycisnęła tubę do ostatniego zamocowania. Tym razem jednak bezskutecznie. Wyczerpała baterię nie przystosowaną do celu, do jakiego jej użyła. Lecz tracić czas na przeładowanie...

— Nie mogę tego przeciąć — wyznała mu prawdę. Zawiodła...

Po raz pierwszy przemówił:

— Pociągnij... teraz!

Ton rozkazu był tak ostry, że podporządkowała się bez wahania, szarpiąc drzwiczki w swoją stronę, czując jednocześnie, że on pcha je z całą siłą, na jaką było go stać.

— Nic z tego! Nie puszcza!

Podniosła narzędzie, chwyciła je jak młotek i uderzyła w oporny zawias. Prawdopodobnie był już poluzowany na skutek ich wysiłków, gdyż po drugim uderzeniu ustąpił. Imfry wyczołgał się na zewnątrz. Dookoła świstały kule i na sekundę zamarła ze strachu, ponieważ wydawało jej się, że jedna z nich trafiła w cel. Nagle z półmroku rzuciła się na nich jakaś postać. Nie trafiła w Imfry'ego, za to całym impetem pchnęła dziewczynę na zewnętrzną ścianę parapetu, pozbawiając ją niemal tchu. Napastnik zamachnął się na dziewczynę i w tym samym momencie raptownie zatoczył się do tyłu, odciągnięty przez pułkownika, opasującego jego szyję zdrowym ramieniem. Wywiązała się szamotanina, w trakcie której strażnik zdołał odwrócić się w stronę Imfry'ego i zaatakował go z wściekłością, usiłując zrzucić z muru. Roane oderwała się od ściany, podeszła chwiejnym krokiem do szarpiących się mężczyzn i z całej siły uderzyła narzędziem w głowę wartownika. Upadł.

Imfry pochylił się nad ciałem, które osunęło się na kamienną posadzkę, potem wyprostował się, trzymając w ręku broń zabraną pokonanemu.

— Poluzuj to — skinął w kierunku klinów mocujących podstawę klatki. Roane w mig zrozumiała, o co mu chodzi i gołymi rękoma zaczęła szarpać metalowe zabezpieczenia. — Będę cię osłaniał.

Stał obserwując szczyt schodów, po których się tu wdrapała. Po chwili manipulacji zdołała obluzować kliny. Imfry zerknął przez ramię.

— Spróbuj to pchnąć... tędy... tutaj...

Przyłaczył się do jej wysiłków, napierając zdrowym ramieniem na konstrukcję klatki. Wspólnie dopchnęli ją do krawędzi parapetu.

Ciężkie metalowe cielsko zakolysało się, przechyliło do przodu i koziolkując runęło w dół. Towarzyszył temu zgrzytliwy trzask. Mur zadrżał, gdy klatka zawisała na końcu łańcucha. Roane od początku domyślała się, co mają na celu te poczynania pułkownika. Utorowali sobie w ten sposób drogę w dół, poza mury, o ile Imfry zjedną ręką zdoła ją pokonać. A wyglądało na to, że spróbuje, gdyż wysunął chore ramię z temblaka.

— Na dół! — zakomenderował.

Posłusznie przyciągnęła łańcuch jak najbliżej siebie. Był naprężony od ciężaru klatki, a mimo to się kołysał. Ogniwa były wystarczająco duże, by wsunąć w nie palce. Lecz czy można będzie po nim zejść z jedną ręką?

— Czy jesteś pewien, że...

— Złaź na dół! — powtórzył niecierpliwie.

Na szczycie schodów coś się poruszyło. Pułkownik wyjął broń i strzelił do tego cienia. Odpowiedzią był przeraźliwy krzyk.

Roane dłużej nie zwlekała. Zaczęła zsuwać się po tej prowizorycznej drabinie. Po dłuższej chwili jej stopy uderzyły o dach klatki. W kilku krokach podeszła do bocznej ścianki i trzymając się prętów zjeżdżała w dół. Kiedy nie było się już czego trzymać, puściła się, wykorzystując umiejętności nabyte podczas kosmicznych treningów do możliwie najbezpieczniejszego lądowania.

Okazało się to trudniejsze, niż przypuszczała, gdyż nabiła sobie kilka sporych siniaków. Pozbierała się prędko i rozejrzała dookoła. Była pewna, że natkną się tu na jakichś żołnierzy. Nie było jednak nikogo, natomiast zza muru dochodziły odgłosy zamieszania, krzyki i strzały.

— Uważaj... spadam... — usłyszała nad głową i zobaczyła pułkownika trzymającego się klatki i machającego stopami, jakby próbował kopniakiem odepchnąć ją od siebie. Po chwili był na ziemi.

Ponieważ się nie ruszał, podbiegła do niego. Stracił przytomność? Połamał kości? Tortura, jaką było to schodzenie przy jego ranie, mogła wystarczyć, by... Pociągnęła bezwładne ciało, usiłując go odwrócić. Cały czas miała świadomość, że jak najprędzej muszą się stąd oddalić.

Od strony wioski nadciągali jacyś ludzie. Gdzie ta broń... Czy Imfry nadal ją ma? Szarpnęła przód jego kubraka i zaczęła gorączkowo szukać. Na próżno. Nic nie znalazła, a obcy byli coraz bliżej.

Zamachnęła się, żeby uderzyć, lecz jej ręka uwięzła w silnym uchwycie.

— Przyjaciele!

Mężczyzna trzymający ją za ramię pociągnął ją do góry i odprowadził na bok. Dwaj pozostali pochylili się nad leżącym pułkownikiem i unieśli go z obu stron. Przewodnik Roane pociągnął ją niemal biegiem za sobą, a dźwigający Imfry'ego starali się dotrzymać im kroku. Minęli domy, kierując się ku kępie cienistych zarośli. Ledwie łapała oddech. Usłyszała lekkie stąpanie kopyt dwurożców, a zaraz potem znaleźli się na polanie, gdzie czekało czterech ludzi na wyraźnie wypoczętych i gotowych do drogi wierzchowcach.

— Ruszać! — rozkazał człowiek prowadzący Roane. Dwurożce zakręciły się pod ostrogami i ciężko ruszyły na południe. Natomiast, ku zdziwieniu Roane, mężczyźni, którzy ich tu przyprowadzili, cofnęli się w cień zarośli.

— Haffner zna te szlaki. Zgotuje im niezły pościg. Będzie ich włóczył po tych kniejach do upadłego — skomentował ze złośliwą satysfakcją jeden z tych, co przynieśli Imfry'ego.

— Obyś miał rację — odpowiedział jego towarzysz. — Potrzebujemy jak najwięcej czasu. Pomóż mi z pułkownikiem. Straszliwie krwawi. Trzeba go koniecznie opatrzyć, jak tylko dotrzemy do kryjówki.

Apteczka! Było co prawda pewne ryzyko, że znajdujące się w niej leki nie pomogą komuś urodzonemu na Clio. Lecz dlaczego nie spróbować?

— Proszę! — Roane poruszyła się w uścisku mężczyzny, który doprowadził ją do tego tymczasowego azylu. — Mam coś, co mu pomoże. Pozwól mi...

— Doskonale, ale nie teraz. Nie możemy tu zostać. Istnieje niebezpieczeństwo, że tamci nie dadzą się zwieść fałszywym tropem i mogą nas dopaść. Mattine, prowadź do psiej zagrody.

Świtało już, lecz odnosiła wrażenie, że ci ludzie wiedzą, co robią. Nawet z dodatkowym obciążeniem w postaci pułkownika, lekko i płynnie wtopili się w zarośla i pewnie ruszyli naprzód. Przewodnik prowadził ich przez gęstwinę, mijając po drodze polanki, które w oczach Roane niczym się między sobą nie różniły.

Ścieżka, którą się posuwali, nie przypominała żadnej z tych ukrytych w krzakach i drzewach dróg, lecz była raczej wydeptanym w ziemi zagłębieniem. Roane niemal deptała po piętach mężczyzn niosących Imfry'ego, słysząc ich ciężkie oddechy i posapywania. Ostatni z mężczyzn zamykał mały orszak i zabezpieczał tyły.

Zdawało się, że idą nieskończenie długo, choć nie mogło tak być, biorąc pod uwagę czas i odległość. W końcu niosący pułkownika przystanęli, a mężczyzna, który szedł za Roane, kazał im czekać, sam zaś wślizgnął się w grubą ścianę zarośli. Roane postanowiła wykorzystać postój i opatrzeć Nelisa.

Jego głowa spoczywała na ramieniu jednego z dźwigających go ludzi. Miał zamknięte oczy, a na koszuli widniała lepka plama.

— Pozwólcie mi... mogę mu pomóc... — próbowała przysunąć się bliżej, lecz podtrzymujący Imfry'ego zagroził jej drogę ramieniem jak szlabanem.

— Jeszcze nie! — W jego szepcie było coś dzikiego. — Cisza!

Skuliła się, nasłuchując. Jej uszu dobiegły dziwne odgłosy. Pomyślała, że bardziej zwierzęce, niż ludzkie. Potem wychwyciła głos.

— No, Brighttooth, Rampage, Roarer... siad... siadać! A wy, Shrew i Surenose, spokój! Jedzcie, pijcie i bądźcie cicho!

Parawan z krzaków zadrżał, sygnalizując powrót przewodnika. Ponieważ wszyscy trzej mężczyźni mieli naciągnięte kaptury, Roane widziała jedynie ich wystające brody. Mimo to ten roztaczał wokół siebie aurę autorytetu.

— Weźcie to! — W rękach trzymał strzępy szmat.

Roane skrzywiła się z odrazą, gdyż bił od nich przyprawiający o mdłości smród. Dotknięcie ich było ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę. Lecz nie dano jej wyboru. Jeden z podtrzymujących pułkownika mężczyzn wziął trzy szmatki. Jedną zawiesił sobie na karku, drugą na karku swego kompana, a trzecią położył na pułkowniku. Czwarty strzęp poszybował w jej kierunku. Podniosła go z ociąganiem, skurczoną z obrzydzenia ręką.

— Nasz klucz do bud. Nikt nas tam nie będzie niepokoił. Przynajmniej na razie. A teraz

ruszajmy, zanim rzuca się w tym kierunku!

Przepchnęli się przez niewidoczny z zewnątrz wąski prześwit w gąszczu i stanęli przed wysokim płotem z ostro zakończonych, wbitych w ziemię słupów. Za nim Roane dostrzegła pochyły smołowany dach. Kilka kroków od nich znajdowała się brama. Przewodnik podszedł prosto do niej i wyciągnął blokującą sztabę, tak ciężką, że wystarczyłaby do zabarykadowania warowni.

Tragarze Imfry'ego pędem minęli wejście, choć widać było, że ciągną ostatkiem sił, gdyż ledwo powłóczyli nogami. Pragnęli jednak jak najszybciej złożyć swój ciężar w bezpiecznym miejscu. Roane podążyła ich śladem. Brama zatrzasnęła się za jej plecami i usłyszała głuchy odgłos umieszczanej na swoim miejscu sztaby. Lecz wzrok miała skierowany na to, co było wewnątrz ogrodzenia.

Człekobójcy! Psy te, podobnie jak dwurożce, nie pochodziły z Clio, lecz zostały tu sprowadzone. A ona nie знаła żadnej planety — poza jedną może w wewnętrznych światach, utrzymującą egzotyczny ogród zoologiczny — która pozwalałaby na import człekobójców Loki. Wyglądały pozornie niegroźnie i nawet nie były duże, za to odór dochodzący z ich rozrzuconych w różnych miejscach bud mógł człowieka zadławić. Grzywiaste lby miały spuszczone, ponieważ zajęte były rozdzieraniem zębami kawałów mięsa.

Kiedy grupa ludzi przesuwiała się w kierunku stojącej pośrodku zagrody chaty, dwa psy odwróciły się w ich stronę, nie wydając żadnego dźwięku. Czarne wargi uniosły się, obnażając podwójne rzędy zzieleniałych kłów. W ich oczach płonęła nieopanowana, straszliwa nienawiść.

Jeden z nich postąpił krok, drugi poszedł w jego ślady, zamierzając odciąć drogę intruzom, którzy tymczasem stanęli jak wryci, wyraźnie przygotowani na najgorsze. Zwierzęta zaczęły węszyć w powietrzu, a przyklapnięte dotąd do wąskich czaszek postrzępione uszy uniosły się do góry, jakby złapały znajomy dźwięk lub do ich nozdrzy dotarł zapach, do którego były przyzwyczajone. Roane przycisnęła do siebie wzgardzoną szmatę. Ona rzeczywiście była tu kluczem.

Przywódca stada po raz ostatni poruszył nozdrzami, po czym wrócił do swojego ubabranego gliną ochłapu. Jego towarzysz zrobił dokładnie to samo. Gromadka ruszyła dalej. Roane nie mogła jednak oprzeć się wrażeniu, iż lada moment obżerające się zwierzęta skoczą im na plecy. Strach był tak silny, że z trudem się hamowała, by nie iść tyłem i nie obracać za siebie.

— Drzwi... Otwórzcie drzwi... — polecił jeden z dźwigających Imfry'ego.

Prześlizgnęła się obok mężczyzn, bez przerwy obrzucając psy krótkimi, nieufnymi spojrzeniami, i pchnęła. Drzwi ustąpiły łatwo i weszli w przesyconą zwierzęcym smrodem ciemność. Cuchnęło tu jeszcze bardziej niż na zewnątrz, gdyż pomieszczenie nie było wietrzone. Odruchowo pstryknęła promiennik.

Jedna ze ścian tej malej klitki była obwieszona szerniałymi i koszmarne cuchnącymi połaciami mięsa. Nad nimi ciągnęły się wąskie półki, na których stały szczelnie zamknięte pojemniki. Z haków wbitych w pozostałe ściany zwisały bicze, smycze, obroże i kagańce, dostatecznie mocne, by uwięzić kły człekobójcy. Po prawej stronie stały powiązane sznurami bele słomy. Jedną wcześniej rozcięto i połowę zabrano. Roane odłożyła promiennik podeszła do

niej i rozłożyła resztę słomy na podłodze, moszcząc prymitywne legowisko.

Kiedy ułożyli na nim Imfry'ego, wyjęła apteczkę. Nie było czasu na testowanie leków. Im bardziej przyglądała się tej szarobiałej twarzy, tym mniej jej się podobała. Teraz przyszła kolej na nią, by wydawać polecenia.

— Zróbcie miejsce! — Jej ręce... Popatrzyła na swoje brudne, podrapane palce. — Tutaj... — podniosła pojemnik z aerozolem. — Ty... — podała go stojącemu najbliżej mężczyźnie — naciśnij to... ostrożnie... nic się nie może zmarnować.

Obmyła dłonie w antyseptycznej mgielce.

— Wystarczy! — Trzymała ręce tak, by nie dotknąć niczego, co mogłoby je ponownie zakazić. — Ściągnijcie mu koszulę z rany. Nie, poczekajcie... Najpierw spryskać aerozolem. A teraz to... — wskazała na kolejny pojemniczek.

Wzięła go i ostrożnie wypuściła kilka kropel jego zawartości na krwawą plamę. Koniuszkami palców odciągnęła delikatnie przyklejoną do ciała tkaninę.

— Teraz... Oderwij to!

Kiedy zabrudzony materiał odszedł od ciągle krwawiącej rany, Roane przystąpiła do działania, wykorzystując całą wiedzę zdobytą na szkoleniu medycznym. Rana wyglądała fatalnie. Dwukrotnie spryskała ją antybiotykami, następnie lekiem przyspieszającym gojenie, po czym nałożyła ostateczny opatrunek z mocno przylegającego do ciała specjalnego plastra. Tę ostatnią czynność wykonała ze zdwojoną starannością, gdyż mogło się zdarzyć, że opatrunek będzie musiał niejedno wytrzymać, nim ta podróż się zakończy.

Później usiadła i sprawdziła pozostałą zawartość apteczki. Dokładne oględziny pułkownika upewniły ją, że w wyniku upadku nie połamał kości. Utrata przytomności była spowodowana wstrząsem i dodatkowym uszkodzeniem rany. Oczywiście im dłużej będzie mógł odpoczywać, tym większa szansa, że plaster zadziała i solidnie zablizni ranę. Pomyślała, że najlepiej go nie cucić.

Powietrze w chacie było gęste od smrodu psów i rozkładającego się mięsa. Roane było tak gorąco, że zdjęła kaptur i rozluźniła sznurówki kaftana. Po raz pierwszy miała okazję przyjrzeć się towarzyszom niedoli. Obaj odpoczywali teraz j oparci o bele słomy.

Twarz jednego z nich, tego który podtrzymywał głowę i Imfry'ego w czasie uciezki, wydała jej się znajoma. Skojarzyła jego nazwisko.

— Ty jesteś sierżant Wuldon. Jechałeś z nami do Gastonhow.

Na oko był starszy od pułkownika, choć trudno było oceniać wiek w obcych światach. Brązowe włosy były jednak nad uszami poprzetykane nitkami siwizny. Jego twarz była równie ogorzala jak twarz Imfry'ego, nim pokrył ją ten chorobliwy odcień szarości. A nieco z boku brody miał małe pomarszczone znamię, które wyglądało jak przesunięty dołeczek.

— Zgadza się, milady. Jestem Ysor Wuldon.

— Przybyłeś mu na ratunek. — Było to raczej stwierdzenie, niż pytanie.

Wuldon skinął głową:

— Mieliśmy nadzieję go ocalić. W Hitherhow znalazło się paru chętnych do poparcia naszych starań. Książę nie jest zbyt kochany. Nie można sobie jednak było za wiele po nich obiecywać. Niewiele byśmy wskórali, gdyby nie ty, milady.

Roane oparła się o belę słomy i uniosła rękę, by odgarnąć opadające na oczy włosy. Ohydny zapach i gorąco przyprawiały ją o mdłości. Znów odczuwała ten dziwny stan rozdwojenia jaźni, w którym dawna Roane stawała z boku i przypatrywała się z przerażeniem poczynaniom nowej. To niesamowite uczucie bycia równocześnie dwoma osobami, pogłębiało jej męczarnie. Przelknęła ślinę, starając się opanować nudności, bała się jednak, że już długo nie wytrzyma. Drugi mężczyzna poruszył się niespokojnie.

— Co za smród... — wymamrotał.

— Faktycznie nie jest to ogród z liliami — zgodził się Wuldon. — Za to tam — machnął palcem w kierunku psiej zagrody — mamy najlepszych strażników, jakich moglibyśmy sobie wymarzyć.

Roane ponownie przelknęła ślinę.

— Jak długo... — stwierdziła, że nie zdoła dokończyć pytania, lecz Wuldon bez trudu zrozumiał, co ma na myśli. Nic potrafił jednak udzielić jej żadnej konkretnej odpowiedzi.

— Trudno powiedzieć. Może do nocy, o ile szczęście nam dopisze i gwardziści dadzą się złapać na tamten fałszywy trop. Jeśli uda się ich wciągnąć do rezerwatu łowieckiego, to nasi bez trudu wywiodą ich tam w pole i zgubią. Wtedy możemy ruszać. Ale jeśli pułkownikowi się nie polepszy... — potrząsnął głową.

— Co z nim, milady? — zapytał drugi mężczyzna. — Wykurowałaś go na tyle, by mógł dosięść wierzchowca? Dźwigając go, nie zajdziemy daleko.

Wuldon zerknął na niego spode łba i warknął coś na znak protestu, lecz tamten patrzył mu prosto w twarz i kontynuował:

— Taka jest prawda i dobrze o tym wiesz. Jestem wiernym sługą mojego lorda. Siostra mojej matki była jego mamką, kiedy jego matka umarła. Myślisz, że odmówiłbym pomocy przy jego uwolnieniu? Czy zrobiłem to, gdy ty i Haus przyszliście mnie poprosić? Ale nie możemy go nieść. Musi być w stanie jechać. Do wzgórz daleka droga.

— Roztrąbią po całym kraju, że jest wyjęty spod prawa powiedział z namysłem sierżant. — A wtedy nikt w Reveny nam nie pomoże. Najlepiej uciec za granicę. Wielu dobrych i prawych obywateli było do tego zmuszonych, więc nie będzie pierwszym, i pewnie nie ostatnim. Poza tym jest doskonałym żołnierzem i każda armia przyjmie go z otwartymi ramionami. Jeśli nie w Leichstanie, to na Wyspach Marduka chętnie zaciągają najemników...

— Dzięki za te piękne słowa, Wuldonie — głos był cichy i zmęczony, lecz wszyscy drgnęli na jego dźwięk.

Pułkownik miał otwarte oczy, a na zapadniętych policzkach pojawiło się trochę kolorów.

— Co za fetor! — pociągnął nosem. — To zapach człekobójcy! Ale gdzie, u licha, w

Reveny... — poruszył się, chcąc się podnieść, ale sierżant położył delikatnie swoje wielkie łapsko na jego zdrowym ramieniu i przytrzymał go na miejscu.

— To pomysł Hausa, sir. Jesteśmy w zagrodzie człekobójców, niedaleko Hitherhow.

— W psiej zagrodzie! — powtórzył pułkownik. — Z jednej klatki do drugiej. Muszę jednak przyznać, że mimo tych; zapaszków ta jest o wiele wygodniejsza od poprzedniej. Ale opowiedz mi wszystko po kolei. Jak to zaplanowaliście?

— Właściwie to nie mieliśmy konkretnego planu, sir. Widziałem, jak wywlekają cię z tamtej dziury w ziemi, po czym Spetik i ja rozdzieliliśmy się, żeby szukać pomocy. On udał się do Hitherhow, pogadać z Mattine i z Hausem. W wiosce było paru ludzi gotowych trochę zaryzykować. Potem jednak zrezygnowali w obawie o własne karki.

— Nie możesz ich za to potępiać, Wuldonie. Nikt nie pomaga chętnie zdrajcom, a takiego ze mnie zrobiono. Tak, zdrada to ciężkie przestępstwo. A więc Spatik, Mattine tu obecny, Haus i ty... I co było dalej?

— Cóż, ja udałem się z powrotem do naszej placówki. Czterech czy pięciu ludzi było skorych sprawdzić, co się da zrobić w pańskiej sprawie. Więc... wyszliśmy...

Pułkownik zmarszczył czoło.

— Zdezterterowaliście? — spytał groźnie.

— Lepiej powiedzieć „opuściliśmy posterunek” udając się pod rozkazy naszego oficera dowodzącego. Żaden z nas nie nazywał cię wtedy inaczej. Zresztą nikt nam nie powiedział wprost, że już nim nie jesteś, sir.

Zmarszczka na czole Imfry'ego zniknęła.

— Słyszałeś to głośno i wyraźnie w Hitherhow.

— Nie, sir. Od kiedy w zeszłym roku przysypały mnie

kamienie, a ty spuściłeś się na linie, sir, i mnie wyciągnąłeś... cóż, czasami niezbyt dobrze słyszę. Nie słyszałem nic o tym, że już nie jesteś moim oficerem dowodzącym.

— Nadwerężony słuch może spowodować wydalenie cię ze służby, sierżancie.

— Już spowodował, pułkowniku. Jeśli cokolwiek powiedziano Reddickowi, to już spowodował.

Imfry roześmiał się, lecz szybko spoważniał.

— Jeśli nas pojماją, żaden taki naiwny argument nie uratuje cię przed szubienicą albo czymś gorszym.

— Będziemy zatem uważać, żeby nas nie złapali, sir. Tak czy inaczej, przyjechaliśmy, sir. Ja, Haffner, Spetik, Rinwald i Fleech. Oni mieli dwurożce, najlepsze wierzchowce w stajniach. Czekali w ukryciu gotowi w każdej chwili wyruszyć. W zależności od rozwoju sytuacji mieli albo cię zabrać, albo wytyczyć fałszywy trop dla pościgu. Nie wiedzieliśmy tylko, jak dotrzeć do ciebie i odbić cię, sir. Ostatecznie ona tego dokonała — skinęła głową w kierunku Roane.

— Byłaś pani wtajemniczona w ich plany? — spytał Imfry.

— W ich plany? Nie. Działalam na własną rękę. Przyszłam... Przyszłam, ponieważ był to mój obowiązek. Czułam się odpowiedzialna, gdyż to ja, wtrącając się w wasze sprawy, rozpętałam to piekło. Nie mogłam dopuścić, żebyś cierpiał w wyniku mojego wścibstwa. Nie udałoby mi się jednak, gdyby nie twoi ludzie.

— To niesłychanie osobliwe — oczy pułkownika spoczęły na niej poważnie. — Od początku wiedziałem, że trzymasz w dłoniach czyjś los, choć nie przypuszczałem, że mój. Sądziłem, że księżniczki.

Poruszył się znowu.

— Dziwne, cały ból minął. — Popatrzył na swoją ranę, gdzie plaster odznaczał się jasno na tle ciemnej skóry. — coście ze mną zrobili? — zwrócił się do Wuldona.

— Ta lady to zrobiła. Miała coś w swojej apteczce.

— Jest zatem dobra w wielu sprawach — podsumował pułkownik.— Wuldon, nie macie przypadkiem czegoś takiego jak buklak z wodą?

— Niestety, sir...

— W porządku.

Roane dźwignęła się z wysiłkiem, osłabiona cuchnącym zaduchem i gorączką. Wygrzebała jedną z tubek z racjami żywnościowymi, odkręciła nakrętkę i wręczyła mu.

— Zjedz to — powiedziała. — Składa się w połowie z gazu, więc powinno pomóc.

Wyjęła następne i podała dwóm pozostałym. Przyglądali im się z zaciekawieniem.

— A ty, milady? — spytał sierżant. Roane z trudem przełknęła ślinę.

— Nie mogę. Jest mi niedobrze. Proszę, sierżancie... gdybyś zechciał... — mówiła z pośpiechem, natarczywie — apteczka... Pchnij ją do mnie.

Myślała, że nie zdąży, lecz zdołała jakoś wyszperać między lekami niewielką ampulkę. Zgniotła ją w dłoniach i schyliwszy głowę zaczęła zachłannie wdychać ulatniające się opary. Miała jednak zbyt mało tego specyfiku, by go marnować. Jeśli przyjdzie im zostać tu dłużej, nie zniesie tego. Może i była wyszkolona w zakresie przetrwania w obcych światach, wytrzymywania obcych zapachów i spożywania obcej żywności, istniały jednak sytuacje, w których jej ciało nie było w stanie sobie poradzić i wyglądało na to, że z jedną z nich zetknęła się teraz, w tej przypominającej więzienie chacie.

— Wkrótce będę musiała iść — odezwała się, kiedy mdłości nieco ustąpiły i chwilowo była na powrót panią swego ciała. — Nie znają mnie tutaj... Powinnam dojść bezpiecznie.

— Nie wierz w to, milady — odparł Wuldon. — W sytuacji, kiedy pułkownik jest na wolności, będą się trzy razy przyglądać każdemu obcemu. Wyjdiesz stąd, a pierwszy lepszy, który cię zauważy, wezwie strażę. Każdy mężczyzna, kobieta i dziecko z Hitherhow gorliwie zamelduje o obcym i pomoże go pojmać, byle tylko odciągnąć ludzi księcia od węszenia pod ich własnymi drzwiami.

— On ma całkowitą rację — głos pułkownika był silniejszy; pobrzmiwała w nim na powrót ta irytująca nuta pewności, że on wie wszystko najlepiej. — Poza tym dokąd pójdziesz? A może twoi ludzie przyjdą cię szukać?

Potrząsnęła głową i natychmiast pożałowała tego gestu, gdyż znów zawirowało jej przed oczami.

— To ostatnia rzecz, jaką by zrobili. Przychodząc tu zламаłam rozkazy. Będą uważali, że każde nieszczęście, jakie mi się przydarzy, będzie w pełni zasłużoną karą.

— Co to za gadanie? — oburzył się sierżant. — Jak można tak traktować szlachetną panią, która pospieszyła z pomocą...

— Widocznie jest jakiś ważny powód — przerwał mu Imfry. — Kiedyś, lady Roane, chciałbym o tym posłuchać. A teraz, sierżancie, opowiedz mi, co zamierzasz dalej. Żadne z nas nie może tu zostać dłużej niż to absolutnie konieczne.

— Haus ma jakiś plan. Przeprowadził nas tu na przeczekanie. On zna Hitherhow. A oni znają jego, i to na tyle dobrze, by z nim nie zadzierać. Dobrze jest być jedynym człowiekiem, który radzi sobie z ludobójcami. Zrobią wszystko, żeby tylko Haus był zadowolony i pozostawał w dobrym zdrowiu. Oczywiście mogą wystrzelać wszystkie te bestie, żeby nas dostać. I prawdopodobnie książę by to zrobił, gdyby wiedział, że tu jesteśmy. Nikomu jednak nie przejdzie nawet przez myśl, że te diabelskie stwory mogły nas wpuścić za bramę, co zresztą byłoby prawdą, gdyby Haus nie dał nam tych szmat, co oszukały ich powonienie.

— Cicho! Słuchajcie! — rozkazał Imfry.

Po raz kolejny Roane usłyszała gardłowy pomruk psów.

— Ktoś nadchodzi! — sierżant Wuldon z bronią w ręku bezszelestnie, co wydawało się wręcz niemożliwe w przypadku tak potężnego mężczyzny, przemierzył izbę i stanął przy drzwiach. Znalazł widocznie szczelinę, przez którą mógł obserwować podwórze, bo zgarbił się nieco i zamarł w bezruchu.

— Haus! — poinformował syczącym szeptem, a potem dodał — sam! — Nie schował jednak broni do futerału, a Mattine ruszył, choć już nie tak cicho, by stanąć po drugiej stronie drzwi. Roane przyglądała się apatycznie.

— Ciii... — głos mężczyzny na zewnątrz zawodził jękliwą nutą. — Dobry pies, dzielny... dzielny... Spokojnie maleńka, starczy dla wszystkich... Zachowujcie dobre maniery.

Gdyby nie wiedziała, jakie bestie faktycznie wałęsają się po podwórzu, sądziłaby, że są to najłagodniejsze i najbardziej posłuszne zwierzątka domowe. Ludzie miewają niekiedy dziwne gusty i upodobania; nikt nie wie tego lepiej niż ona, która poznała różnorodność światów i obyczajów. Ale spotkać człowieka, który tak bezceremonialnie obchodzi z człekobójcami!

— Aby stworzyć naród, milady, potrzeba wielu rodzajów ludzi. — Pułkownik chyba czytał w jej myślach, bo przecież nie miała tego wypisanego na twarzy. — My dwoje — zniżył głos do ledwie słyszalnego szeptu — mamy sobie dużo do powiedzenia. Nie wiem, dlaczego przyszłaś, lecz dzięki tobie...

— Poczekaj, aż będziesz wolny. Przedwczesne dziękowanie może przynieść pecha. — Nigdy nie była przesadna, lecz teraz, szarpana wewnętrznym niepokojem, rozumiała prymitywne narody, obawiające się przywołać złe moce, sprowokować zemstę złego losu.

— Zrobię to zatem innym razem. I nie martw się, wypuścimy cię stąd i odstawimy do twoich, jak tylko będziemy mogli.

Patrzyła na niego zaskoczona, zdumiona do głębi. Mówił tak, jakby ona była osobą, o którą należy się troszczyć, podczas gdy to on był ścigany.

Drzwi się otworzyły i wszedł mężczyzna, który ich tu przyprowadził. Upuścił ciężki toból, który spadł z głuchym łoskotem na podłogę. Wydobywający się z niego smród gnijącego mięsa zagęścił jeszcze bardziej niesamowity zaduch w pomieszczeniu.

— Jak on się... — zaczął, lecz w tym momencie odezwał się pułkownik:

— Dochodzę do siebie, chłopie. Twoje zwierzątka dobrze nas pilnują.

— Milordzie — Haus przemierzył małą izbę kilkoma krokami, klęknął i położył dłoń na wyciągniętej do niego ręce pułkownika, pochylając głowę, jakby ten gest był małym, lecz doniosłym ceremoniałem.

— Kopę lat, Haus.

— Można zapomnieć o upływie czasu, milordzie, jeśli jest ku temu dobry powód. Ale — przysiadł na piętach, tak że jego twarz znalazła się mniej więcej na poziomie twarzy mężczyzny, do którego się zwracał — mamy pewien plan. Może trochę szalony, lecz to najlepsze, co można teraz zrobić. Posłali do Urkermark po jego rozkazy. Jak dotąd mamy podwójne szczęście. Po pierwsze, ta płyta z godłem, co się oberwała i spadła na dziedzińcu, przygniotła Szeryfa z Zachodu. Nadal leży nieprzytomny, a oni nie wiedzą, kiedy i czy w ogóle odzyska zmysły. Pułkownik Scharn ma złamany obojczyk i paskudnie rozciętą ma głowę, więc nie będzie z niego pożytku, jeśli dojdzie do pościgu.

— A ten drugi, ten pułkownik Onglas, miota się dookoła, wykazując nie więcej rozumu niż ostatni z mojej sfory, tam w zagrodzie. Posłał większość straży do przetrząsania wioski, wyciągania ludzi z domów i szukania zdrajców. Dwie godziny temu zażądał moich psów. Jacys ludzie z patrolu znaleźli ślady i chce puścić nimi psy.

Słyszając to towarzysze Roane zaczęli wykrzykiwać ze zdumieniem i oburzeniem.

— Tak, tak — Haus pokiwał głową. — Mówilem wam, że ma tyle oleju we łbie, co dzieciół. Powiedziałem mu, czym to się może skończyć. Nawet ja nie mogłem ich utrzymać na żadnym tropie, który nie był tropem wykastrowanego kozła. Na to on kazał mi sporządzić dla nich próbkę twojego zapachu, milordzie.

— To kompletny wariat! — wybuchnął sierżant. — Z czego masz to zrobić?

— Ma słomę z celi, gdzie cię trzymali, panie, i jakieś szmaty, którymi przewiązali ci ramię, kiedy cię przywieźli. To wystarczy, a on nie da mi się wymigać. Przysyła strażników, żeby mnie pilnowali przy robocie.

— Tutaj? To co będzie... — zaczął Wuldon.

— Nie wejda do srodka, nie ma strachu. Ale powiedzialem mu prawde, ze nawet moje psy nie zlapia tropu sciganego czlowieka, jezli pojedzie na wierzchowcu. Wiecie, co on na to? Kazal zabic dwurozca i przywiezc to scierwo tutaj.

— Dwurozca! Niech no twoje pieski go obwachaja, a zaczną się rzucać na wszystkie wierzchowce w okolicy, nawet na te, których dosiędą ludzie z pościgu — zauważył Imfry.. — On jest faktycznie oblakany.

— Myśle, że jest oszalały ze strachu, milordzie. Nie odważy się stanąć przed księciem, nie mając dla niego dobrych wieści. Ja zrobiłem, co mogłem. Uprzedziłem go o skutkach i mam świadków, którzy to słyszeli, nawet jeśli do niego to nie dotarło. Mniejsza o słomę i szmaty. Mogę to sfalszować. Ale zupełnie mi się nie podoba przerabianie dwurozca na przynętę. Psy mogą się skierować prosto na stajnie. A z jakiej racji mają cierpieć niewinne zwierzaki? Na szczęście są z tym wariatem młodszy oficerowie, co to mają głowy na swoim miejscu. Jeden jest właśnie w drodze do pułkownika Scharna i pewnie uzyska cofnięcie tego idiotycznego rozkazu. Ale do rzeczy, pułkowniku. Otóż ten martwy dwurozec, którego tu wiozą... Myśle, że on pomoże wam się stąd wydostać.

— Mów dalej, Haus. To zaczyna być interesujące.

— Jak dawne dni wzdłuż granicy, gdy Nimpowie najeżdżali. Tak myślałem, że będziesz pamiętał, milordzie. Oni dostarczają tego dwurozca, ale żaden nie nadstawi karku, żeby przepchnąć wóz przez bramę. Więc ja wprowadzę go do srodka, z sierżantem Wuldonem...

— Ze mną! — sierżant szarpnął się w tył, jak dźgnięty ostrogą. — Przecież wszyscy wiedzą, że jedynie ty możesz wchodzić do zagrody...

— Już im powiedziałem, że mam leśnika do pomocy przy przynęcie. Mówiłem, że nosisz mój stary płaszcz, żeby psy cię nie zaatakowały. Dodałem, że to był jedyny, jaki miałem, na wypadek gdyby zażądali drugiego. Mówiłem też, że pomagales już w pościgach z psami. Prawda jest taka, że księżę faktycznie przysyłał tu ludzi na przeszkolenie, ale żaden długo nie wytrzymał — roześmiał się. — No dobra, wróćmy do naszego planu. A więc wciągamy scierwo dwurozca do tej chaty i odzieramy ze skóry, i chociaż Onglas robi tyle szumu, żaden z jego ludzi nie będzie miał odwagi pchać się tutaj i gapić. Następnie wynosimy pułkownika, będzie zawinięty w skórę. Układamy go na wozie. Podchodzi oficer Scharna i mówi, że dość już tych głupot. Ja odpowiadam, że musimy wywieźć i pogrzebać scierwo, zanim psy zaczną wariować. Powiadam wam, ci ludzie nie mają zielonego pojęcia o naturze tych zwierząt. Gotowi są uwierzyć w każdą bzdurę na ich temat. Ciągniemy wóz z powrotem do lasu, a tam czeka już małe przedstawienie, które przygotowałem, żeby nic się nie wydało.

— A co z lady Roane i Mattine?

— Oni wychodzą teraz i poczekają u mnie w domu. Później robię wielki rwetes, że nie dam sam rady przy wozie i ściągają ich do pomocy. To najlepsze, co mogę zaoferować, pułkowniku.

— Bardzo sprytnie, Haus. Nie chciałbym jednak, żeby ona i Mattine byli narażeni na ryzyko.

Roane odzyskała mowę:

— Bardziej ryzykuję, zostając tutaj. Uwierz mi, że się pochoruję, a nie mam już żadnych

środków, które by mi pomogły.

Popatrzył na nią badawczo, lecz wiedział, że mówi prawdę.

— Będą mieli ochronę, milordzie. Zabieram do siebie sukę Surenose. Lada dzień będzie się szczenić, a ja zawsze biorę takie do domu i zapewniam im przytulny kąt. Będzie sobie biegała luzem po podwórku, a wtedy nikt się nie odważy wściubić nosa za bramę.

— Bardzo pięknie, ale jest ryzyko, że nie wszystko pójdzie tak, jak sobie wymyśliłeś — zauważył sierżant Wuldon. — Co zrobisz, jeśli ten Scharn nie zareaguje dostatecznie szybko, a Onglas każe ci dać przynętę psom?

— Nie będę się spieszył z jej przygotowaniem. Mogę zmitrężyć najdłużej, jak się da. Mówię ci, że on nic nie wie o ludobójcach i głowę daję, że nie przyjdzie sprawdzić, co się tu dzieje. Nastraszę i podbuntuję strażników, tak że jeśli zajdzie konieczność, nie uda mu się ich nakłonić do wzięcia udziału w pościgu. Jasne, że to ryzykowne, ale nie bardziej niż każda inna gra, jaką byście podjęli, żeby wydostać pułkownika. A ja nie mogę zaproponować nic lepszego.

— On ma rację — powiedział Imfry. — Każdy sposób wydostania się stąd pociąga za sobą ryzyko. Natomiast wygląda na to, że w tej grze może nam się powieść.

Mała karawana przesuwała się wolno ledwo widoczną drogą oddalającą ich od wioski i prowadzącą w głąb lasu.

Roane, w kapturze nasuniętym głęboko na twarz, wlokła się koleinami podskakującego przed nią na wybojach wozu. Nie była aktorką i drżała ze strachu na myśl, iż najdrobniejszy błąd może wzbudzić podejrzenia jadących z tyłu strażników. Na szczęście Hausowi udało się przeciągnąć przygotowywanie przynęty do późnego popołudnia i kiedy Scharn, ochłonawszy na tyle, że mógł przejąć dowodzenie, rozkazał pozbyć się ścierwa, zbliżał się już wieczór. Dziękowała w duchu za to, że nie nadeszły żadne dalsze rozkazy od księcia Reddicka. Wóz trząśł się i skrzypiał. Za nic w świecie nie chciałaby na nim leżeć jak Imfry, zawinięta w zakrwawioną skórę, przyciągającą chmary owadów. Sierżant i Mattine ciągnęli dyszel tego prymitywnego środka transportu. Ładunek cuchnął tak ohydnie, że żaden dwurożec nie dałby się zaprząć do furmanki. Ten straszliwy odór był też powodem rejterady strażnika jadącego za wozem. A teraz idący obok niej Haus zamierzał pozbyć się pozostałych strażników. Nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

Jak dotąd jego plan przebiegał bez zakłóceń, a Roane bez słowa protestu zносиła trudy wędrówki, szczęśliwa, że może wreszcie oddychać świeżym powietrzem i oddala się coraz bardziej od Hitherhow. Większą część czasu spędzonego z Mattine w domu Hausa przeznaczyła na sen, więc teraz mogła przynajmniej jaśniej myśleć i czuła się zdecydowanie lepiej. Nie odzyska jednak całkowitego spokoju, dopóki będzie miała świadomość istnienia tamtej aparatury, brzęczących maszyn sterujących życiem ludzi nie zdających sobie sprawy z tego, że są tak haniebnie manipulowani.

Powłócząc nogami brnęła naprzód, usiłując jak najlepiej odgrywać posępną rolę kogoś zmuszanego do nie chcianej, uciążliwej służby. Miała nadzieję, że potrafi odpowiednio zareagować, kiedy Haus lub pułkownik dadzą znak do rozpoczęcia akcji.

— Ty, Haus! — rozległ się głos z tyłu. — Jak daleko chcesz jechać, żeby zakopać tę padlinę? Nie mamy zamiaru włóczyć się po całym lesie...

— A ja nie mam najmniejszej ochoty zamartwiać się, że psy wpadną na nasz trop i nabiorą apetytu na dwurożca za pierwszym razem, kiedy spuszczę je ze smyczy, żeby ruszyły w pościg — odciął się Haus. — Nie uśmiecha mi się tłumaczenie się przed księciem z czegoś takiego jak zagryzione wierzchowce.

Usłyszała, że ten z tyłu mamrocze pod nosem przekleństwa, lecz nie odważył się głośno zaprotestować. Chwilę później Haus szturchnął ją łokciem i powiedział szorstko:

— Nie umiesz nawet iść prosto, chłopcze? Co z ciebie, u licha, za pomocnik? Zasuważ do przodu i pomóż im ciągnąć, bo inaczej przez pół nocy nie przejdziemy nawet ćwierć mili!

Roane wepchnęła się pomiędzy wóz a wdzierające się na ścieżkę zarośla i młode drzewka, przedarła się do sierżanta i położyła rękę na dyszlu.

— Już niedługo, milady — szepnął. — Niech się pani przygotuje do skoku w prawo. Dam znak, kiedy.

Skok w prawo... Zerknęła w tamtym kierunku. Na całej długości dróżki leżały tam stosy

kamieni, wyglądające na resztki skruszonego muru. Pomiędzy kupami gruzu były jednak przerwy zarośnięte bujną trawą i splątanymi winoroślami. Rosły też krzaki i drzewa. Dzień był ponury, bez słońca, a w powietrzu czuło się wilgoć nadciągającego deszczu. Skok w prawo... Przesunęła językiem po suchych wargach.

Droga — o ile ścieżynę, którą szli, można nazwać drogą — skręcała ostro w lewo. Dociągnęli wóz do połowy zakrętu, kiedy z krzaków przed nimi dobiegło charakterystyczne warczenie ludobójcy. Sierżant krzyknął i szarpnął tak gwałtownie dyszlem, że wóz się zakolysał. Mattine pchnął mocno w udawanej panice i furmanka zaczęła się niebezpiecznie przechylać na Roane.

— Teraz!

Warczenie się powtórzyło. Ludzie z tyłu krzyczeli coś ostrzegawczo, podczas gdy Haus wywrzaskiwał jakieś chaotyczne polecenia. Roane pragnęła wierzyć, że Haus wie dokładnie, co robi. Rzuciła się w bok i przeskoczyła zaporę ze zwalonych kamieni. Kiedy biegła, usłyszała trzask przewracającego się wozu.

— Uciekajcie, skończeni głupcy! — To był Haus. — Musiały wylamać bramę, a teraz okrążają, żeby zabijać! Bierzcie nogi za pas albo walczcie!

Roane wpadła na drzewo i przywarła do niego całym ciałem. Serce waliło jej jak młotem. Miała nadzieję, że całe to zamieszanie jest częścią planu Hausa i że psy nie zaatakują, ponieważ Wuldon uprzedził ją, że coś się szykuje. Tak czy inaczej była to dla niej szansa do wyplątania się z tej sytuacji.

Z jej gardła wyrwało się urywane łkanie. Zatoczyła się i już miała się rzucić na oślep przed siebie, gdy usłyszała trzaski. Przyciśnięta plecami do drzewa okrążyła pień i schowała się za nim, będąc niemal pewną, że zbliża się czworonożna śmierć. Jednak jej oczom ukazał się nie pies-morderca, lecz sierżant Wuldon, podtrzymujący na wpół ubranego, zakrwawionego mężczyznę. Imfry! Widocznie kiedy wóz się przewrócił, wyplątał się jakoś ze swojej cuchnącej kryjówki.

— Chodźmy! — Sierżant i jego przelożony przeszli obok, nie zatrzymując się, a dziewczyna dołączyła do nich.

Idący przed nią mężczyźni musieli dobrze znać puszcze, gdyż szli tak pewnie, jakby podążali za jednym z naprowadzających na cel urządzeń kosmicznej cywilizacji. Nie uszli zbyt daleko, kiedy pojawił się też Mattine. Śmiał się.

— Ten Haus! Posiał taką panikę, że całutki oddział zwiewał, aż się kurzyło! Są pewnie przekonani, że cała sfera tych człekobójców depcze im po piętach. Gnają teraz do twierdzy, gdzie niewątpliwie zameldują, że wszyscy zostaliśmy pożarci żywcem. Milordzie, on jeden jest lepszy niż pół regimentu!

— Obyś miał rację! Gdyby Reddick zaczął go podejrzewać ...

— To by nie wyszło księciu na dobre. Z tymi swoimi pieskami Haus ma lepszą ochronę osobistą niż jakikolwiek król! — Mattine nie tracił dobrego humoru.

— One są śmiertelne. Parę dobrze wycelowanych pocisków i... Mam nadzieję, że przygotował jakąś sensowną historyjkę na spotkanie z Reddickiem.

— Sądysz, sir, że księżę przyjedzie?

— Nie pochlebiam sobie, że jestem kimś aż tak ważnym. Tak, jak sugerowałeś, on niewątpliwie roztrąbi po całym kraju, że jestem wyjętym spod prawa zbrodniarzem. Po tym stanę się ściganym zwierzęciem, za upolowanie którego wypłacą nagrodę, która przewyższy uciechę z samego polowania. Lecz Reddick wie, że dopóki żyję, nie spocznę, aż nie dowiem się, jakie czary rzucił na królową!

Była w tym tak zimna determinacja, że Roane zadrżała.

— Tam, w jaskini, poddał ją działaniu zniewalacza umysłu, lecz to sięga głębiej niż wszystko, co Shambry potrafi wymyślić, trzymając dłużej i mocniej. Słyszałeś proklamację, tę wcześniejszą, że zamierza poślubić Reddicka. To pociągnie za sobą podniesienie go do godności księcia-małżonka, a stąd... już tylko krok do przejęcia rządów. Jeśli te czary przestaną działać i Ludorika odzyska własną wolę, to jaką będzie miała szansę, osaczona przez te jego kreatury? Mówię ci, ona jest obecnie w równym stopniu więźniem, jak ja byłem w Hitherhow. Choć może jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy.

— Sir — Mattine był teraz poważny — zawsze słyszałem jak powiadali, że ten zniewalacz umysłu nie może zmusić nikogo do robienia czegoś wbrew jego wewnętrznej naturze.

— Nie uwierzę — mówił powoli Imfry, spoglądając na Mattine zimnym wzrokiem, z zaciętością na twarzy — że księżniczka... królowa... podpisała na mnie wyrok śmierci z własnej, nieprzymuszonej woli. Nie uwierzy w to nikt, kto ją dobrze zna. Zapytaj lady Roane, ona dużo z nią przebywała.

Wszystkie oczy skierowały się teraz na nią. A ona oznajmiła im prawdę:

— Ludorika została zahipnotyzowana. Rzucono na nią urok.

Mattine i sierżant zrobili głupie miny, sprawiając wrażenie kompletnie skonfundowanych, natomiast Imfry pokiwał głową, a jego twarz nieco złagodniała.

— Teraz rozumiecie? Królowa potrzebuje naszej pomocy. Czy możemy jej tego odmówić?

— Nie zdołamy zebrać armii, sir. Jeśli uda nam się ukryć w Rezerwacie, możemy rozpuścić wiadomość, że zaciągamy ludzi i utworzyć oddział, tyle ci gwarantuję. Lecz nie będzie to armia dostatecznie liczna, by stanąć do walki z wojskami, jakimi dysponuje Reddick i jakie ruszą w pole na jego pierwszy rozkaz. Poza tym jeśli ten jasnowidz Shambry jest tak potężny, że potrafi zniewolić królową wbrew jej naturze, to może znaleźć sposób, by zrobić to samo z nami. Sir, gdybyś tylko zgodził się przekroczyć granicę, do Leichstanu lub...

— Który sąsiad udzieli mi schronienia? Królowa pojechała do Leichstanu i spotkała się ze zdradą. Skąd pewność, że nam nie przytrafi się to samo? Jeśli damy się teraz Reddickowi wypędzić z kraju, to już bezpowrotnie.

— Cóż, nie musimy wyruszać dzisiaj, sir. Pomyślmy lepiej o ratowaniu własnej skóry, bo inaczej Reddick obedrze ją z naszych obolałych grzbietów — odparł sierżant.

— Racja — przytaknął Imfry. — Czy ten spryciarz Haus mówił wam, jak to jeszcze daleko?

— Dostatecznie daleko, żeby poruszać nogami przez ładnych parę godzin — wtrącił Mattine.

— Czy czujesz się już zmęczony, sir?

— Mniej, niż myślałem. A wszystko dzięki lady Roane i tym cudownym miksturom, które dźwiga w swoich tubkach i słoiczkach. A ty, pani, czy pójdiesz teraz z nami?

Pozostawiał jej wybór. Lecz ledwie się odezwał, odkryła, że dokonała go już dawno temu. Pragnął odpowiedzi na pytanie, co zmieniło Ludorikę, a ona była pewna, że ją zna; Stawanie do otwartej walki z Reddickiem nie przyniosłoby nic dobrego; nie, dopóki tamten system instalacji nadal funkcjonuje. Maszyny będą kontrolować wszystko — może nawet robią to teraz. A Służba nie przybędzie na czas z pomocą, nawet jeśli wuj Offlas zdołał ściągnąć statek ewakuacyjny i wrócić na macierzysty statek na orbicie.

— Tak — odpowiedziała po prostu.

Jeśli spodziewała się jakiegoś wyrazu zadowolenia czy zachęty z jego strony, to się przeliczyła. Nie skomentował! tego ani słowem. Mattine zrównał się z nią krokiem.

— To ładny kawałek drogi, milady. Ale za to możemy się tam wygodnie i spokojnie ulokować i nie martwiąc się niczym obserwować rozwój wypadków. To jeden ze starych; obozów wojennych z czasów rebelii Karoffa. Padł nie w wyniku szturm nieprzyjaciela, ale przez zdradę. Ponieważ wśród nas nie ma zdrajców, nie musimy się tego lękać, prawda?

Nim dotarli do miejsca przeznaczenia, zapadła noc, a księżyc nie zdołał się przebić przez dryfujące po niebie chmury. Roane nigdy się nie dowiedziała, czym kierowali się sierżant i Mattine prowadząc ich przez las do skalnego wzniesienia, które musieli pokonać, a stamtąd ledwo widoczną, wąską ścieżyną do płaskowyżu.

Stały tam kruszejące mury. I choć do ich budowy nie użyto zaprawy murarskiej, zachowały się w stanie wystarczająco dobrym, by zapewnić schronienie. Fakt ten ucieszył Roane. Dysząc ciężko opadła w narożnikowej wnęce i wyciągnęła przed siebie nogi. Obawiała się, że w czasie drogi narzucą szybkie tempo, lecz nie poganiali jej za bardzo, widocznie ze względu na Imfry'ego. Jednak pułkownik odzyskał już częściowo siły i dawną odporność, za co dziękowała w duchu swoim lekom. Wyglądało na to, że ramię już mu mniej dokucza. Podczas ostatniej wspinaczki nawet zbytnio nie narzekał.

Roane nie potrafiła określić położenia nowej kryjówki w stosunku do ich kosmicznego obozu czy do jaskini z aparaturą, miała jednak nadzieję, że do tej ostatniej Imfry zdoła odnaleźć drogę. Pozostawało pytanie, czy zrobiłby to, gdyby wiedział o zagrożeniu, jakie przepowiedział wuj Offlas. Ona osobiście była całkowicie przekonana, że nie ma innej możliwości uwolnienia Ludoriki, jak zniszczenie maszyn.

— W porządku, sir — Wuldon wrócił po obchodzie starych fortyfikacji i teraz stanął przed swoim oficerem, jakby był na służbie i składał formalny meldunek. — Doprowadziliśmy cię bezpiecznie i cało. Nasi chłopcy, którzy wytyczali tamten fałszywy trop, na pewno już dawno skończyli i czekają w Twisted Sword. Odetchniemy lżej, jak będziemy już wszyscy razem. Tak więc, za twoim pozwoleniem, panie, wyruszę po nich i ściągnę tutaj. A Mattine... On musi dotrzeć do Pin Crossing, rozejrzeć się za świeżymi wierzchowcami.

— Wygląda na to, że wszystko zaplanowaliście, Wuldon. — Czyżby w głosie Imfry'ego pobrzmiwała nuta zaskoczenia?

— Najlepiej, jak potrafiliśmy, sir. Nie wiedzieliśmy, czy dojdiesz do siebie. Na szczęście szybko się wykaraskałeś. Jeśli chcesz zmienić te plany...

— Po co? Wierzę, że w tych okolicznościach nie można wymyślić nic lepszego. Powodzenia... Niech wam Strażniczki sprzyjają! Wam obu.

— Jak będziemy wracać, zagwizdźemy stary, umówiony sygnał, sir. A w razie czego tam, nad ścieżką, jest przygotowana pułapka, taka jak te, które zastawialiśmy w czasach Nimpów. Wyciągniesz blokujący kamień, a zasypie ścieżkę. Oczyszczenie jej zajmie pełen dzień całej kompanii. Niech Strażniczki sprzyjają również tobie, sir, i tobie, milady!

Zasalutował, a Mattine powtórzył jego gest i odeszli, znikając w ciemnościach, nim Roane zdążyła mrugnąć. Upewniła się, że nie jest sama w tym mroku, dopiero kiedy pułkownik się poruszył. Palce dotknęły jej ramienia i ześliznęły się aż do nadgarstka, zamykając się ciepłym, pełnym życia uściskiem w miejscu, gdzie jej ręka opierała się o kolano.

— Dlaczego przyszłaś?

Zagubiona w plątaniu myśli, których nie była w stanie uporządkować wskutek zbyt dużego zmęczenia, odpowiedziała szczerą prawdą:

— Z powodu snu...

— Snu?

Jakoś łatwiej było rozmawiać, kiedy nie było nic poza tym cichym pytaniem z ciemności i delikatnym uściskiem na nadgarstku. Ponadto mówienie przynosiło ulgę, jakby pozbywała się długo dźwiganego ciężaru. W tym momencie nie było istotne, czy Imfry jej uwierzy, czy nie. Wystarczyło, że zamieniała dręczące myśli w słowa.

Zaczęła od snu, starając się przekazać go tak realnym, jak był dla niej samej, przywołując na myśl każdy szczegół: pokój, naczynia na stole, ceremonialne wejście Ludoriki za odźwiernym, jej damy służebne, obecność Reddicka...

— Nie słyszałam, co mówili, widziałam tylko ruchy warg. To przypominało oglądanie filmu z uszkodzonej kasety, z której usunięto ścieżkę dźwiękową. Ale to było żywe! Naprawdę! — Zatraciła się w przypominaniu. Musiała koniecznie sprawić, żeby zrozumiał, jak ona to wszystko widziała. — Nieraz przedtem śniłam, któż nie śni? Ale nigdy tak.

— Prawdziwe jasnowidzenie — dotarły do niej słowa z ciemności. Równocześnie uświadomiła sobie, że uścisk na jej ręce zacieśnił się aż do bólu. Szarpnęła się gwałtownie, próbując się z niego wyzwolić.

— Jasnowidzenie? — zamieniła jego sformułowanie w pytanie.

— Potrafisz przewidywać, co się wydarzy...

— Ależ nie — zaprzeczyła. — Poddawano mnie badaniom... nie mam mocy przepowiadania. To był sen.

— O malej komnacie w górnym zamku Urkermark, o królowej przyodzianej w dworską żalobę, o podpisywaniu wyroku skazującego mnie na śmierć. Kiedy ostatnio byłaś w Górnym Zamku w Urkermark, lady Roane?

— Nigdy tam nie byłam.

— Pora, byśmy porozmawiali szczerze — jego słowa były dosadne, wyważone. — Jeśli teraz nie połączy nas prawda, nie nastąpi to nigdy... A bez prawdy do niczego nie dojdziemy! Czy rozumiesz to?

Teraz albo nigdy! Ten wybór będzie ostateczny. I zobaczyła w ciemności, tak dokładnie, jakby stała tuż obok, tamten rząd brzęczących maszyn, każda w swej koronie, ze swymi niewolnikami. I zobaczyła Ludorikę, której nie знаła, obcą osobę napawającą ją lękiem, która trzymała w rękach koronę.

— Kim jesteś — ciągnął — albo czym?

Roane wzięła głęboki oddech.

— Jestem... kobietą — odpowiedziała najpierw na jego ostatnie pytanie. — Jestem także Roane Hume. Lecz nie jestem z tego świata...

A więc stało się. Teraz już nie było odwrotu. Zrobiwszy ten pierwszy krok, odrzuciła wszelkie wątpliwości i rzuciła się w nurt strumienia prawdy, który nie tylko może ją porwać, lecz może być końcem wszystkiego, w co nauczono ją wierzyć.

Opowiedziała mu o Służbie, o celu wyprawy na Clio, o przypadkowym spotkaniu z księżniczką, o aparaturze i o tym, co znaczyła dla niego i jego ludu. Kiedy skończyła, była wyczerpana, pusta w środku, lecz jednocześnie lekka i zadowolona z tego ciepłego dotyku na nadgarstku, który łączył ją z żyjącym światem.

— Niewiarygodna historia — zaczął. Drgnęła, usiłując wyrwać rękę, ogarnięta przerażeniem, że on nie wierzy. Natychmiast chwycił mocniej. — Mimo to — mówił dalej — wiem, że to prawda. Mówisz, że nie masz zdolności przewidywania. Być może w rozumieniu twojej cywilizacji nie masz. Lecz mój ród... my po części posiadamy ten dar. Mamy też pewną szczególną tradycję, która przez pokolenia była ściśle strzeżoną tajemnicą.

— To tajemnica, o której normalnie z nikim bym ni« rozmawiał — ciągnął — nawet z bliskim krewnym, chyba że znalazby ją z racji urodzenia. Lecz ponieważ jest to pokrewne temu, co mi opowiedziałaś, zdradzę ci ją. Dotyczy Strażniczek. Jak już wiesz, czcimy je jako bóstwa, zgodnie] z tradycją. Jednak w moim Domu zachowało się podanie według którego założyciel naszego rodu był bezpośrednim sługą Strażniczek. Zgodnie z jego świadectwem nie były one, jak wszyscy wierzą, nieśmiertelne, lecz były istotami krwi i kości. A on, w tamtych zamierzchłych czasach, wykonywał dla nich pewne zadania związane z zarządzaniem życiem w Reveny.

— Kiedy ludzie ocknęli się tutaj pod rozkazami Strażniczek i zaczęli żyć, mój przodek zachował mgliste wspomnienia innego czasu i miejsca, jakby przedtem, zanim obudził się na tej planecie, wiódł inne życie. Zatrzymał je dla siebie, mówiąc o nich jedynie swemu synowi, a ten z kolei swojemu. I tak to przechodziło z pokolenia na pokolenie przez moją dynastię. Były

jeszcze inne sprawy. Mieliśmy jasnowidzów o naszym nazwisku. Oto dlaczego jestem pewien, że; królowa nie była sobą, kiedy znalazła Koronę i rozkazała mnie zgładzić.

Zamyślił się, a po chwili ciągnął dalej:

— Teraz, dzięki tobie, stało się jasne, że to nie działanie żadnego zniewalacza umysłu, lecz że ona, księżę, my wszyscy jesteśmy pionkami przesuwanymi po to, by zrealizować jakiś plan wymyślony przez ludzi, którzy dawno pomarli, którzy nie mieli prawa poddawać naszych przodków takim eksperymentom. Ty jednak boisz się, że likwidacja sterującej nami aparatury będzie równoznaczna z zagładą nas wszystkich.

— Mój wuj się tego obawia. Chce sprowadzić ekspertów ze Służby. Zbadają system instalacji, upewnią się...o ile w ogóle przybędą.

— O ile przybędą! — W jego głosie przebijała gorycz. — Czy mam rozumieć, że twoje wyłamanie się z ich modelu życia może zadecydować o tym, że pozwolą, abyśmy już zawsze żyli pod dominacją terkoczących metalowych przedmiotów? Jakże mają prawo, by przyzwalać na takie niewolnictwo? A może sami są niewolnikami innych eksperymentów? Czy tak jest na wszystkich gwiazdach, że nikt nie jest naprawdę wolny? Wypowiadał teraz na głos jedną z jej ostatnich myśli.

— A ci ludzie z twojej Służby, jeśli przybędą, stracą wiele czasu, może całe lata, na badania, nim zaczną działać. Czy mam rację?

— Tak.

— A przez ten cały czas my będziemy nadal potajemnie rządzili. Ludorika, która jest dobra, będzie wyrządzała zło. Reddick, który pragnie doprowadzić do wojny i zrujnować Reveny, który zamorduje nawet królową, jeśli przez jej śmierć będzie mógł przejąć Koronę, będzie nadal u władzy. Ja... ja uczynię wszystko, co w mojej mocy, by się mu przeciwstawić. Lecz jeśli te maszyny życzą sobie inaczej, poniosę klęskę, zanim jeszcze zacznę!

— Aparaturę można zniszczyć.

— Było już Arothner, które straciło koronę...

— Księżniczka opowiedziała mi tę historię — przyznała Roane.

— A zatem wiesz, czym to się może skończyć. Narazić na takie ryzyko Reveny... cały świat!

— Rezultat nie musi być taki sam! Efekt utracenia korony może być inny, niż skutek uciszenia maszyny.

— Lecz ryzyko jest zbyt wielkie!

— Wybór należy do ciebie.

Zrobiła, co mogła. Jeśli teraz zadecydował, że Clio ma pozostać w niewoli, niech tak będzie.

Znów poruszyła nadgarstkiem i tym razem ją puścił. Poczuli się nagle tak osamotniona, jakby wstał i odszedł. Nie było drogi powrotnej. Została zamknięta w więzieniu, które własnoręcznie, kamień po kamieniu, zbudowała. Mimo to nic potrafiła żałować tego, co zostało

za nią.

Oparła się plecami o szorstki kamień ściany, podciągnęła kolana i oplótła je ramionami jak poduszkę pod głowę. Ta wewnętrzna pustka, wcześniej tak przyjemna, zamieniała się w skłębioną mgłę zmęczenia. Nie obchodziło jej, czy jeszcze kiedyś nadejdzie ranek, jasność, konieczność udźwignięcia ciężaru życia.

Jednak mimo koszmarnego zmęczenia sen nie nadchodził. Zamiast tego jej myśli krążyły i miały się tak, jak rzuca się w łóżku człowiek cierpiący na bezsenność podczas; wlokącej się w nieskończoność nocy. Znow wędrowała w innej światy, przeżywając na nowo taki czy inny drobny fragment przeszłości. Miała wrażenie, że również ona sama, żyjąc życiem, w jakie ją wprowadził wuj Offlas, była zawsze częścią, ustalonego, narzuconego przez niego schematu. Czyżby słowa Nelisa, że w całym gwiazdozbiornie nie ma wolności, były prawdą? Pomimo to reguły Służby zakazywały ingerencji, wtrącania się nawet w dobrej wierze, w przeznaczenie udręczonego świata.

Same schematy, więzy i okowy, żadnej wolności. Roane poruszyła się i wówczas ta ręka z ciemności dosięgła jej ponownie, objęła za ramiona i przyciągnęła blisko do ciepłej, bezpiecznej przystani drugiego ciała; ludzkiego, żywego ciała. Poczula, że nie jest już wygnańcem wypędzonym samotnie w ciemność.

— Co się stało, Roane? Dlaczego płaczesz?

Jego głos musnął ciepłym oddechem jej policzek. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że jej twarz jest rzeczywiście mokra od łez i że płacze tak, jak nie płakała od czasu, gdy była małym, osamotnionym dzieckiem.

— Chyba dlatego, że jestem samotna — próbowała wyrazić słowami dotkliwą pustkę.

— Ależ nie jesteś! Czy uważasz tak dlatego, że przybyłaś z gwiazd i nie znajdujesz tu pokrewnej duszy? Czy chcesz wrócić do swoich? Przyrzekam, że cię do nich zabiorę...

— Oni nie będą mnie teraz chcieli.

— To ty tak sądzisz — przytulił ją mocniej i poczuła, że jest jej bardzo dobrze. — Zastanawiam się, dlaczego Reddick i królowa ukazali ci się w tym śnie? Jak myślisz? Przecież nie starałaś się celowo, tak jak to robi jasnowidz, wyczytać grożącego ci niebezpieczeństwa lub faktu istotnego dla twojego życia. A jednak zobaczyłaś to, co sprowadziło cię do Hitherhow, aby mi pomóc w ucieczce. Takie widzenia nie są czymś zwyczajnym. Skąd się ono wzięło?

Wiedziała, że tym pytaniem taktownie i delikatnie próbuje odwrócić jej myśli od dręczącego ją smutku i skierować na inne tory. Niemniej jednak w tym śnie było rzeczywiście coś dziwnego.

— Nie mam pojęcia. Ale jestem pewna, że nie posiadam daru przewidywania przyszłości. Ludzie z mojej cywilizacji rozumieją te sprawy, sprawdzili mnie. Upewnienie się w tej kwestii było ważne.

— Lecz sama mówiłaś, że tu, na Clio, robisz rzeczy, które są zaprzeczeniem wszystkiego, co ci wpojono; że postępujesz wbrew normom, które w pojęciu twoich współbratymców i przełożonych są zgodne z prawem. A ja poznałem cię na tyle, iż nie wierzę, abyś rozmyślnie

zdecydowała się na łamanie przepisów i lekceważenie poleceń władz. Czyż tak nie jest?

— Nie potrafię tego wyjaśnić, ale kiedy pierwszy raz zobaczyłam księżniczkę, tam w wieży, czułam, że muszę jej pomóc. Wuj Offlas mówi, że wy wszyscy jesteście uwarunkowani. Może kiedy wyszłam poza zabezpieczenia naszego obozu, zadziałało to również na mnie.

— Ale przecież widziałaś maszyny. Księżniczka ich nie widziała. Więc jeśli to faktycznie było uwarunkowanie, dla ciebie nie było zupełne.

— Jaka to teraz różnica? Złamałam reguły Służby. Ja... być może to właśnie ja rozpętałam tę całą kabałę. Księżniczka nie wiedziałaby o Koronie, gdybym nie zabrała jej do jaskini. A gdyby nie znalazła Korony...

— Roane, Roane, nie bierz na siebie winy za cały kraj! Palce dotknęły delikatnie jej policzka, choć obejmujące ją ramię było nadal barierą pomiędzy nią a ciemną samotnością.

— Znowu płaczesz! Posłuchaj mnie, to nie twoja wina! Przyniosłaś dobro, nie zło. Czy nie wyrwałaś wtedy księżniczki z łap ludzi Reddicka? Mogłaś ją zostawić na pastwę losu! I czy nie przyszłaś do Hitherhow... Ja także mogłem umrzeć, a moje umieranie byłoby bardzo długie.

— Był jeszcze sierżant, Mattine i inni...

— Którzy bez twojego udziału mogli również zginąć, nadaremnie. Nie dowiedzielibyśmy się też nigdy o tych maszynach. Ponieważ gdybyś nie zabrała tam księżniczki, czy kiedykolwiek byś je odkryła?

— Może.

— A może nie. Zresztą i tak, gdybyś nie zetknęła się z na«j mi, nie wiedziałabyś, do czego służą. Jeśli się przyjrzeć wszystkiemu, co zrobiłaś, można dostrzec jakiś ukryty sens;|

— Nie rozumiem.

— Ja też nie. Wyczuwam jedynie, że on tam jest. Przyczyna, dla której uratowałaś księżniczkę, a potem dokonałaś całej reszty. Mówisz, że te, które my znamy jako Strażniczki, od dawna nie żyją, a mieszkańcy kosmosu osądzili;: że były złe. Używały ludzi jako narzędzi, i to nie przetrwało, Teraz twoi ludzie boją się zlikwidować skutki ich działania... Lecz wytłumacz mi, dlaczego opowiedziałaś tę historię jednemu człowiekowi w Reveny, który może w nią uwierzyć, i gdyż jego praprzodkowie uniknęli okropieństw zesłanych na Clio?

— Przypadek... szczęście... nie wiem.

— Ani ja. Poza tym, że daje mi do myślenia. Roane, czy trafiłabyś jeszcze raz do tej jaskini?

— Chcesz przez to powiedzieć, że pragniesz uwolnić Koronę?

— Nie wiem. Myślę, że zyskam pewność dopiero kiedy tam stanę i zrozumieję, co oznacza ta niewola. Lecz wiem, że muszę to zrobić. Czy możesz mnie tam zaprowadzić?

— To niezbyt rozsądne. Jaskinia znajduje się w pobliżu Hitherhow. Mogą nas złapać.

— Do odważnych świat należy — odparł żartobliwie.

— Jeśli statek ewakuacyjny jeszcze nie przyleciał, wuj Offlas i Sandar będą w środku.

Zrobią wszystko, żeby nas nie dopuścić, a oni mają broń...

— Tę, której użyłaś przeciwko mnie? Tak, posmakowałem mocy tego waszego niezwykłego oręża. Musimy jednak zaryzykować. Czas ucieka.

— Czy to znaczy, że idziemy zaraz, zanim wrócą sierżant i Mattine?

— Uważam, że to zadanie wymaga jak najmniejszej liczby wykonawców. Lecz poczekamy do świtu, potem ruszamy w drogę. A teraz prześpij się, jeśli możesz.

Nie zmienił pozycji, więc Roane ułożyła się wygodniej w jego objęciach i oparła głowę na jego ramieniu, ponieważ rzeczywiście stwierdziła, że teraz może spać.

Roane zbudziła się pod wpływem jakiegoś wewnętrznego przymusu, choć wokół panowała niczym nie zmacona cisza. Światło brzasku kładło się na murach ich małego azylu. Ramię Imfry'ego nadal ją obejmowało. Tak przytuleni spędzili całą noc. Odwróciła ostrożnie głowę i zobaczyła, że Nelis jeszcze śpi, a przynajmniej ma zamknięte oczy.

Jego brodę pokrywał cień nie golonego zarostu, mimo to we śnie zdawał się o wiele młodszy, bezbronny, a maskująca go zwykle surowość rysów zniknęła. Jego twarz znaczyły bruzdy, zrodzone być może z bólu bądź z odpowiedzialności za podejmowane decyzje, lecz teraz były one ledwo widoczne. Wpatrując się w niego, Roane pomyślała o tym fragmencie snu, którego mu nie opowiedziała — o twarzy widzianej na końcu.

Zataiła to, gdyż twarz nie należała ani do Ludoriki, ani do Reddicka, a jednak pchnęła ją do działania.

Czy teoria Nelisa, że od chwili wylądowania na Clio jakaś siła pchała ją do odgrywania roli sprzecznej z jej naturą, miała pokrycie w prawdzie? Wuj Offlas zdefiniowałby to jako przesąd powszechny w zacofanym świecie i odnotował jako lokalną ciekawostkę na swoich taśmach przeznaczonych do zbadania przez antropologów.

Wiele światów przejawia wiarę w moce potężniejsze niż ludzka, trwa w wierzeniach, których cele przekraczają możliwości rozumienia człowieka. Obserwowała wiernych w świątyniach; parę razy poruszyły ją ceremonie, których uczestnicy wyraźnie zyskiwali poczucie wewnętrznego bezpieczeństwa i spokoju. Lecz było wielu bogów, bogiń, bezimiennych duchów i mocy, z których każde było być może drobnym odłamkiem czegoś większego, do czego rodzaj ludzki tęsknił i za czym szedł na oślep. Czegoś, co musieli mieć, by w to wierzyć, z czego czerpali siłę przetrwania i zwyciężania.

Cała jej edukacja stanowiła przeciwwagę dla myśli, że taka siła wyższa oddziałuje teraz na nią, kierując jej poczynaniami. Lecz gdyby mogła tak myśleć... Roane zazdrościła tym, którzy posiadali wiarę, nawet tym, którzy tutaj patrzyli na Strażniczki jak na istoty, do których mogli się zwrócić w chwilach słabości.

Czy niszcząc aparaturę zniszczą również w jakiś sposób ducha Clio? Co może wkroczyć potem, by wypełnić próżnię.

Roane potrząsnęła głową. Fantazje. Zbyt często w przeszłości rozkazywano jej powściągać wodze wyobraźni. A gdyby kiedykolwiek zdradziła się z takimi nieodpowiedzialnymi spekulacjami przed funkcjonariuszami Służby, mogłaby nawet zostać uznana za odpowiednią kandydatkę do ponownego przeszkolenia umysłowego.

Na tę myśl zadrżała i podniosła wzrok ponad mury zrujnowanego fortu. Niebo przybierało czerwonozłoty odcień. Wschód słońca.

— Nelis...

Jego imię zabrzmiało dziwnie miękko w jej ustach. Spróbowała wysunąć się delikatnie z uścisku, w jakim trzymał ją w godzinach ciemności, lecz jego ramię ciągle wracało, nic chcąc jej wypuścić. W końcu otworzył oczy, mrużąc je od światła.

— Świta — powiedziała Roane, sądząc że jeszcze się na dobre nie przebudził.

— Świta — powtórzył machinalnie, jakby to słowo nie miało dla niego znaczenia. Po chwili rysy jego twarzy stężyły, przybierając na powrót czujny i inteligentny wyraz, a oczy oprzytomniały. Chrząknął, usiadł prosto i przeciągnął się, usiłując rozprostować zeszywniałe i obolałe ciało.

— Twoje medykamenty czynią cuda — zgiął ponownie ramiona, a potem delikatnie dotknął zakrywającego ranę plastra, następnie podniósł kubrak pozostawiony przez sierżanta — Czy masz jeszcze trochę tego dziwaczego jedzenia?

— Wystarczająco.

Przyklękła, by otworzyć plecak.

Soczewki noktowizyjne... Jak mogła o nich zapomnieć? Z ich pomocą mogli wyruszyć już minionej nocy. Było też narzędzie, do którego włożyła teraz ostatnią baterię.

— Kolejna cudaczna broń?

— Niezupełnie. Lecz właśnie to pomogło cię uwolnić z tamtej klatki. Można go użyć do cięcia i kopania. Kruszy kamień, topi metal. Lecz nie mam odpowiednich baterii, została tylko jedna, i to przeznaczona do zasilania promiennika — zakręciła z powrotem nakrętkę i odłożyła przyrząd na bok. Podniósł go.

— To nie tego użyłaś przeciwko mnie w lesie...

— Nie. Tamto mi zabrano.

— Ale to była twoja najlepsza broń?

— Ona jedynie oszalamia. Są inne, bardziej niebezpieczne, lecz nie wolno nam ich nosić w zamkniętych światach. Miotacz, który zabija ogniem, i inne urządzenia. Używa się ich wyłącznie w ostateczności.

W jedną rękę wziął wyrzutnię pocisków, którą nazywał „strzelbą”, a w drugą narzędzie, i porównał je.

— Wy, ludzie, pracujecie w metalu w sposób, w jaki nie możemy się z wami równać. Podobnie jak my jeździmy na dwurożcach, a wy odwiedzacie gwiazdy. Powiedz, jak to jest, tak przechodzić ze świata do świata?

— To jest tak, jak być przed stale zmieniającym się obrazem. Czasami to jest wspaniałe, czasami... — przypomniała sobie i zadrżała — może być straszne.

— Tak, jak ten świat dla ciebie?

— Nie, nie w tym rzecz! Proszę, jedz...

Odkręciła nakrętkę z pierwszej wygrzebanej z tobołka tubki, biorąc drugą dla siebie. Wycisnęła całą jej zawartość, gdyż potrzebowali siły. Ciepła papka smakowała inaczej niż zawsze; była jeszcze bardziej bez smaku, jeszcze mniej apetyczna.

Przełknęła szybko, zgmiotła tubkę na płasko i wsunęła pod kamień, po czym ponownie

spakowała wszystkie rzeczy. Niebo płonęło od wschodzącego słońca. Czy Imfry nadal obstaje przy pójściu do jaskini? Może w ciągu nocy zmienił zdanie? Uniosła na niego wzrok. Stał na wpół odwrócony, patrząc w stronę niebieskawego cienia pofalowanych wzgórz.

— Kierujemy się na zachód — wskazał. — Tam są Thunderbolt i Lhang's Beard...

A więc wybiera znaki orientacyjne. Lecz kiedy znajdą się w dole, w gąszczu lasu, takie drogowskazy na nic im się nie przydadzą, gdyż po prostu będą niewidoczne. Podzieliła się z nim swoimi wątpliwościami.

— Nie jesteśmy tak bezradni, jak ci się zdaje, milady — nacisnął szeroką klamrę u pasa i pokazał jej umieszczoną w środku małą tarczę z liczbami. — To urządzenie pracuje dla nas równie skutecznie przy znajdowaniu drogi, jak wasze kosmiczne cudeńka dla was. Jeszcze tylko jedno...

Zbadał dokładnie grunt, przyklęknął na gładkim kawałku ziemi i zaczął układać zwarte koło z odłamków skał. Wyrównał je i przyklepał, środek pozostawiając pusty. Czubkiem palca wyrysował tam serię linii i kresek, ryjąc najgłębiej, jak to możliwe.

— Dla Wuldona i reszty — wyjaśnił. — To pozwoli im ustalić kierunek naszego marszu i wskaże miejsce późniejszego spotkania.

Kiedy schodzili w dół, skały były już nagrzane promieniami słońca. Roane rozejrzała się, po czym pospiesznie wlepiła wzrok w ścieżkę, unikając patrzenia na boki. Pomyślała, że gdyby nie ciemność panująca dookoła gdy wczoraj wspinali się na górę, chyba nie dałaby rady wejść. Zygzakowata ścieżka sprowadziła ich na dół, gdzie Imfry odczytał wskazania ukrytego w pasku urządzenia i żwawo ruszył przed siebie.

Nie była to, oczywiście, droga prosta. Kluczyli, obchodzili przeszkody, wracali, tracili czas. Lecz jeśli trwał pościg za nimi, to tu nie dotarł. Widzieli ptaki, parę razy mignęły im jakieś zwierzęta, nie było jednak śladów świadczących o tym, że przechodzili tędy ludzie.

Większość drogi przebyli w milczeniu, a energia bijąca z całej postaci Imfry'ego dowodziła, że rana już mu nie dokucza. Roane nie chciała myśleć o tym, co ich czeka. Wystarczało jej rozkoszowanie się tym dniem, który leżał jak bezpieczna przystań pomiędzy przeszłością a przyszłością. Nie skarżyła się na ostre tempo narzucone przez Nelisa, mimo to on sam raz po raz przystawał i proponował, by odpoczęli. W czasie tych postojów rozmawiał z nią, lecz nie o tym, co robią, zrobili bądź zrobią — zupełnie jakby mówienie o tej najbardziej istotnej sprawie miało przynieść pecha.

Mówił za to o Reveny, o Clio, które znał. Roane słuchała tego niczym baśni opowiadanej w Markets of Thoth, gdzie, jak wiadomo, współzawodniczą ze sobą najbardziej uzdolnieni gawędziarze. Roztoczył przed nią obraz miejsca swego urodzenia — Imfry Manholm, położonego w górzystej krainie, gdzie hodowano owce o długiej wełnie i gdzie na małych tarasach wyrąbanych w stromych zboczach uprawiano winorośl rodzącą jagody, z których wyciskano na zimę cierpkie wino.

— Mój brat, jako młodszy syn, jest tam lordem. Gdy był mały, w jego imieniu rządziła jego matka ... Ona była drugą żoną mojego ojca. Brat przyjechał w zeszłym roku do Urkermark

złożyć przysięgę wierności. To dobry, zrównoważony chłopak. Jest już po słowie z dziedziczką Hormford Stead, z drugiej strony doliny.

Siedzieli ramię przy ramieniu na wyścielonym mchem pniu powalonego drzewa, a Imfry ryl obcasem buta rozmięknął ziemię.

— Młodszy syn dziedziczy? W większości światów to przywilej najstarszego.

— Ja jednak uważam to za rozsądne rozwiązanie. Kiedy ojciec umiera, starsi synowie są już zwykle dorośli, prowadzą własne, ustabilizowane życie. Lecz najmłodszy może jeszcze nie być w stanie utorować sobie własnej drogi w świecie, dlatego jest w ten sposób zabezpieczany. Ja wychowałem się we dworze, ze względu na moją matkę... — zamilkł na długą chwilę, gapiąc się w wygrzebywaną butem dziurę. — Mój ojciec miał istotny powód, by sądzić, że wzrastanie w świecie wyjdzie mi na dobre. Moja siostra w młodym wieku zaręczyła się z synem jego najlepszego przyjaciela, szeryfa Erecka. A co z twoim życiem, milady?

— Nie ma dużo do opowiadania. Jestem sierotą, wychowano mnie w sierocińcu Służby, gdzie odnalazł mnie mój wuj. Miałam dobre wyniki testów na zapamiętywanie oraz spore osiągnięcia w pewnych przedmiotach nauczania, więc uznał, że będzie miał ze mnie pożytek w zespole. Dlatego zabrał mnie ze sobą.

— Czy jesteś może zaręczona z tym swoim kuzynem?

— Z Sandarem?

Wypowiedzenie jego imienia sprawiło, że na krótką chwilę stanął jej przed oczyma wyraźny wizerunek kuzyna. Może kiedyś, na samym początku, hołubiła garstkę nieśmiałych dziewczęcych marzeń. Zostały one jednak szybko rozwiane przez pracę z Sandarem, przy którym jej rola sprowadzała się do wykonywania obowiązków kogoś w rodzaju przyglupawej służącej. Na samo wspomnienie o tym Roane poczuła, że płonie ze wstydu i upokorzenia.

— Na pewno nie z Sandarem! — odpowiedziała stanowczo.

— Aż kimś innym, w jednym z twoich gwiazdnych światów?

— Na takie rzeczy w Służbie, albo przynajmniej w planach wuja Offlasa, nie ma czasu. On nawet nie myśli o mnie jako o kobiecie. Jestem dodatkową parą rąk, często, w jego pojęciu, niezdarnych. Zabiera mnie ze sobą, bo jestem jego krewną i wolno mu wykorzystywać mnie na zamkniętych planetach, gdzie ktoś obcy mógłby narobić kłopotów. — Nagle roześmiała się. — Tym razem jednak nie miał szczęścia. Zrobiłam dokładnie to, czego się zawsze obawiał, czyli wpędziłam go w kłopoty. I wiesz, Nelisie... Myślę...mam wrażenie...że wcale się tym nie przejmuję!

I to była prawda! Ostatniej nocy, kiedy opowiedziała mu swoją historię, ciężar faktycznie spadł jej z serca. Wuj Offlas...ona nie musi być jego marionetką. Niech ją oczerni przed Służbą, już jej nie zależy. Tu czeka na nią świat. Nigdy jej nie dopadną, a przynajmniej sądziła, że się nie odważą.

— Dziwne metody... — komentarz Imfry'ego trudno było uznać za trafny, lecz on nie rozwodził się nad tym, tylko wstał, dając tym samym sygnał do dalszego marszu.

Ta osobliwa niefrasobliwość, z jaką rozpoczęła ten marsz, to uczucie oderwania od przeszłości i przyszłości, trwania j w bezpiecznej terażniejszości, przyblakło w czasie drogi. Przez kilka chwil myślała, że nie musi się bać wuja Offlasa. Może i nie musiała, gdyby trzymała się z dala od miejsc, gdzie może go spotkać. Lecz ona dążyła dokładnie do takiego miejsca. Dlaczego?

— Błagam — ominęła krzak, by zrównać się z Imfrym — zachowajmy ostrożność. Nie wyobrażasz sobie nawet, na co ich stać. Jeśli statek ewakuacyjny przyleciał, będzie więcej...

— Przecież sama mówiłaś, że ta maszyna w koronie jest źródłem wszelkiego zła, że musimy ją zniszczyć. Nalegałaś, żebym to zrobił, nie pamiętasz?

— To prawda, ale zapomniałam... — poczuła zaskoczona i zde gustowana, że do oczu znów napływają jej łzy. Co się z nią dzieje? Nigdy w życiu nie była mazgajem. Chyba nie jest już sobą. Rozpaczliwie próbowała się opanować. — Tak, przepraszam... to jedyne rozwiązanie. — Została krok z tyłu, koncentrując się na okiełznaniu targających nią emocji. — Nalegam tylko na zachowanie ostrożności. Oni mają instrumenty, które mogą nas wykryć z dużej odległości.

Wzruszył ramionami.

— Zrobimy, co w naszej mocy. Miejmy nadzieję, że fortuna będzie nam nadal sprzyjać. Jesteśmy — sprawdził na przyrządzie naprowadzającym — niedaleko jaskini. Podejźmy do niej od strony, gdzie przekopali się ludzie Reddicka.

Teraz przekonała się ostatecznie, jak doskonale zna las i jak świetnie sobie w nim radzi. Zwinnie i bezszelestnie niemal wtapiał się w krzaki, stając się, gdy chciał, niewidzialnym, podczas gdy ona pocila się od nieporadnych wysiłków, by dotrzymać mu kroku. Podziwiała jednocześnie rozwagę i daleko posuniętą ostrożność, z jaką parł do przodu. Gdyby jeszcze nie było emiterów i detektorów...

Zatrzymali się przed usypiskiem świeżej ziemi, otaczającym z obu stron dziurę w zboczu, wygrzebaną przez ludzi Reddicka. Imfry odezwał się tak cicho, że Roane musiała niemal czytać słowa z układu jego warg:

— Czy jest tu jakieś urządzenie alarmowe?

— Nie sędzę. Chyba że zainstalowali nowe, bo stary emiter zniszczyłam.

Jego ciało było napięte jak ciało biegacza oczekującego na sygnał startera.

— Do środka! Najszybciej jak potrafisz!

Rzucił się pędem, pokonując odcinek otwartej przestrzeni i zniknął między dwoma hałdami ziemi i skał. Roane pobięła za nim i po chwili stała w miejscu, gdzie Ludorika trzymała Koronę w rękach.

— Zaczekaj!

Uniosła szybko rękę w geście ostrzeżenia. Z poprzedniego doświadczenia z emiterem wiedziała, że jeśli się tam znajduje, wyczuje jego obecność. Tak, jak umiejętności Imfry'ego przeprowadziły ich przez las, tak jej wiedza sprawdzi się tutaj.

Wślizgnęła się do wyboistego skalnego korytarza, słysząc za sobą jego kroki. Jak dotąd nie było śladu urządzeń zabezpieczających, których tak się obawiała. Lecz za każdym razem, gdy przystawała, by posłuchać, słyszała słabe pikanie aparatury.

Dotarli do bardziej wyrównanej części korytarza. Oświetlał go nikły poblask dochodzący z komnaty z maszynami. Roane dotknęła ramienia Nelisa i przysunęła wargi do jego ucha.

— Co widzisz, o tam? — wskazała słabe światło.

— Nic.

— Słyszysz coś? — nalegała.

— Nic. Może dlatego, że nie mogę. Mówiłaś, że z księżniczką było tak samo.

Jeśli rzeczywiście tak jest... Czyżby miała ponieść klęskę, zanim jeszcze zaczęli? Czy on przyjmie na wiarę to, co może mu opisać? Spuściła rękę i oplotła jego palce swoimi.

— Chodź! — Ręka w rękę, złączeni jak dzieci w drodze na plac zabaw, skradali się powoli i ostrożnie w kierunku rozbitej szyby.

A jeśli wuj Offlas i Sandar nadal tu są? Roane nie miała sposobu, by to sprawdzić. Skoro jednak ona i Imfry nie zostali zauważeni przy wejściu, to teraz w każdej chwili mogą się schować. Tu, w środku, było wiele miejsc mogących służyć za kryjówki. Nawet te ukoronowane słupy były wystarczająco wysokie, by się za nimi chwilowo ukryć.

Przy szybie Roane rozluźniła uścisk i uniosła nogę, by przekroczyć próg. Warkot maszyn, światełka, które po mroku korytarza wydawały się bardzo jaskrawe. Lecz poza tym nie było nikogo.

— Teraz!

Nie widziała wyrazu jego twarzy, lecz złapał ją za rękę i ścisnął boleśnie.

— Ty...ty weszłaś...weszłaś...w ścianę — wyjąkał z trudem, jakby nie mógł odzyskać panowania nad sobą.

— Tu jest przejście. Zamknij oczy, nie staraj się nic zobaczyć, tylko idź...

Roane doznała nagłego olśnienia. Może uwarunkowanie istnieje jedynie przy szybie, a kiedy już znajdzie się w środku, będzie widział normalnie.

Pociągnęła go, a on posłusznie ruszył za nią.

— Unieś nogi, tu jest stopień...

Oczy miał zamknięte, a rękę wyciągniętą przed siebie, jakby chciał namacać ścianę, o której obecności informowały go skołowane zmysły. Chwyła te szukające w powietrzu palce i przeprowadziła go do środka.

— Popatrz!

Otworzył oczy. Jego twarz przebiegł skurcz rozpacz.

— Ciemność... ślepa ciemność!

— Cicho!

Roane sprawdzała czy nic się nie rusza między kolumnami, lecz wyglądało na to, że szczęście nadal im dopisuje. Komnata wydawała się pusta.

— Jest zupełnie ciemno — Imfry powoli odzyskiwał kontrolę nad sobą. — Nic nie widzę...

— Zamknij jeszcze raz oczy!

Może skoro nie dane mu jest widzieć, przekona się dotykiem...

Roane pociągnęła go do pierwszego słupa.

— Tu jest kolumna — Zaczęła ją opisywać najprościej, jak potrafiła. — Na powierzchni na wprost ciebie ma szeroką płytę. Wokół niej są rzędy światełek, które bez przerwy zapalają się i gasną, tworząc wzory z poszczególnych kolorów. Na szczycie jest mała korona, wielkości mniej więcej twojej pięści. Ma kształt... chyba najlepiej określić to jako płomień... jaskrawoczerwone. Jarzą się, jakby rzeczywiście płonęły...

— Płomienna Korona Leichstanu! — krzyknął.

— A teraz podaj mi rękę — stanęła tuż za nim, przycisnęła się do jego pleców i objęła wokół talii, sięgając do jego dłoni. Następnie skierowała jego palce na powierzchnię mapy i światełek, przesuając je w poprzek i dookoła.

— Czujesz? — czekała niecierpliwie na odpowiedź, od której tak wiele zależało.

— Tak! A zatem to są światełka? A korona?

— Jest za wysoko, by jej dotknąć.

— A gdzie jest Korona Reveny? — spytał natarczywie.

— Tutaj!

Podprowadziła go kawałek dalej i zatrzymała przed właściwym słupem, po czym opisała jaz najdrobniejszymi szczegółami.

— Opowiedz mi teraz o pozostałych!

Zrobiła, o co prosił, prowadząc go od kolumny do kolumny i opisując, co widzi, a on tylko od czasu do czasu dotykał ich, żeby się upewnić, że rzeczywiście istnieją. W końcu podeszli do tej nieczynnej, a ponieważ nie świeciła, Roane skierowała na nią promiennik.

Diadem ze żłobionych muszli przybrał nieprzyjemny zielonkawy kolor, świadczący o stanie rozkładu.

— To faktycznie Korona Arothner — przyznał. — Wymieniłaś każdy znany mi kraj. Czy to wszystkie?

— Tak.

— I one, twoim zdaniem, rządzą naszymi myślami, mogą wynieść królestwo wysoko, a potem je obrócić w proch...

— Tak uważamy — znów, po pewnym okresie czasu, uosobiła się podświadomie ze Służbą.

— Chociaż dokumentacja hierarchii Psychokratów została w większości zniszczona w wyniku wybuchu w ich stacji dowodzenia, udało się złożyć w całość niektóre strzępy informacji. My osobiście mamy przedłużenia komputerów, które są w ogólnej budowie podobne do tych tutaj. Na pewno pomiędzy kolumną a koroną istnieje połączenie za pomocą nadajnika.

— To dużo wyjaśnia — powiedział, jakby do siebie. — Na przykład to, dlaczego w przeszłości niektórzy królowie zdawali się obalać samych siebie. To jedna z wielu zagadek. Roane... — Imfry odwrócił się, szukając jej szeroko otwartymi oczyma, choć stała tuż przed nim. — Masz całkowitą rację. To jest zło, najczarniejszy rodzaj zła! I lepiej jest znosić chaos, niż takie zniewolenie. Widziałem na własne oczy, jak to działa na królową. Trzymając Koronę stała się kimś innym. Osobą... rzeczą... dokładnie taką, jak to sobie wymyśliło. Trzeba z tym skończyć!

Jego głos przybrał na sile, lecz to nie rozproszyło czujności Roane. Deformator! Gdzieś wśród tych podziemnych korytarzy zaczął nadawać deformator!

— Szybko! — pociągnęła go za sobą i wepchnęła za kolumnę stojącą najdalej od wejścia. Uczucie odpychania stawało się coraz silniejsze.

— Coś się dzieje... Czuję, że muszę stąd odejść — powiedział zaniepokojony Imfry.

— Wiem. To deformator, urządzenie zabezpieczające. Jeśli je tu ustawili...

Może jej udałoby się przelamać, tak jak poprzednio, barierę promieniowania, miała jednak poważne wątpliwości, czy uda się to Nelisowi.

Jakiś ruch przy szybie... Sandar! Wślizgnął się zwinnie do środka i ukrył w ciemności za słupami. A więc musi podejrzewać ich obecność. Roane wiedziała, że z całą pewnością jest uzbrojony w paralizator. Wystarczy, by nacisnął guzik, a staną się zupełnie bezbronni. Chyba że obawia się stosować promieniowanie w pobliżu tych słupów, nie będąc pewnym reakcji.

Przycisnęła ostrzegawczo ramię Imfry'ego, czując jak bardzo jest napięty. Gdyby miał taki wzrok jak ona, miałoby może szansę przekraść się za tym rzędem kolumn, naprzeciwko tamtych, za którymi przyczaił się Sandar. Lecz jeśli w wyjściu stał deformator, to nawet gdyby zdołali się tam przedrzeć, i tak by nie wyszli. W tej chwili Roane nie przychodziło nic lepszego do głowy, jak siedzieć cicho w ukryciu.

Imfry miał swoją „strzelbę”, ona — narzędzie, lecz ani jedno, ani drugie nie było obroną przed paralizatorem. Czy narzędzie dałoby radę unicestwić deformator i utworzyć im drogę, tak jak unieszkodliwiło blokader? Może, ale Roane nie mogła wciągać Nelisa do zabawy w ciuciubabkę. A pozostawienie go tutaj oznaczało wystawienie go, bezbronno, na łup Sandara.

Nie wątpiła, że jej kuzyn przemieszcza się teraz ukryty za kolumnami, choć jej uszu dobiegał jedynie klekot maszyn. Była tak zaabsorbowana nasłuchiwaniami podejrzanych odgłosów, że niemal podskoczyła, gdy jakiś głos zawołał:

— Roane, wiem, że tu jesteś... — słowa były w języku Basic i odbijały się głośnie echem, więc nie była pewna, z jakiego padły kierunku.

— Statek ewakuacyjny jest w drodze — ciągnął Sandar. — Kiedy wyląduje, wiesz, czego się spodziewać... Ubezważniam cię. Możesz tego uniknąć, jeśli się poddasz. Im więcej dasz

dowodów nienormalnego zachowania, tym gorzej dla ciebie, gdy się zjawią inspektorzy.

Próbował ją nastraszyć i musiała przyznać, że częściowo mu się udało. Jeśli ci, którzy wylądowali zostali uprzedzeni o jej postępkach, nie będą mieli żadnej litości — zastosują najszybszą metodę rozprawienia się z nią. Wystarczy, że ściagną miotacz unieruchamiający i aerozol, a ona i Imfry zostaną zamknięci w więzieniu tak ciasnym, jak klatka w Hitherhow. A ją ostatecznie czeka w najlepszym wypadku kompletna umysłowa reedukacja. Co oznaczało, że musi... muszą uciec, zanim to nastąpi.

— Nie wydostaniesz się stąd — głos Sandara ustawicznie odbijał się od ścian. Nic mogła dłużej czekać. Każda szansa była jednakowo dobra. To pojedynek pomiędzy nimi dwojgiem. Sandar skoncentruje się na niej, nie na Imfrym. Zaryzykowała szept.

— Zostań tutaj!

Jego dłoń otarła się o jej ramię, dodając jej milczącej odwagi. Dowodziło to, że ją rozumie. Roane prześlizgnęła się do sąsiedniego słupa. Przywykła już do odbijającego się; echem głosu i wnioskowała, że Sandar pozostaje blisko wyjścia.

Gdyby zdołała odwrócić jego uwagę... Ależ tak, zniszczona Korona Arothner! Przystanęła i wycelowała narzędziem w matowy czubek.

Jaskrawy błysk i korona zniknęła, zamieniając się w gorejące, skapujące w dół kropelki. W tym samym momencie zauważyła Sandara przeskakującego od jednego słupa do drugiego. Teraz kolej na nią. Wymachując desperacko narzędziem wycelowała w skalę pod jego nogami. W podłożu zrobiła się wyrwa. Krzyknął głośno i zachwiał się, tracąc punkt oparcia, lecz nie upuścił paralizatora. Przeciwnie, unosił go w górę, by... Roane ponownie wystrzeliła promieniem, próbując go wytrącić z jego ręki. Krawędź promienia rzeczywiście go dotknęła, lecz pełna moc uwolnionej przez nią energii przecięła na pół kolumnę z Lodową Koroną Reveny.

Roane skulona na ziemi obserwowała, jak świat rozpada się na kawałki w gorejących płomieniach. Skalna podłoga kołysała się i ugiwała jak powierzchnia bulgoczącego bagna. Kolumna, która wchłonęła większość energii narzędzia, była teraz płonąca oślepiającym blaskiem pochodnią. Wyskakujące z niej żółtobiałe macki sięgały sąsiednich słupów, sprawiając, że te również stawały w ogniu.

Imfry... On nie widzi, a jest za jednym z nich. Może paść ofiarą pożogi, ogarniającej kolejno wszystkie kolumny. Tylko że teraz ona była równie ślepa jak on...

Zaczęła się czołgać, macając drogę rękoma. Nagły strumień dźwięku ogłuszył ją, tak jak blask pozbawił ją widzenia. Warkot zmienił się w przeraźliwy skowyt, jakby kolumny były żywymi istotami, cierpiącymi okrutne katusze. Ogarnęła ją taka fala gorąca, że ledwo mogła oddychać.

Nie wiedziała, jak dotarła do Imfry'ego. Jakimś szczęśliwym trafem wpadła na jego skulone ciało. Opierając się o niego stanęła na nogi i pociągnęła go za sobą. Cofali się na oślep, aż uderzyli o tylną ścianę komnaty. Stąd nie było ucieczki — nie w sytuacji, gdy oboje byli ślepi i tak bardzo oddaleni od wyjścia. Mogli jedynie przeczekać i mieć nadzieję, że nie pochłonie ich szalejący żywioł, bluzgający ogłuszającym hukiem i duszącą gorączką.

Sandar! Roane przypomniała sobie o nim i jej twarz wykrzywił grymas. Czy znajdował się w bezpośrednim zasięgu tego wybuchu? Jeśli tak, to z jej przyczyny już nie żył. Nie chciała tego. Nie zamierzała go skrzywdzić, tylko wytrącić mu paralizator, dać szansę sobie i Imfry'emu...

Ryk zamierał... albo jej słuch stępiał. Gorączka też jakby zelżała. Roane usiłowała coś dojrzeć, lecz z piekących oczu tryskały łzy i turlały się w dół po policzkach, gdzie rozmazywała je niecierpliwie wolną ręką, drugą trzymając się kurczowo Imfry'ego. Przed oczyma miała krwawoszkarłatną kurtynę oddzielającą ją od świata.

Nie wiedziała, jak długo szalał niszczący żywioł. Może trwało to godzinę, a może dzień, gdyż zdawało się nie mieć końca. Lecz w którymś momencie Roane doszła do wniosku, że już po wszystkim, ponieważ temperatura spadła, a ryki ucichły. Byli uwięzieni w pułapce kompletnych ciemności, gdzie trudno było oddychać. Łapała ciężko powietrze, słysząc obok nierówny oddech swego towarzysza.

— Wyjdźmy... stąd...

Dojść po ścianie do wyjścia? To była ich jedyna szansa. Pociągnęła Nelisa, lecz on już szedł. Roane nie była nawet pewna kierunku, choć sądziła, że muszą iść w lewo. Przewodnikiem była jedna ręka na nagrzanym kamieniu, podczas gdy druga stanowiła między nimi łącznik, żeby się nie zgubili. Oczy Roane ciągle łzawiły i piekły. Zrodził się w niej nowy strach. Czy straciła wzrok? Wtedy, po raz pierwszy, odezwał się Imfry.

— Gdzie... gdzie jesteśmy?

W jego głosie była niepewność, jakiej nigdy przedtem nie słyszała. Reagował jak ktoś zbudzony gwałtownie w obcym miejscu z głębokiego snu.

— W komnacie z aparaturą. Nie... Zostań ze mną! — krzyknęła, gdyż ręka Nelisa zaczęła

się szarpać, a on sam zrobił gwałtowny ruch do przodu, żeby wyrwać się z jej uchwytu. Przytrzymała go mocno i pchnęła naprzód.

— Kim jesteś? — znów to tępe zdziwienie. — Co... co ja tu robię? Gdzie to jest?

— Zaczekaj... Stój spokojnie, bo inaczej nic wydostaniemy się stąd! — Starła się, by jej słowa brzmiały zdecydowanie i nakazujące; by do niego dotarły. — Nie widzimy. Ale jeśli będziemy się trzymać ściany, możemy odnaleźć wyjście.

— Kim jesteś? — Nie wrywał się już, lecz zatrzymał się tak gwałtownie, że na niego wpadła.

— Jestem Roane... Roane Hume... — Nie rozumiała, co się z nim dzieje i to potęgowało jej strach. A jeśli... Nie, nie może tak myśleć. — Chodź! Musisz iść... Musimy stąd wyjść! — zaczynała tracić opanowanie, a jej głos stał się piskliwy.

— Wyjść... gdzie? — Zrobił kolejny krok naprzód, jakby jej natarczywość i silne popychanie dawały mu impuls do działania.

— Wyjść na powietrze! Proszę, musimy iść! Och, proszę... Ruszaj się, musisz, musisz!

W końcu ustąpił i przestał się zapierać. A gdy po kilku krokach znów przystanął, zebrała się na odwagę i zdesperowana walnęła go pięścią w ramię.

— Naprzód!

— Nic mogę. Tu jest mur.

Najpierw wpadła w totalną panikę, lecz po paru sekundach wzięła górę resztką zdrowego rozsądku. Oczywiście, dotarli do narożnika! Znaleźli ścianę, w której umieszczona była szyba.

— W prawo... skręć w prawo... — zaczęła go tarosić i ciągnąć.

Może „lewo” i „prawo” nic dla niego nie znaczyły. Zdołała go w końcu odwrócić i ustawić na nowy kierunek. A potem, jak błogosławieństwo, poczuła na twarzy chłodne powietrze płynące z wyjścia!

— Przejdź tędy! Uważaj, tu jest stopień...

Udało się go przepchnąć. Deformator... Lecz wybuch musiał go unieszkodliwić. Stali bezpieczni w korytarzu, wdychając nie skażone powietrze. Roane oparła się o ścianę i wciągała głęboko w umęczone płuca ten ożywczy chłód.

Szkarłatna kurtyna sprzed jej oczu zniknęła. Teraz mogła spróbować tylko jednego. Pogrzebała w tobołku, wyjęła soczewki noktowizyjne i nałożyła je. Przez chwilę bala się spojrzeć.

Oczy ciągle piekły, paliły, czuła, jakby ktoś nasypał jej do kącików i pod powieki gorącego piasku. Lecz... widziała! Choć było to patrzenie przez mgłę. Przysunęła się blisko

Imfry'ego i przyjrzała mu się badawczo. Podobnie jak ona przedtem, oparł się o ścianę i niemrawo pocierał rękoma twarz, jakby chciał zetrzeć coś, co się do niej przykleiło. Niej widziała jednak żadnych poparzeń czy skaleczeń.

A więc udało im się uciec. I m się udało, a co z Sandarem? Obejrzała się za siebie. Komnata nie promieniowała już światłem i panowała w niej martwa cisza. Martwa... Zawahała się. Możliwe, że wstrząs wybuchu został odnotowany przez załogę statku ewakuacyjnego. Przeciwno nim ona i Imfry byli bezbronni. Mimo to coś ją trzymało na miejscu, i nie pozwalając zrobić nawet jednego kroku w kierunku wyjścia z jaskini, za którym znajdowała się strefa bezpieczeństwa.

Roane chwyciła Nelisa za rękę, ścisnęła ją mocno i usiłując napotkać jego rozbiegany wzrok powiedziała:

— Musisz tu zostać, dopóki nie wrócę — akcentowała z naciskiem każde słowo.

— Zostać... wrócę... — powtórzył.

Jego usta obwisły sflaczałe, na wpół otwarte. Nigdy nie widziała nic równie pustego jak jego twarz. Ogarniało ją coraz większe przerażenie. Nie miała odwagi myśleć o jego stanie.

Wbiegła z powrotem do komnaty, zmuszając się do skoncentrowania uwagi na Sandarze. Nadal widziała wszystko jak przez mgłę, lecz soczewki bardzo jej pomogły. Z duszą na ramieniu oglądała skutki tego, co się tu dokonało. Tam gdzie kiedyś stały kolumny, teraz sterczały rozdarte kikuty. Korony zniknęły. Gorzki dym drapał w gardle, pobudzał do kaszlu.

Gdzie Sandar? Bez koron umożliwiającą orientację, czuła się kompletnie zagubiona. Zataczając się, szła od kolumny do kolumny, nie mając pewności, czy znajdzie choćby jego szczątki. W ustach rosła jej kwaśna buła, musiała więc nieustannie przelykać ślinę, by nad nią zapanować. Potem zobaczyła zwalone bez czucia ciało. Rzuciła się do niego.

Nie było widać potwornych oznak śmierci w płomieniach. Jednak gdy potrząsnęła go za ramię, odwrócił się ciężko i bezwładnie. Może jeszcze żyje. Należało go wyciągnąć z tej zatrutej atmosfery. Zdołała ująć go pod pachy, po czym zaczęła gramolić się do tyłu, ciągnąc go po ziemi. Uderzyła nim w stopień przy szybie, uniosła go nieco, pchnęła i pozwoliła mu się zwalić z drugiej strony, na korytarz. Ponownie obróciła go twarzą do góry i poszukała ręką bicia serca. Dokładnie w momencie, kiedy stwierdziła, że trzepece, zatrząsł się grunt pod jej nogami. Roane krzyknęła ze strachu, że cały ten tunel zwali im się zaraz na głowę.

Sandar zakaszlał słabiutko. Jego głowa zaczęła się obracać to w jedną, to w drugą stronę, a ręce odpychały się od skalnego podłoża, jakby chciał się podnieść. Tunel...

Wtedy Roane zrozumiała. Upewniły ją wspomnienia z dawnego życia, życia tej innej, starej Roane. Ten wstrząs został spowodowany przez rakiety hamujące. Wylądował statek ewakuacyjny.

Ostatni dzwonek, by uciekać. Podniosła się. Jej kuzyn żyje i wkrótce zaopiekują się nim ludzie z załogi. Jeśli ona i Imfry mają uciec, muszą to zrobić natychmiast. Nelis stał nadal oparty o ścianę, lecz ręce miał teraz opuszczone, przyciśnięte do wygładzonej skały, a głowę wysuniętą do przodu, jakby nasłuchiwał tego, czego nie mógł zobaczyć. Kiedy się poruszyła, jego twarz zwróciła się błyskawicznie ku niej.

— Kto tam? — w pytaniu przebijał ton nowej szorstkości. Jego głos nie był już tak otępiały.

— Roane. Musimy już iść.

Kiedy go dotknęła, jego napięte ciało stwardniało jak żelazo. Uniósł rękę i uderzył na oślep, jakby chciał ją odstraszyć.

— Iść dokąd? — zapytał ostro.

— Wyjść stąd. I to szybko. Przyjdą tu szukać Sandara, obejrzeć aparaturę... Nie mogą nas tu zastać.

— Kto nie może nas tu zastać? — Był głuchy na jej nalegania, uparty w swej nieustępliwości.

— Wuj Offlas... tamci ze statku ewakuacyjnego. Musimy iść!

— Mówisz poważnie. Boisz się. Czuję twój strach. Kim jesteś?

— Roane. Jestem Roane.

Była bliska łez. Jego głos był wyraźniejszy, a twarz już nie tak sflaczała, bez tamtego wyrazu tępej bezmyślności. Ale że jej nie poznaje... to było coś strasznego.

— Roane — powtórzył. — A kim ja jestem? Zadrżała. Jej najgorsza obawa zaczynała się urzeczywistniać.

— Jesteś pułkownikiem Nelisem Imfry. Czy nic nie pamiętasz? Zupełnie nic?

Nie odpowiedział wprost. Wyglądało raczej, że chce tego unikać.

— Boisz się o siebie? — zapytał.

— O siebie, tak — odparła szczerze. — I o ciebie. Istnieją wystarczające powody, dla których będą chcieli dostać nas oboje w swoje ręce. Proszę, chodźmy już...

Ponownie wyciągnęła do niego rękę. Bała się, że może ją uderzyć, mimo to była zdecydowana poderwać go do ucieczki.

Jednak tym razem jego dłoń nie była zaciśnięta w pięść, lecz otwarta na przyjęcie jej dłoni. Ujęła ją skwapliwie.

— Chodź!

Znów pociągnęła go wzdłuż korytarza, najszybszym tempem, jakie zdołała na nim wymusić. Wreszcie znaleźli się na powietrzu. Miała nadzieję, że z dala od pomieszczenia z aparaturą Imfry odzyska wzrok. Jednak on nadal trzymał się jej kurczowo, nawet kiedy weszli w noc.

Owiał ich słodki, chłodny wiatr, wolny od gryzącego smrodu. Roane widziała, jak Nelis wystawia na niego twarz. Potem powiedział niemal beznamiętnie:

— Widzę.

Z okrzykiem ulgi puściła jego rękę. W jej oczach wszystko było nadal zamazane, nawet soczewki nie pomagały nadać przedmiotom wyraźnych zarysów. Bała się myśleć o tym, że to uszkodzenie może być trwale.

— To bardzo dziwne — kontynuował Imfry, sprawiając wrażenie, że głośno myśli, a nie zwraca się do niej. — Mam w głowie jakąś pustkę...

Potem, z większą mocą, jakby wygłaszając jakąś formułę, konieczną by ustalić coś, co stało

się faktem, dodał:

— Jestem Nelis Imfry, z Domu Imfry–Manholm. Jestem pułkownikiem w służbie Jej Wysokości Królowej Ludoriki z Reveny. Jestem sobą, Nelisem Imfry!

Ucichł, szukając wzrokiem gwiazd w miejscu, gdzie potrząsane wiatrem gałęzie na przemian odsłaniały i chowały ich blask. Wschodził błądy księżyc, przecinając swym srebrnym sierpem bezchmurne niebo.

— Pamiętam, ale to jest tak, jakby tamte wspomnienia się zatary. A jednak jestem Nelisem Imfry i cała reszta też jest prawdą.

— Tak — odpowiedziała.

Wydawało się, że jej głos wstrząsnął nim tak bardzo, iż ocknął się z tego podobnego do transu stanu. Obrócił się gwałtownie, jakby w obawie, że stanie twarzą w twarz z nieprzyjacielem. Stał w milczeniu i wpatrywał się w nią uważnie, jak ktoś studiujący punkt orientacyjny, który okazał się inny, niż oczekiwał.

— Powiedz mi — rozkazał — co się wydarzyło. Dlaczego byłem w ciemności?

— Kiedy próbowałam powstrzymać Sandara, promień energii przeciął jedną z kolumn. To uruchomiło reakcję łańcuchową. Cała aparatura uległa zniszczeniu, korony zniknęły.

Czy on to zrozumie?

Jego ciemne brwi ściągnęły się w jedną linię:

— Korony? Kolumny?

— Aparatura pozostawiona przez Psychokratów i rządząca tym światem...

Usta pułkownika zacisnęły się mocno:

— Reveny rządzi Królowa.

— Teraz tak — przytaknęła Roane, zastanawiając się, czy to rzeczywiście prawda i czy zniszczenie koron nie ściągnęło na Reveny losu Arothner.

— Mówisz o faktach, w które wierzysz, ale dla mnie to nie jest jasne. Wytlumacz mi!

Zrobił krok naprzód, jakby zamierzał to z niej wytrząsnąć.

Znów ogarnął ją strach. Ten wymizerowany obcy o dzikim spojrzeniu nie był Nelisem Imfry. Czy właśnie na tym polegał skutek unicestwienia koron? W pułkowniku dokonała się wyraźna zmiana, tak jak w przypadku Ludoriki, kiedy trzymała Lodową Koronę.

— To długa historia — powiedziała bezradnie.

— Nieważne. Opowiadaj!

Tak więc raz jeszcze przebrnęła przez znajomą opowieść. Z tą różnicą, że tym razem mówienie nie przynosiło jej ulgi, tylko uczucie zimna, zrodzone nie z chłodnego wiatru, lecz z poczucia ogromnego osamotnienia.

Śluchał uważnie, choć wyraz jego wychudzonej twarzy nie ulegał widocznym zmianom.

Zachowywał się jak sędzia przewodniczący procesowi, w którym ona była oskarżoną.

Nie przerywał jej żadnymi pytaniami, lecz wysłuchał do samego końca, którym było nieplanowane zniszczenie aparatury. Kiedy skończyła mówić, była do tego stopnia wyczerpana, że chwiała się na nogach. Ból w oczach był coraz dotkliwszy, obejmował nawet tył głowy i sprawiał, że zaczynała tracić świadomość tego, co ją otacza.

— Rozumiesz, jakie niebezpieczeństwo nam grozi, jeśli ci ze Służby nas znajdą? Nie możemy do tego dopuścić!

W to ostatnie ostrzeżenie włożyła całą energię, jaka jej pozostała. Jej oczy... jej głowa... nie wytrzyma tego dłużej! Potem było kołysanie, jakiś krzyk, a później koszmarny ból, pochłaniające ją, niezmiernie morze ognia.

Chłód, błogosławiony chłód... Ciemno i chłodno. Ukryć się w tym ciemnym, chłodnym miejscu i nigdzie się stąd nie ruszać. Raczej odczucie, niż myśl. Chłód i wilgoć — ogień zniknął. Nie chciała się ruszać, mimo to ruszała się. Próbowwała zaprotestować, lecz odkryła, że brak jej siły na sformułowanie słów. Usłyszała stłumiony jęk. Czyżby własny?

— Roane...

Szmer docierający przez chłodną ciemność. Nie... niech ją zostawią w spokoju... po prostu niech ją zostawią w spokoju!

— Roane!

Zamajaczyło jej, że ktoś ją wzywa. Nie odpowie. Niech ją zostawią! Poruszała się faktycznie, choć nie na własnych nogach. A wstrząsy przyprawiały o ból głowy, więc uczyniła wielki wysilek i wydawało jej się, że błaga, żeby ją zostawiono w spokoju. Ale albo jej nie usłyszeli, albo zlekceważyli jej prośbę. Ponownie uciekła w chłodną ciemność.

Jednak po raz drugi wyciągnięto ją z tego azylu i nie pozwalano ześlizgnąć się z powrotem. Leżała na czymś twardym, choć czuła pod sobą jakąś podściółkę. Twarz miała mokrą, jakby przebywała na dworze podczas burzy, lecz brało się to z namoczonej szmatki, zakrywającej jej oczy i czoło. Przynajmniej leży nieruchomo, żadnego ruchu torturującego jej ciało.

— ... wysoki jak warownia, przysięgam, sir. Nic podobnego nigdy dotąd nie widziałem. I naliczyłem tam pięciu ludzi. Wchodzili i wychodzili po drabinie, wnosząc do środka jakieś pakunki. A jeszcze paru poszło do jaskini. Widząc ten latający dom, musi się uwierzyć w całą tę historię. Ale ludzie podróżujący do gwiazd? Trzeba mieć jakiś dowód na potwierdzenie takiej opowieści. A z tym moim pustym łbem... cóż, mógłbym powiedzieć, że mi się przyśniło... albo że to jakaś sztuczka jasnowidza. Czy jesteś pewien, sir, że tak nie jest? Idzie mi o to, że skoro Shambry był dość silny, by w taki sposób zniewolić królową, to może teraz zadziałał na nas... nawet na odległość.

— Żaden człowiek nie może sprawić, żebyś widział to, o istnieniu czego on sam nie wie. Shambry nigdy nie widział kosmicznego statku, bo ich u nas nie ma.

— Niby racja. Tylko to dziwaczne uczucie w głowie... Chociaż teraz już ustępuje, sir. Ale

powiadam ci, z początku, zaraz po tym, jak uderzyło, było naprawdę źle. Mattine przez jakiś czas latał w kółko i wyrzaskiwał, że jest zwiadowcą Nimpów i różne inne bzdury. Przynajmniej tak mi się wydawało. Hunlow musiał mu przyłożyć, kiedy wyciągnął miecz. A co się tyczy reszty z nas, to przez jakiś czas nie wiedzieliśmy nawet, jak się nazywamy. Jeśli tak było z nami, tutaj, to pomyśleć, co się działo w mieście, przy tych wszystkich otumanionych i wariujących ludziach! Niektórzy potrzebują więcej czasu, żeby z tego wyjść. Tak było z Fleechem. Przez większą część marszu musieliśmy go ciągnąć i w kółko mu powtarzać, kim jest i gdzie jesteśmy. Paskudna sprawa. Gorsza niż odpieranie szarży Nimpów.

Wuldon. Spowolniony umysł Roane opornie dopasował nazwisko do głosu. Kto jeszcze z nim jest? Oni... lub Wuldon... widzieli statek ewakuacyjny. A jeśli załoga teraz ich ściga? Musi ostrzec...

Uniesienie ręki do twarzy i pociągnięcie za mokrą szmatkę zakrywającą oczy wymagało ogromnego wysiłku.

— Nelis...

Jej głos był głosem ducha, ledwo słyszalnym szmerem strumyka. Wywołał jednak natychmiastową reakcję.

— Roane!

Imfry powstrzymał rękę usiłującą zsunąć szmatkę i ułożył ją ponownie przy jej boku. A więc znów wiedział... rozumiał...

— Zostaw ten okład jeszcze przez jakiś czas. Twoje oczy są w fatalnym stanie. Masz potworne zapalenie. Czy wiesz, kim jestem?

Czyżby myślał, że to ona postradała zmysły?

— Nelis Imfry — odpowiedziała, wybuchając oburzeniem. — I Wuldon jest tu także. Ale — przypomniała sobie tamtą drugą pilną sprawę — Nelis... ten statek... oni nie mogą nas znaleźć!

— Zapewniam cię, że nie znajdą. Dzieli nas łańcuch wzgórz, poza tym mamy zwiadowców na czatach. Wziąłem sobie do serca twoje ostrzeżenia o ich potędze i możliwościach i, z całym szacunkiem dla nich, podjąłem stosowne kroki. Żadnego ryzyka. A na pierwszy sygnał o jakimkolwiek pościgu, ruszamy na szlak. A teraz — silne ramię wśliznęło się pod jej głowę i uniosło ją nieco — wypij to!

Chłodny metal na wargach. Pociągnęła lyczek, po czym zachłysnęła się i zaczęła kaszleć. Płyn był bardzo ostry i szczypał w podniebienie.

— Nie...

Jednak Imfry nie ustępował:

— Jeszcze trochę... To jest to, czego ci teraz potrzeba. Po kilku łykach uznała, że to nie jest takie złe, więc piła posłusznie, dopóki nie zabrano jej kubka.

— Moja torba... lekarstwa...

— Jest tutaj, milady! — To był Wuldon.

— Poszukaj białej buteleczki. — Wraz ze spływaniem palącego napoju do żołądka Roane odzyskiwała zarówno siły, jak i zdolność myślenia. — Zawiera zielony płyn, krople do oczu.

— Mam! — Potem Imfry spytał: — Ile?

— Dwie do każdego oka, na razie.

Ułożył ją na powrót na cienkiej podkładce udającej łóżko i ściągnął mokry okład. Światło przyprawiało o zawroty głowy i raziło bolące oczy, lecz zmuszała się do leżenia bez ruchu, kiedy wkraplał lekarstwo. Piekło okropnie, ale nie był to już ból, jakiego zaznała przedtem. Zacisnęła mocno powieki. Jeśli krople zadziałają, szybko poczuje ulgę.

W myślach liczyła powoli do stu, słysząc ciche odgłosy, jakby pakowali na nowo jej torbę. Potem otworzyła oczy. Światło sprawiało ból, lecz widziała, i to bardziej wyraźnie niż kiedykolwiek od momentu tamtej reakcji łańcuchowej.

Nelis, z dłuższym i ciemniejszym, nie golonym od kilku dni zarostem i rozwichrzonym łokiem włosów opadających na czoło... Pochylony sierżant...

— Widzę — powiedziała głośno, bardziej żeby upewnić samą siebie, niż poinformować tamtych. — Pozwólcie mi patrzeć... proszę, pozwólcie mi!

Nagle poczuła, że musi się raz jeszcze upewnić o tym ozdrowieniu.

Nelis podniósł ją ponownie, zanim zdążyła zrobić to sama. Byli na polanie. Musiało być wczesne przedpołudnie. W pewnej odległości krzatali się lub siedzieli ludzie.

Za nimi, między drzewami, była rozciągnięta lina, do której przywiązano wodze osiodłanych dwurożców. Zwierzęta stąpały w miejscu i wymachiwały ogonami, by odpędzić owady.

Niektórzy mężczyźni byli w mundurach. Pozostali nosili cywilne ubrania bądź zielone uniformy leśników. Ich mała grupka uciekinierów powiększyła się wielokrotnie.

— Czy możesz jeść, milady? Mamy tylko racje polowe... i została jeszcze jedna tubka tej twojej papki...

— Przynieś ją! — rozkazał Imfry, a sierżant zniknął z jej pola widzenia. — Jak twoje oczy?

— Widzę, to najważniejsze!

Z przepelniającego ją uczucia radości wnioskowała, jak głęboko sięgał przedtem jej strach.

— Czy pozostali wiedzą, co się wydarzyło? — spytała.

— Nie wszyscy. Takich historii się nie rozpowiada. Dowiedzieć się, że było się niewolnikiem maszyny... — w jego głosie przebijała skrywana gwałtowność i gorycz — i jak daleko ta dominacja sięgała...

— Ludorika ma Koronę... — jej myśl podążała za jego. — Jeśli to tak podziało na was wszystkich, którzy nie mieliście z tym bezpośredniego kontaktu, to co spotkało tych, którzy dzierżą korony?

Patrzył gdzieś poza nią, jakby nie chciał widzieć tego, co kryje się w jej oczach.

— Tego musimy się dowiedzieć. Zniszczenie maszyn zdaje się oddziaływać na ludzi na

różnorakie sposoby. Jak dotąd wszyscy otrząsnęli się z tego, lecz u niektórych oszołomienie trwało dłużej, było głębsze. A oni wszyscy są stosunkowo daleko odsunięci od wpływu. Tak jak mówisz, co się stało z tymi, którzy są blisko koron...

— Proszę, milady — sierżant wrócił z racją żywnościową.

Roane łapczywie wysłała półpłynną zawartość, gdyż odkryła, że jest niesamowicie głodna.

Jej wyzdrowienie okazało się sygnałem, na który czekali. Sierżant Wuldon podszedł do uwiązanych zwierząt, a mężczyźni zaczęli wyjeżdżać po dwóch, trzech, salutując mijającemu ich Imfry'emu. W końcu zostali tylko Wuldon, Mattine i dwaj inni.

— Pora ruszać — powiedział Nelis. — Wiem, że nie jesteś dość silna, by jechać sama, ale mamy wierzchowca, który udźwignie dwoje, i na nim pojedziemy.

Tak więc kiedy Imfry dosiadł zwierzę, Wuldon uniósł ją lekko jak piórko i podał swemu przełożonemu.

— Dokąd jedziemy? — spytała Roane, kiedy konary drzew zasklepiły się nad nimi, zakrywając słońce.

— Na zwiady. Musimy dowiedzieć się więcej o tym, co się dzieje. Będziemy się trzymać drogi wzdłuż rzeki. Moi ludzie rozjeżdżają się na wszystkie strony zasięgając języka. Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, skierujemy się do Urkermark.

— Do królowej?

— Do królowej. O ile nadal jest królową — jego głos był obcy, chłodny. — Nie wiemy, co zastaniemy, możemy tylko jechać i sprawdzić.

— Ty nie brałaś w tym udziału — próbowała odgadnąć tok jego myślenia. — To moja ręka... i przypadek... tego doskonały.

— Powiedziałem ci już, że nie wierzę, by rządził tym sam przypadek — brzmiała jego odpowiedź.

Nie dodał nic więcej na ten temat. Dwurożec ruszył ostrym klusem naprzód.

W przestronnym pomieszczeniu było ciepło, nawet za ciepło. Lecz światło dwóch stojących na stole lamp i ognia z kominka niej docierało do kątów, gdzie czaiły się cienie. Roane rozejrzała się dookoła z zaciekawieniem, którego nie zdołało przyćmić zmęczenie. Poza chatą leśnika i przygranicznymi warowniami z ich surowymi wnętrzami oraz wspaniałą posiadłością w Gastonhow był to pierwszy dom na Clio, w jakim się znalazła.

Pomieszczenie było prywatnym pokojem na piętrze Gospody Trzech Wędrowców, znajdującej się o pół dnia jazdy od Urkermark. Na przysuniętej blisko ognia ławie suszyły się parujące płaszcze, gdyż na zewnątrz lał jednostajnie deszcz. Pod jego właśnie osłoną przejechali tak daleko w głąb kraju.

Trzy dni — tylu się Roane doliczyła. Pierwszy pamiętała jak przez mgłę. Spędzili tamtą noc w chacie leśnika. I tam nadeszły pierwsze raporty...

Reveny było w stanie chaosu. A największy rozgardiasz panował na wyższych szczeblach władzy. Średniorolni farmerzy, nisko urodzeni mężczyźni i kobiety szybciej kurowali się z początkowego stanu oszołomienia i dezorientacji. Lecz oni dla odmiany byli zatrwożeni szalonymi poczynaniami swoich przywódców.

Niektórzy, zdawało się, postradali zmysły, albo popadając w stan zidiocenia uniemożliwiający im w zupełności wydawanie spójnych rozkazów, albo wydając rozkazy tak nieodpowiedzialne, że słudzy i poplecznicy odmawiali ich wykonania. Wybuchły krwawe zamieszki, które ustały, kiedy zaangażowani w nie ludzie nagle zadali sobie pytanie, o co właściwie walczą. Grasowały bandy najeźdźców, żerujących na nieszczęściu innych.

Im bardziej zbliżali się do Urkermark — a podróżowali już jawnie, nie mając się czego obawiać przy takim galimatiasie — tym okropniejsze stawały się relacje o tym, co się wydarzyło. Z każdym kolejnym raportem zwiadowców wyraz twarzy Imfry'ego stawał się coraz posępniejszy, a język opryskliwszy. Sytuacja była rzeczywiście niezwykle trudna. Trzykrotnie natknęli się na grupy uciekinierów uchodzących z miasta, i za każdym razem jeźdźcy ci, mężczyźni strzegący kobiet, z których kilka trzymało w ramionach dzieci, odmawiali nawiązania jakiegokolwiek kontaktu. Co więcej, w dwóch wypadkach użyli broni, strzelając, by odstraszyć ludzi Imfry'ego. Byli wśród nich ranni. Widok tych zabandażowanych ciał napawał Roane ogromnym przygnębieniem i wyrzutami sumienia. Przypadek czy nie — czuła, że każda z tych ran pochodzi z jej ręki.

Grupa Imfry'ego rozrastała się. Zwiadowcy, którzy rozproszyli się w celu zebrania informacji, przywozili lub kierowali do niego coraz więcej gwardzistów, leśników, a nawet zbiegów z prywatnej ochrony posiadłości szlacheckich. Pułkownik osobiście rozmawiał z każdym nowo przybyłym, próbując wyłonić z ich opowieści prawdziwy i przejrzysty obraz sytuacji. Robił to także w tej chwili, siedząc przy stole i przysłuchując się opowiadaniu człowieka w mundurze.

Dotychczas zgłosiło się zaledwie paru oficerów, i to niższych rangą, choć niektórzy nadal mieli pod sobą niedobitków ze swoich byłych jednostek.

— ...nadszedł rozkaz — mówił przybysz. — Major Emmich rozmawiał w wartowni z

oficerem, który go dostarczył. Usłyszeliśmy strzał. Kiedy wylamaliśmy drzwi, major był martwy, dostał prosto w głowę. Ten dziwny pułkownik... on zaczął mówić, że major był zdrajcą, w co nie uwierzyliśmy, po czym złapał się za głowę, podbiegł do ściany i zaczął w nią walić, aż stracił przytomność. Cóż, nie wiedzieliśmy, co robić. Kapitan był ciągle kompletnie otumaniony, więc kiedy sierżant spytał go o rozkazy, on tylko usiadł na łóżku i zwyczajnie wybuchnął śmiechem. Jak wariat. Więc sierżant Quantil kazał zamknąć bramy i nie wpuszczać nikogo, przynajmniej do czasu, aż nie uzyskamy jakichś sensownych wskazówek. Następnie wysłał trzech z nas w teren. Mangron miał pojechać do Westergate, Afran do Balsay, a ja miałem spróbować dotrzeć do naszego pułkownika w Urkermark. Tylko że tam bramy były też pozamykane. Nikogo nie wpuszczali. Po mojemu tam w środku trwają jakieś zamieszki. Widziałem palące się ognie. Potem spotkałem twojego człowieka, sir. To, co mi powiedział, trzymało się kupy bardziej niż wszystko, co słyszałem od czasu zamordowania majora Emmicha, przyjechałem więc tutaj.

— A ten człowiek, który przyniósł rozkaz, ten pułkownik... Nie znalazłeś go?

— Nigdy przedtem go nie widziałem, sir. Aha, on miał nową odznakę królewską. Była na niej czarna pochylona głowa z rozdziawionymi ustami i wywalonym rozwidlonym jęzorem. Paskudztwo. Sierżant go potem zrewidował, szukając papierów. Nie znalazł nic, oprócz pełnomocnictwa. Wyglądało na prawdziwe, lecz nie widniało na nim imię królowej. Było tylko napisane „w imieniu króla”, a przecież król Niklas już od ładnych paru dni nie żyje! Jakies kolejne wariactwo!

— „W imieniu króla” — powtórzył Imfry w zadumie. A po chwili zastrzelił rozmówcę pytaniem — Jakiego króla?

Mężczyzna wlepił w niego wzrok, po czym gwałtownie odepchnął się od stołu i zaczął rozglądać na boki, jakby szukając drogi ucieczki. Roane odgadła jego podejrzenia. Na pewno pomyślał, że Imfry również zwariował.

— Nie, gwardzisto, nie oszalałem — uspokoił go pułkownik. — Mam jednak poważny powód sądzić, że w otoczeniu królowej jest ktoś, kto może w tym całym rozgardiaszu spróbować przejąć władzę. Może już to zrobił...

Żołnierz przelknął ślinę.

— Och — podjął skwapliwie — to by wyjaśniało... Nie pamiętam żadnego imienia w podpisie. Na pełnomocnictwie był odcisk kciuka zamiast nazwiska! Może właśnie dlatego sierżant Quantil uznał je za dziwne. Pełnomocnictwo to nakazywało majorowi przejąć dowodzenie, ale nie było podpisane właściwym nazwiskiem. Lecz, sir, gdzie... gdzie jest królowa?

— W Urkermark, a przynajmniej powinna tam być! — powiedział Imfry tonem osoby składającej przysięgę. — Powiadasz, że miasto jest zamknięte?

— Wszystkie bramy zamknięte na mur, sir. Jak w czasie oblężenia Nimpów dawno temu. Sforsowanie ich wymagałoby użycia największych dział oblężniczych.

— Zewnętrznych bram tak, lecz są inne sposoby. Gwardzisto, ile czasu zabierze ci zanieśenie wiadomości z powrotem do twojego posterunku?

— Jeśli dostanę świeżego wierzchowca, uwinę się do północy, sir.

— Doskonale. Wiesz, co widziałeś. Zareportuj to twojemu sierżantowi. I przekaż mu tę wiadomość ode mnie.

Imfry przysunął sobie stronicę papieru, mały kałamarz i pióro. Tak jak to czynił poprzednio na zakończenie podobnych rozmów, napisał kilka linijek, zanurzył koniec palca w atramencie i odcisnął go pod swoim podpisem.

— Mattine! — zawołał, a kiedy leśnik stanął w drzwiach, polecił: — Świeżego wierzchowca dla tego gwardzisty!

— Już się robi, milordzie.

Po wyjściu mężczyzn Imfry zapatrzył się w ogień. Roane poruszyła się, nie mogąc dłużej znieść milczenia w pokoju i kotłowania się własnych myśli.

— Mówisz, że do Urkermark można wejść z pominięciem bram?

— Myślę o pewnej zamaskowanej drodze ucieczki. Nasza historia zawsze była pełna wojen i alarmów, walk dynastycznych. Gry, w których byliśmy pionkami, zawsze były krwawe. Zastanawiam się, kto czerpał z tego satysfakcję. Na pewno nie maszyny. Lecz czy rezultaty były jakoś znane tym diablom, którzy je zaprogramowali do kierowania naszymi poczynaniami? — popatrzył na nią, oczekując odpowiedzi.

— Z początku na pewno tak. Inaczej nie byłoby powodu do eksperymentowania. Lecz Psychokraci wymarli dawno temu.

— Maszyny nie działają zaledwie od paru dni, a popatrz, jakie są efekty. Chciałbym wiedzieć, dlaczego dotyka to jednych bardziej niż innych. Za wszelką cenę musimy dotrzeć do królowej, to teraz nasze główne zadanie. Zupełnie możliwe, że Reddick już się obwołał królem. A to stwarza dwie możliwości, jeśli chodzi o Ludorikę: albo umarła wraz ze zniszczeniem Korony, albo została uwięziona, by firmować intrygi Reddicka. W żadnym z tych dwóch przypadków nie można pozwolić, by on...

Imfry znów zamilkł, a jego mina nie wróżyła Roane nic dobrego. Od samego początku wiedziała, że pomiędzy nim a królową istnieje silna więź. A jeśli królowa nie żyje...

Westchnęła głęboko, zastanawiając się, czy kiedykolwiek uwolni się od ciężaru winy. Mimo iż było to cichutkie westchnienie, wystarczyło, by oderwać go od strasznych myśli. Kiedy zwrócił się do niej, jego twarz była już nieco spokojniejsza:

— Odpocznij, pani, póki jeszcze możesz — skinął w kierunku drzwi do wewnętrznej izby. — Później czas może być zbyt cenny, by go marnować na sen. W każdej chwili spodziewam się sygnału do wymarszu.

A mimo to kiedy służąca rozsunęła zasłony, wpuszczając blade promienie słońca, był już ranek.

— Milady — dygnęła nisko, widząc, że Roane obserwuje ją zaspanymi oczyma. — Pułkownik mówi, że wkrótce ruszacie. Przyniosłam gorącą wodę do mycia oraz to — wskazała poskładane na krześle ubranie. — Nie jest to strój wykwintnej damy, jako że sama go uszyłam, ale

pulkownik powiada, że wystarczy.

— Ależ ja nie mogę zabrać ci ubrania — sprzeciwiła się Roane, choć myśl o ponownym włożeniu noszonej od paru dni, poplamionej i przepocone odzieży, napawała ją obrzydzeniem.

— Och, milady, pulkownik zapłacił mi tyle, że kupię sobie dwa razy więcej rzeczy niż te, które dla ciebie wybrał! I w dodatku znacznie ładniejszych! Ale te są nowe, nie noszone. Jest też peleryna od deszczu.

Roane wykąpała się z rozkoszą, wdzięczna za wodę i pachnące słodkimi ziołami mydło. Włożyła jedną z rozciętych spódnic do jazdy i ciasno przylegający żakiet, wszystko w kolorze zielononiebieskim, lecz bez tych jaskrawych zdobień i haftów, jakie widywała przedtem. Całości dopełniała szara peleryna w zielone i niebieskie paski, z przypinanym kapturem. Długo się męczyła, by doprowadzić do ładu włosy, które bardzo urosły i osiągnęły trudną do utrzymania w porządku długość. Szarpała niemiłosiernie wijące się wokół twarzy pukle, aż w końcu zrezygnowana przeszła do drugiego pokoju, gdzie pokojówka właśnie stawiała na stole tacę zjedzeniem.

— Milady, pulkownik prosi, żebyś się pospieszyła.

— Oczywiście.

Stwierdziła, że po raz pierwszy od wielu dni jest naprawdę głodna. Choć wiedziała, że czas nagli, zostawiła po sobie wymieciony do czysta talerz.

Dziewczyna sprowadziła Roane schodami na dół. W gospodzie było tłoczno. Niektórzy mężczyźni pospiesznie jedli, inni wołali o ponowne napełnienie wielkich kufli. Większość twarzy była jej obca, lecz gdy Mattine pomachał do niej od drzwi, natychmiast zrobili jej miejsce do przejścia.

Imfry stał przy dwurożcu, przyglądając się krytycznie drugiemu wierzchowcowi. Kiedy Roane podeszła, powitał ją lakonicznie, po czym wskazał na tamto zwierzę.

— Prezentuje się co prawda niezbyt okazale, ale gwarantuję, że jest zdrowa i dobrze chodzi. Zresztą nie jedziemy aż tak daleko, więc powinna wytrzymać.

Roane popatrzyła na kobyłę z pewną obawą. Było to kościste, żałośnie wyglądające stworzenie, posiadające zaledwie kosmyk ogona oraz niesłychanie zmierzwioną i postrzępioną grzywę, z której wystawały koniuszki rogów. Kiedy pulkownik wsadził Roane na siodło umieszczone na wychudzonym grzbiecie, zwierzę ryknęło donośnie na znak protestu. Mimo to dziewczyna z kosmosu ujęła z determinacją cugle, zdecydowana dotrzeć do końca podróży.

Jechali na czele oddziału, który przez noc jeszcze się powiększył.

— Zmierzamy do Urkermark? — spytała Nelisa.

— Tak, lecz ukrytą drogą.

Skręcili z głównego traktu na odchodzącą od niego dróżkę. Kawalek dalej wierzchowce przeskoczyły przydrożny żywopłot i ruszyły na ukos przez otwarte pola, gdzie kopyta wgniatały się w plantacje zbóż, tratując na wpół dojrzałe ziarno. Wyglądało na to, że Imfry obrał możliwie najkrótszą drogę do celu.

Skręcili na zachód. Roane wydawało się, że jest to kierunek dokładnie odwrotny do tego, w którym powinni zdążać. Jednak około południa dotarli do brzegu rzeki i jadąc zgodnie z jej biegiem, skręcili ponownie na wschód. Po niedługim czasie znaleźli się obok jednego z tych mostów z małą, trójgraniastą wieżyczką, stanowiącą część jego konstrukcji.

Tu zsiadli z dwurożców. Imfry, sierżant oraz dwóch gwardzistów poszli do wieży. Wyciągnęli żelazne łomy i przystąpili do pracy, waląc i obluźwując bloki poniżej otworu na datki.

W wyniku takiego natarcia murowany blok skruszył się aż nadto łatwo i mężczyźni przystąpili do usuwania kamieni. Utorowawszy sobie drogę do środka, tymi samymi łomami oczyścili podłogę wewnątrz. W powietrzu zawirowały i posypały się na trawę monety, lecz oni nie zwracali na nie uwagi.

Teraz słońce świeciło na zakurzoną podłogę, uwidaczniając wyżłobienie w kamieniu. Sierżant Wuldon z wysiłkiem wcisnął w to wyżłobienie łom jak lewarek, zaczepiając go pod małą kamienną poprzeczką. Naparł całą siłą na lewarek, a pozostali mężczyźni i pułkownik wsparli go w tym wysiłku. Rozległ się przykry dla ucha zgrzyt i kamień poruszył się opornie. Kiedy był już uniesiony, z kolei odblokowano i wyciągnięto dwa bloki po jego bokach.

Wkrótce potem Roane schodziła po stromych kamiennych schodkach, oświetlonych blaskiem latarni niesionych przez idących przodem. Później stanęła na wprost korytarza, którego ściany i sufit wyłożono kamiennymi płytami.

Panowała tu nieprzenikniona ciemność i nieprzyjemnie pachniało wilgocią. Jednak raz po raz dochodził powiew świeżego powietrza, jakby istniał tu system wentylacyjny. Miejsca starczało jedynie dla dwóch idących obok siebie osób, tak więc grupa się rozciągnęła. Na czele szedł Imfry z Mattine, potem Roane z sierżantem, a za nimi reszta oddziału.

Korytarz biegł w większej części poziomo i Roane pomyślała, że jego zbudowanie było nie lada wyczynem. Zaczęła się zastanawiać, czy ciągnie się on rzeczywiście całe mile prosto do Urkermark, gdy pojawiła się nowa seria stromych stopni, którymi zeszli na jeszcze niższy poziom. Tu nic było już śladów ludzkiego budowania, a tylko szereg rozpadlin i jaskiń przechodzących jedna w drugą, w tym kilka tak dużych, że nie mogło ich ogarnąć światło latarni. Imfry szedł śmiało naprzód, jakby dobrze znał drogę, choć wszystko wskazywało na to, że to ukryte przejście nie było wykorzystywane przez długie lata. Wreszcie stanął i sprawdził kierunek na swoim przyrządzie.

— Tutaj skręcimy w prawo — zasygnalizował latarnią. Znajdowali się w jednej z większych jaskiń, a za nimi tłoczyli się ludzie.

Od tej chwili szli wolniej i zarówno pułkownik, jak i Mattine unosili wysoko latarnie. Po jakimś czasie w ich świetle ukazały się kolejne schody prowadzące w dół. Ściekała po nich strużkami wilgoć.

Roane schodziła ostrożnie, bojąc się zjechać po śliskich, stromych stopniach. Kończyły się one w kamiennym korytarzu, na wprost czwartej kondygnacji schodów, tym razem pnących się w górę. Ściana z jednej strony była pokryta drewnianą obudową, obwieszoną grubymi pajęczynami ciężkimi od nagromadzonego latami kurzu. Wspinali się coraz wyżej. Imfry szedł powoli i wyraźnie liczył stopnie, jakby ich konkretna liczba była kluczem, jakiego potrzebował.

Dał sygnał skinieniem ręki, na co sierżant stanął obok Roane i dotknął lekko jej ramienia.

— Przekaż to do tyłu, milady.

Przekazała, i sygnał zatrzymał sznur ludzi. Pułkownik wręczył swoją latarnię Mattine, który przysunął oba światła bliżej ściany, a sam zaczął obmacywać drewnianą powierzchnię obudowy. Jego ramiona przygarbiły się, jakby naciskał na jakieś odporne zamknięcie. Potem część obudowy odskoczyła gwałtownie, tworząc drzwi.

Roane poczekała na swoją kolej i przeszła przez nie. Znalazła się w pomieszczeniu umeblowanym równie bogato jak jadalnia z jej snu. Dookoła stały takie same, obficie rzeźbione meble; na ścianach wisiały takie same kolorowe, choć nieco przyblakłe gobeliny.

Odsunęła się na bok, robiąc miejsce wchodzącym za nią ludziom. Imfry, z sierżantem u boku, stał przy drugich drzwiach. Obaj mieli w rękach strzelby. Pułkownik pchnął drzwi, wyjrzał ostrożnie, po czym skinął na resztę.

A więc dostali się do serca Górnego Zamku w Urkermark. I to przez jego pokoje prowadził ich teraz Imfry. Roane dwukrotnie przystawała z bijącym sercem, wsłuchana w odgłosy strzałów, odbijające się głośnie echem w tych akustycznych komnatach. A raz przemknęła obok leżącego twarzą do podłogi ciała, spod którego wypływał wąski, czerwony strumyczek.

Nie natrafili jednak na zorganizowany opór; toteż szybko posuwali się naprzód. Co jakiś czas małe grupki żołnierzy odrywały się od reszty, wypełniając tym samym wydawane szeptem rozkazy. Tak więc kiedy pułkownik przystanął przed kolejnymi drzwiami, pozostało ich, licząc Roane, tylko dziesięcioro.

Imfry manipulował ostrożnie przy zamku, po czym pchnął mocno i zdecydowanie drzwi, odwracając się jednocześnie z bronią gotową do strzału tak, by stanąć twarzą w twarz z kimś, kto mógł być w środku.

— Rzuć to!

Rozległ się dziwny dźwięk, podobny do urywanego śmiechu. Pułkownik był już w komnacie, reszta tłoczyła się za nim, więc Roane weszła ostatnia. Nie zanosilo się na żadną walkę, lecz zastała tam raczej dziwną scenę, jakby aktorzy, wskutek ich wtargnięcia, zastygli nieruchomo na miejscach. Na kanapie, z zamkniętymi oczyma, leżała Ludorika. Jej suknia była w nieładzie, miejscami nawet podarta, ze zwisającymi ze stanika oderwanymi paskami czarnej koronki. Rozpuszczone włosy były potargane, zbite w niechlujne kołtuny.

Tuż obok stało krzesło, na którym siedział Shambry. Obie ręce trzymał wyciągnięte na wysokości piersi, a w nich spoczywała rozjarzona, strzelająca kaskadami światła kula. Usta miał otwarte i obwisłe, a z kącika spływała strużka śliny. Lecz kiedy zobaczył Imfry'ego, jego wargi wykrzywiły się w okropnym grymasie.

— Ciszej, sir. Królowa śpi. Śpi i śni, śni o nas, a jeśli się obudzi... cóż, wtedy wszyscy przestaniemy istnieć. Ponieważ jesteśmy istotami z jej snu. Tylko ja, Shambry, mogę ją zachować w tym śnie, a nas przy życiu.

Mężczyźni poruszyli się niespokojnie i postąpili krok do tyłu. Jedynie Imfry stał niewzruszony naprzeciw jasnowidza. Potem, nim tamten zdążył uskoczyć, runął naprzód i

wyrwał mu kulę.

Z okrzykiem szczerego przerażenia Shambry rzucił się na niego, sięgając szponiastymi palcami po swą własność, a może do gardła pułkownika. W tym momencie do akcji wkroczył Wuldon. Cisnął miotającym teraz przekleństwa szarlatanem z powrotem na siedzenie z taką siłą, że ten przeleciał nad krzesłem i padł na podłogę.

Roane klęczała już u boku księżniczki. Twarz Ludoriki była niezwykle blada i znużona, lecz zniknął z niej ten cień zła, jaki nałożyła na nią korona. Miała suchą, rozpaloną gorączką skórę, a ze splekanych warg odchodził płatkami naskórek. Lecz żyła, a jej pierś wznosiła się i opadała w miarowym oddechu, jak u kogoś, kto śpi głębokim snem.

Wuldon zacisnął palce na kołnierzu czarnego płaszcza jasnowidza i przyciągnął go do swoich stóp. Shambry wił się konwulsyjnie na podłodze. Sierżant potrząsnął nim i podciągnął do góry, a ten zawisł bezwładnie w jego uścisku i spojrział z nienawiścią na Imfry'ego.

Imfry podszedł do kanapy i ujął rękę Ludoriki.

— Podejrzewam, że jest pod działaniem zniewalacza umysłu. Jeśli tak, jest na to jedno drastyczne lekarstwo.

Odwrócił się i podniósł kulę, która w trakcie szamotaniny poturlała się na podłogę. Uniósł ją wysoko i zmiażdżył z premedytacją. Shambry wydał dziki, zwierzęcy okrzyk i zaczął się tak zaciekle szarpać, że Wuldon nie mógł go utrzymać. Z pomocą pospieszyło mu dwóch ludzi.

Głowa Ludoriki drgnęła i obróciła się na poduszce. Po chwili otworzyła oczy. Nadal jednak sprawiała wrażenie kompletnie nieobecnej. Patrzyła pustym, niewidzącym wzrokiem.

— Zajmij się nią — zwrócił się Imfry do Roane. — W tym towarzystwie brakuje kogoś, kogo trzeba koniecznie odnaleźć.

Przemierzył dużymi krokami komnatę, podszedł do drugich drzwi i wyważył je pchnięciem ramienia. Za nimi Roane dostrzegła fragment sali z kolumnami, której większa część znajdowała się poza zasięgiem jej widzenia. W obramowaniu futryny drzwi zobaczyła jednak coś istotnego. Był to niewątpliwie tron. Stał na podwyższeniu, lecz na tyle nisko, że mogła dojrzeć, iż ktoś na nim siedzi. Człowiek ten miał na sobie błyszczącą lodowym pięknem koronę. Gwałtowne wtargnięcie Imfry'ego nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Nie odwrócił nawet głowy.

Nie był też sam. Lecz ci, którzy mu towarzyszyli, zamiast stać na baczność w obecności swego króla, leżeli rozwaleni na podłodze przed tronem. Gdy więc pułkownik, ciągle z bronią gotową do strzału, począł się zbliżać do uzurpatora, musiał przekraczać ich ciała.

— Reddick!

Nic nie wskazywało na to, by książę słyszał lub widział Imfry'ego. Siedział nieruchomo, jak zamrożony przez lód z korony. Pułkownik przyjrzał mu się bacznie, po czym podszedł szybko do tronu i położył rękę na ramieniu wroga.

Natychmiast jednak odskoczył z tłumionym okrzykiem, ponieważ jego dotyk przerwał sen tej ludzkiej postaci. Rozległo się granie dzwonów; Korona zadrżała i rozpadła się na milion

kawałków opadających deszczem obok głowy i ramion tego, który ją nosił. Potem Reddick zaczął się kurczyć, czernieć i zmieniać się w coś, czego widoku Roane nie mogła znieść. Krzyknęła i ukryła twarz w dłoniach.

Światło lampy ukazywało bogactwo obficie haftowanej narzuty, okrywającej stojące na podwyższeniu łożo. Choć nie było tak jaskrawe, jak to, do którego Roane była przyzwyczajona, wystarczało, by w pełni oświetlić twarz Ludoriki. Oparli ją wysoko na poduszkach, a Roane karmiła ją kęs po kęsie, podając do popicia rozcieńczone wodą wino.

Królowa była zbyt słaba, żeby się sama obsłużyć. Nie mogła nawet unieść rąk. Raz po raz uśmiechała się, a kiedy Imfry przyszedł ją odwiedzić, wymamrotała niewyraźnie jego imię. Z tego wnioskowali, że posiada pewną dozę świadomości, choć wycieńczony organizm odmawia jej posłuszeństwa.

Roane wypróbowała dwa leki ze swojej apteczki, żaden jednak nie wzmocnił tej kruchej, wyczerpanej dziewczyny, która była teraz bezbronnym dzieckiem powierzonym jej opiece.

Być może nigdy się nie dowiedzą, co wydarzyło się w Górnym Zamku przed ich przybyciem. Mogło być tak, że Reddick przejął i włożył Lodową Koronę przed fatalnym, decydującym momentem wybuchu obracającego w nicość oddaloną aparaturę kontrolującą. To doskonale tłumaczyłoby jego makabryczną śmierć na tronie oraz sromotny koniec jego popleczników, gdyż, jak się okazało, wszyscy w tamtej komnacie byli martwi. Shambry postradał zmysły, popadając w stan ostrej katatonii, w którym trwał nadal, mimo licznych zabiegów mających na celu przywrócenie go do zdrowia.

Roane doglądała królowej. Lękała się, że jej stan jest na tyle poważny, iż efekty przynieść mogłoby jedynie leczenie fachowe. Podzieliła się swymi obawami z Imfrym i wymusiła na nim udanie się po pomoc do jej towarzyszy; natychmiast też wysłał posłańców na ich poszukiwanie. Na razie mogli jedynie trzymać się nadziei, że Ludorika sama stopniowo odzyska pełną świadomość.

Tymczasem życie na zamku wracało do normy. Miasto, rządzone nieprawnie żelazną ręką popierających Reddicka zdrajców, było wolne. Niektórzy z legalnych rajców zostali wcześniej zamordowani, kilku innych zniknęło, lecz czterech odnaleziono i sprowadzono z powrotem. Powracali służący, innych ludzi do pomocy zwerbowano z miasta, a wszyscy strażnicy byli zaufanymi ludźmi Imfry'ego. Roane wiedziała, że wszystko rozwija się pomyślnie i zmierza ku lepszemu, lecz jej prywatnym polem walki pozostawała ta królewska sypialnia.

Miała przy sobie dwie z pokojówek księżniczki. Przeszukujący zamek ludzie pułkownika odkryli je zamknięte na klucz we własnych komnatach i uwolnili. Początkowo były zazdrosne o Roane, lecz kiedy zrozumiały, jak poważny jest stan ich pani, zmartwienie przyćmiło zazdrość i z wdzięcznością przyjmowały pomoc obcej. W nocy Roane odpoczywała na otomanie w drugim końcu pokoju, gotowa na każde wezwanie.

Imfry nie pokazał się od czasu, gdy ubłagała go, żeby wysłał posłańców w celu skontaktowania się z jej ziomkami. Jeśli statek ewakuacyjny jeszcze nie odleciał, a przybysze

z kosmosu wyraziliby zgodę, teraz, kiedy aparatura już nie istniała, a Clio nie było dłużej niewolnikiem przeszłości, mogliby pomóc skuteczniej niż ktokolwiek z rdzennych mieszkańców planety. Lecz mogło się okazać, że na szukanie tej pomocy jest już za późno.

Królowa otworzyła oczy. Charakterystyczne dla jej stanu było to, że zasypiała w mgnieniu oka i równie nagle się budziła. Roane ujęła jej bezwładne ręce.

— Ludoriko! — zawołała łagodnie, przyzywająco.

Odniosła wrażenie, że tym razem w niebieskich oczach dziewczyny pojawił się wyraz skupienia. Wpatrywały się w nią nieruchomo, jakby rozpoznając osobę, a nie element pomieszczenia. Spękane wargi, tak miłosiernie i z oddaniem nawilżane przez Roane, rozchyliły się i dobiegł ją najcichszy z szeptów:

— Roane?

— Tak, och tak! — dziewczyna z kosmosu ścisnęła ją mocniej z radości. — To ja, Roane!

Fakt, że ją poznała, był wielkim skokiem naprzód z tamtej krainy cieni do rzeczywistości.

— Zostajesz...

Roane odebrała to jako pytanie.

— Tak, zostanę.

Nie była jednak pewna, czy zdążyła z odpowiedzią, gdyż ciężkie powieki opadły ponownie i królowa znów pogrążyła się we śnie. Lecz tym razem Roane obserwowała to z lżejszym sercem. Zdawało jej się, że sen Ludoriki jest bardziej naturalny, że nie jest to tylko ustępowanie drogi ślepej nieświadomości. W momencie, gdy puściła jej ręce, w kręgu światła lampy pojawiła się jedna z pokojówek. Gestem dała jej do zrozumienia, że ma wyjść, po czym sama zajęła jej miejsce.

Drzwi do sąsiedniej komnaty były uchylone. Roane weszła i zobaczyła Imfry'ego. Miał na sobie pełne umundurowanie, a jego szczupła twarz była gładko wygolona. Domyśliła się, że oderwał się na krótko od nałożonych samemu sobie obowiązków, polegających na przywracaniu porządku w tym pogrążonym w chaosie kraju.

— Twój statek odleciał — rzucił szorstko. Przez moment myślała tylko o tym, że właśnie utracili szansę na pomoc królowej. Potem dotarło do niej prawdziwe znaczenie tych słów. Odlecieli, zostawiając ją tutaj, izolując ją być może na całe życie, o ile Służba zdecyduje o zerwaniu z nią wszelkich kontaktów... Nagle poczuła się kompletnie oszołomiona. Wyciągnęła rękę i szukając oparcia próbowała dosięgnąć krzesła. Imfry był jednak szybszy. Podszedł do niej i wsparł ją własnym ramieniem.

— Przykro mi — powiedział, a dominująca od kilku dni w jego głosie szorstkość złagodniała. — Nie powinienem był tak ci tego przekazywać.

— Nie, to nie o to chodzi — potrząsnęła głową. — Powinnam się tego spodziewać. Oni wiedzieli, że zostaliśmy zdekonspirowani, i nie czekali, żeby mnie znaleźć. Mogą już nigdy nie wrócić. Lecz Nelisie, posłuchaj... królowa... Ludorika...ona mnie przed chwilą rozpoznała! Może jest nadzieja, że ją odzyskamy. Może mimo wszystko nie będziemy potrzebowali ich

pomocy.

— Jesteś pewna... jej stan się poprawia? — W żarliwości jego pytania, w sposobie, w jaki odwrócił głowę, by spojrzeć na drzwi komnaty sypialnej, było coś, co sprawiło, że zapragnęła uciec. Spróbowała wyrwać rękę, lecz on nie puścił.

— Mam pewien obowiązek — mówił powoli, z wysiłkiem, jakby to, co miał do powiedzenia było bolesne. — Słyszałaś, jak nazywała mnie „krewniakiem”...

To dlatego, pomyślała Roane przejęta dojmującym, wewnętrznym bólem, że Ludorika życzyła sobie prawdopodobnie jeszcze bliższego związku ze swoim pułkownikiem.

— Widzisz, pomiędzy nami naprawdę istnieje więź...

Nie chciała tego słuchać. Nie chciała, żeby smutna prawda została przyobleczona w słowa, żeby musiała jej słuchać właśnie teraz... I żeby to wyszło z jego ust! Lecz nie była w stanie zaprotestować, a on kontynuował:

— ...choć nie taka, jak myślisz. Na życzenie mego ojca złożyłem dawno temu przysięgę i ona kieruje moim życiem. Widzisz, nasi władcy zawierają małżeństwa w imię racji stanu, dla dobra swoich państw. Lecz często takie związki są niczym więcej, jak tylko formalnymi przymierzami, choć są wymagane dla splodzenia prawowitych następców tronu.

— Podobnie było w przypadku naszego króla Niklasa. Zaakceptował narzeczoną królewskiego rodu z Vordain, co, jak wytłumaczyli mu doradcy, było jego obowiązkiem. Lecz jego serce należało już do innej. A takie rzeczy mogą prowadzić nie tylko do bólu, lecz do zgubnych deprawacji, jak w przypadku Reddicka. I tego między innymi obawiał się mój ojciec po moim urodzeniu.

— Zapewne już zgadujesz, że moja matka była owocem tej królewskiej miłości. Była córką króla, lecz nie księżniczką. Nie chciała niczego od swojego ojca; w istocie odrzuciła wszystko, co by jej z radością podarował. A kiedy wyszła za mojego ojca, była zadowolona, że może opuścić dwór.

— Jej życzeniem było, bym nie żądał od króla, mego dziadka, niczego. Tego samego zdania był mój ojciec i to właśnie mu przysiągłem. Nie miałem być „krewniakiem”, choć z łatwością mogłem nim być. Tak więc chociaż Ludorika jest moją kuzynką, dla mnie będzie zawsze królową, której służę i którą szanuję. Jestem jej to winien. Poza tą służbą idę własną drogą, a ona kroczy drogą, jaką wybrało dla niej przeznaczenie. Czy rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?

Roane nie była w stanie odpowiedzieć, skinęła tylko głową. Nie potrafiła uporządkować swoich uczuć. Na to potrzebowała czasu i spokoju, musiała stanąć twarzą w twarz z nową sobą, bardzo nową sobą, którą musi się nauczyć rozumieć.

— I co ty na to? Zostałaś tu sama...

— Tak.

— Ale tak ci się tylko wydaje. Prawda jest inna! — Jego głos przepelniało gorące uczucie. Czowała się zbyt oszołomiona, by nawet spróbować nazwać je po imieniu. — Tamci odlecieli, twój

lud jest tutaj! Jesteś tak bardzo z Reveny, jakbyś urodziła się wśród jej wzgórz, kształciła w jej szkołach. A ja jestem z tobą. Uwierz w to, Roane, uwierz! Ponieważ to jest prawda!

Jego słowa nie były wytworem jej wyobraźni; teraz były najprawdziwszą prawdą. Odzyskała na tyle głos, by tonem kogoś, kto całym sercem przysięga wierność, odpowiedzieć:

— Wierzę, Nelisie. Naprawdę wierzę!

Offlas Keil i jego siostrzenica Roane otrzymali wyraźne rozkazy: wylądować na Clio i odszukać ukryty skarb.

Clio była zamkniętą planeta. Koloniści osiedleni tam wieki temu w ramach eksperymentu Psychokratów. Zostali poddani praniu mózgu, po czym wszczepiono im fałszywe wspomnienia i uwarunkowano do posłuszeństwa.

Keil i Roane wylądowali w Reveny, jednym z najbardziej archaicznych królestw na Clio. Wówczas Roane nie wiedziała jeszcze, że wkrótce sprzymierzy się z księżniczką Reveny. Ludoriką, w poszukiwaniu największego ze skarbów dziwnej, bardzo tajemniczej, wszechmocnej **LODOWEJ KORONY**